

Przeciw dwóm wrogom
Wywiad z żołnierzem podziemia
antykomunistycznego

Zdrada ryska
Półtora miliona Polaków porzuconych
na pastwę bolszewickich katów

Afera Bergu
Rozgrywka między CIA
a tajnymi służbami PRL

NR 3(97)/2021 MARZEC 2021

CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
PZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO



V Komenda WiN

UBECKA PUŁAPKA
NA WYKŁĘTYCH

DO PZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 D31
9 772299 951509

Nowości • bestsellery • albumy • komiksy • gry

ipn.poczytaj.pl

Wszystko z 30% rabatem!



II Wirtualny Kiermasz Książki IPN

22-28 marca 2021



Do zobaczenia!



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: PIOTR WŁOČYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express”), **Paweł Zdziarski**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro,
wchodzi w skład Grupy Kapitałowej
PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kłoc

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doroś, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, maj 1935 r.

Wystawa prac uczennic Państwowej Szkoły Przemysłowej Żeńskiej



FOT. MAC

Od redaktora /  **Piotr Zychowicz**

W ubeckiej pułapce

W latach 20. sowieckie służby specjalne przeprowadziły jedną z najbardziej spektakularnych operacji dezinformacyjnych w dziejach świata. Mowa o prowokacji „Trust”. Polegała ona na stworzeniu fikcyjnej monarchistycznej, kontrrewolucyjnej organizacji MOCR. Organizacja ta rzekomo działała na terenie całego Związku Radzieckiego i szykowała się do obalenia bolszewików. W rzeczywistości MOCR był iluzją stworzoną przez oficerów GPU.

Na „trik” ten nabrały się służby wywiadowcze państw kapitalistycznych. Nawiązały one ścisłą współpracę z MOCR. Dzięki temu Sowietom przez wiele lat dezinformowali zachodnie tajne służby, dostarczając im sfingowane materiały. Mało tego, bolszewikom udało się całkowicie zinfiltrować i rozpracować wywiady krajów Zachodu. Jedną z największych ofiar „Trustu” był polski Oddział II, który – niestety – został przez Sowietów rozłożony na łopatki.

„Trust” znakomicie zdał egzamin i od tej pory komunistyczne służby powtarzały go w niezliczonej ilości wariantów. A, kto wie, czy Moskwa nie używa tej techniki również obecnie? Co jednak najbardziej zdumiewają-

ce, przeciwnik zawsze się na to nabierał i nabiera. Zdecydowanie rację miał Józef Stalin, gdy w zaufanym kręgu współpracowników sztychł z bebrzeżnej naiwności i łatwości Zachodu.

Jednym z modelowych przykładów „Trustu” w nowej odsłonie była ubecka operacja „Cezary” przeprowadzona w latach 1948–1952. Po rozbiciu czterech komend podziemnego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” (WiN) komuniści sami stworzyli V Komendę. Wykorzystując konfidentów i prowokatorów zwerbowanych wśród byłych AK-owców, przez długi czas skutecznie prowadzili grę z polską emigracją i ze służbami Zachodu. CIA i SIS zostały nabite w butelkę.

Diaboliczna operacja „Cezary” stała się wielką tragedią dla wielu polskich patriotów. Wielu żołnierzy podziemia wpadło w ubecką pułapkę. Wielu zostało zamordowanych i skazanych na długoletnie więzienia. Był to druzgoczący cios dla podziemia antykomunistycznego i wielki triumf bezpieki. Warto poznać metody działania komunistów, aby wyciągnąć z nich wnioski. I być przygotowanym na to, że „Trust” znów może się powtórzyć. ©

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR LIPIŃSKI

WiN w matni UB

.10 TOMASZ STAŃCZYK

Tragedia IV Komendy

.14 RYSZARD STASZKIEWICZ

Mundur SS dla AK-owca

.18 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

„Afera Bergu”

.22 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Operacja „C-1”: Dobić UPA!

.26 MAREK GAŁĘZOWSKI

Podziemne rodowody

/ CZASY I LUDZIE

.30 PIOTR ZYCHOWICZ

Siemaszko: człowiek bezkompromisowy

.34 MACIEJ ROSALAK

Zagłada Indian

.38 MIROŚŁAW SZUMIŁO

Kłeska zwycięzców

.42 PIOTR ZYCHOWICZ

Koniec świata ziemian

.45 JAKUB OSTROMĘCKI

FBI na fałszywym tropie

.48 MIKOŁAJ IWANOW

Kresowa misja niezwykłego księdza

.52 SŁAWOMIR KOPER

Miłości Karola Szymanowskiego

.55 PIOTR SEMKA

Wreckers, czyli śmierć na plaży

.66 PIOTR ZYCHOWICZ

Bojowa komedia LWP

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Historia szczepionek

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Czerwone majtki Koziołka Matołka

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Podział ponad podziałami

.69 PIOTR SEMKA

Zmiany, zmiany, zmiany...

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Ubeckie „Trusty”

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK

Polacy w mieście nad Świsłoczą

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

Dzień krwi i chwały

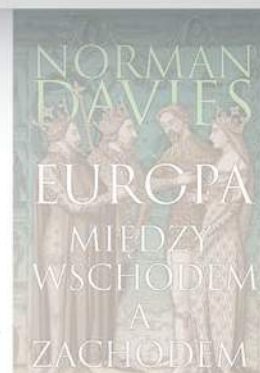
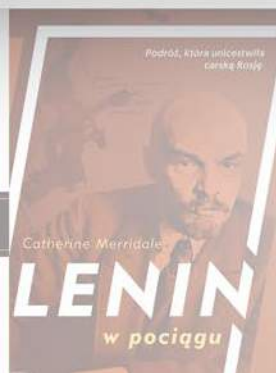
/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Majstersztyk pod Stoczką

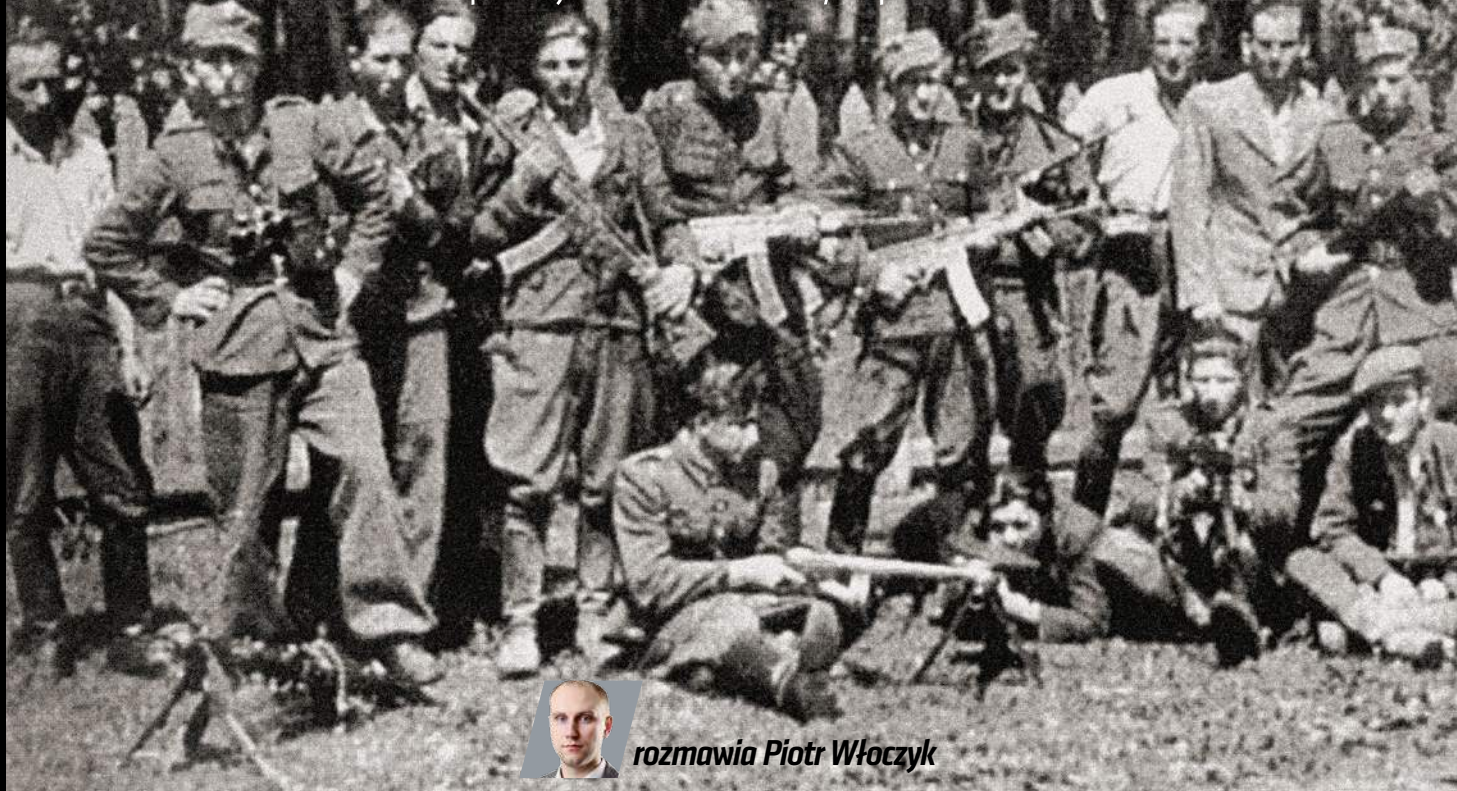
Historia

w naszym wydaniu -
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



Wywiad /

Z Piotrem Lipińskim, autorem książki „Kroków siedem do końca. Ubecka operacja, która zniszczyła podziemie”



rozmawia Piotr Włoczyk

WiN w matni UB

/ Bezpieka stworzyła fikcyjną V Komendę WiN. Wielka prowokacja była wymierzona w podziemie antykomunistyczne i służby specjalne państw Zachodu – mówi Piotr Lipiński

PIOTR WŁOCZYK: Skąd się wziął pomysł na operację „Cezary”?

PIOTR LIPIŃSKI: Ubecy dowiedzieli się ze źródeł agenturalnych, że niedługo do Polski przyjedzie Adam Boryczka, kurier Delegatury Zagranicznej Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” (WiN). Uznali to za świetną okazję do stworzenia wielkiej prowokacji.

Mówimy o początku 1948 r. W listopadzie poprzedniego roku aresztowany został Łukas

Ciepliński, dowódca IV – ostatniej prawdziwej – Komendy WiN.

UB od dłuższego czasu chciał stworzyć organizację podziemną, która pozwoliłaby bezpiece osiągnąć dwa główne cele. Najważniejszy był zagraniczny: „wyjście” na Zachód w celu dezinformacji Delegatury WiN w Niemczech, a za jej pośrednictwem także wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego. Drugi cel, krajowy, był moim zdaniem tak naprawdę mniej istotny: chodziło o zinfiltrowanie

i doszczętne rozbicie resztek podziemia. Pamiętajmy, że wtedy – w 1948 r. – podziemie było już bardzo słabe, choć oczywiście angażowało nieproporcjonalnie duże siły komunistyczne.

Po tym, gdy aresztowano całe dowództwo IV Komendy WiN, przejęcie kontroli nad podziemiem i przeprowadzenie wielkiej prowokacji wydawały się w zasięgu bezpieki. Bardzo szczęśliwie dla ubeków udało im się zwerbować Stefana Sienkę, dość istotnego członka IV Komendy WiN.

Bez niego ta operacja mogła się powieść?

Trudno to sobie wyobrazić, ponieważ był to absolutnie kluczowy człowiek. Ubecy nie mogli sobie tego lepiej wymarzyć. Z jednej strony był to człowiek



Partyzanci z oddziału Mariana Bernaciaka „Orlika”

FOT. IPN

kiedy w latach 90. rozmawiał z mną na te tematy. W 1956 r., cztery lata po zakończeniu operacji „Cezary”, jeździł po ludziach, którym wcześniej zaszkodził, i przedstawiał im wersję, która absolutnie nie była prawdziwa, ale miała go usprawiedliwiać. Nikt nie kazał mu odwiedzać tych ludzi, ale do nich jeździł. Zastanawiałem się, co go do tego popychało.

Może po prostu chodziło o niespokojne sumienie?

Zapewne tak, ale on przecież kłamał tym ludziom w oczy. Pod względem czyś to psychologicznym Sieńko to niezwykle interesujący przypadek.

Niesamowicie brzmi opis jego rozmowy z Boryczką, gdy robił absolutnie wszystko, by uwiarygodnić istnienie V Komendy WiN.

Ubecy sami byli zaskoczeni jego aktywnością, wykazywaną inicjatywą. Sieńko był tak przekonujący podczas tamtego kluczowego spotkania z Boryczką, że prowadzący go oficerowie bezpieczeństwa stwierdzili, iż dał z siebie wszystko. Być może na początku współpracy z UB robił to pod przymusem, ale potem co rusz dawał dowody na to, jak bardzo był oddany UB. Robił rzeczy, o które nikt go nie prosił, swoją gorliwością zadziwiał bezpieczeństwo. To jak syndrom sztokholmski do kwadratu.

Kogo można wskazać jako ojca tej operacji?

Za operacją „Cezary” stał przede wszystkim Henryk Wendrowski, były oficer AK, który po wojnie został funkcjonariuszem UB. Wydaje się jednak, że impuls do przeprowadzenia operacji tego typu przyszedł z NKWD. Sowietci od ok. 1948 r. zaczęli pokazywać funkcjonariuszom bezpieczeństwa w Europie Wschodniej nowy typ operacji – prowokacji obliczonej na wciągnięcie w grę podziemia antykomunistycznego, karmienie go fałszywymi informacjami, które następnie trafiają do wywiadów wrogich krajów. To już nie było rozpracowywanie podziemia z zewnątrz, tylko prowokowanie – tworzenie fikcyjnej rzeczywistości, żeby wdrzeć się w zagraniczne struktury. Polskim komunistom bardzo zależało na rozpracowaniu Delegatury WiN. To była najprawdopodobniej najsilniejsza struktura wojskowa wśród polskiej emigracji. Delegatura czerpała informacje płynące

z podziemia i przekazywała je wywiadowi USA i Wielkiej Brytanii. Pamiętajmy przy tym, że to nie była struktura stworzona przez polskich emigrantów, tylko przez ludzi wysyłanych z Polski kilka lat wcześniej na rozkaz prawdziwego WiN.

Każdy, kto słyszał o operacji „Triest”, mógł mieć déjà vu, czytając pańską książkę.

Kiedy porównamy to, co robili ubecy w sprawie WiN, do sowieckich operacji prowadzonych przed wojną, widzimy, jak podobne są te schematy. Doskonałym przykładem jest właśnie operacja „Triest”, kiedy do Związku Sowieckiego sprowadzono Borysa Sawinkowa, jednego z czołowych działaczy antybolszewickich wśród rosyjskiej emigracji. Nietrudno się tu dopatrzeć podobieństw z historią Adama Boryczki. Nieświadomi prowokacji wysłannicy Sawinkowa kontaktowali się albo z agentami NKWD, albo bezpośrednio z funkcjonariuszami sowieckiej bezpieki. Kluczowa była rola pewnej kontrrewolucyjnie nastawionej rodziny, której dom był punktem kontaktowym. Ona również nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest manipulowana przez NKWD. Tworzono wokół tych ludzi tak wiarygodny klimat konspiracji antykomunistycznej, że trudno się dziwić, iż dali się na to nabrać.

W przypadku Boryczki momentami wyglądało to jak prawdziwy teatr, w którym nie brakowało też kostiumów...

To było doskonale widać, gdy Boryczkę zaczęli śledzić – w niemal ostantacyjny sposób – milicjanci.



Stefan Sieńko FOT. IPN

z IV Komendy WiN, a z drugiej strony był on związany przyjacielskimi i rodzinnymi więziami z płk. Józefem Maciołkiem, dowódcą Delegatury WiN w Niemczech. W czasie wojny blisko ze sobą współpracowali w ramach AK i mieli do siebie ogromne zaufanie.

Kiedy bezpieka go zwerbowała?

Trudno powiedzieć. Sieńko twierdził, że doszło do tego w grudniu 1947 r. Niektórzy twierdzą jednak, że to się musiało zdarzyć pół roku wcześniej. Nie dziwię się, że Sieńko tak bardzo upierał się przy swojej wersji.

W takim wariantcie do jego przejścia na stronę UB doszłoby już po aresztowaniu dowództwa IV komendy WiN.

To dawało Sieńce możliwość obrony – że nie przyczynił się do aresztowania swoich dowódców i kolegów. Mam wrażenie, że Sieńko kompletnie pogubił się w swoim życiorysie. Zawsze dokonywał prób usprawiedliwienia, nie tylko wtedy,



Aresztowani członkowie WiN przy radiostacji wydobytej ze zdekonspirowanego magazynu broni FOT. IPN

■ Boryczka zorientował się, że ma „ogon”, i w tym momencie ludzie V Komendy zaczęli udawać, że robią wszystko, by zmylić bezpiekę. Zapewnili mu dodatkowe ubrania, „bezpieczne” mieszkania. Dzięki temu związali go emocjonalnie ze sobą – Boryczka mógł mieć wrażenie, że jest w dobrych rękach.

Na czym polegała praca agentów i funkcjonariuszy UB w czasie operacji „Cezary”?

Ta operacja prowadzona była głównie w oparciu o słowa, fizycznie tak naprawdę niewiele się działo. W większości to, co widzi Boryczka, to rozmowy z rzekomym dowódcą V Komendy oraz ze Stefanem Sieńką. Kurier delegatury wysłuchiwał raportów przygotowanych tak naprawdę przez UB. Rzeczywistość mieszała się w nich z kłamstwem. W ten sposób V Komenda coraz bardziej rozrastała się w tych opowieściach. W końcu ubecy zaczęli przekonywać delegaturę, że WiN zobowiązuje się do wystawienia stutysięcznej armii pół roku po wybuchu trzeciej wojny światowej. I ktoś w to uwierzył. A przecież nawet Józef Maciołek, szef delegatury, nie wiedział, kto tak naprawdę stał na czele V Komendy!

To się po prostu nie mieści w głowie...

W kontaktach z delegaturą nigdy nie padło nazwisko tego oficera! To musiał być wysokiej rangi oficer AK. Taki człowiek siłą rzeczy byłby znany. A tymczasem nigdy nie padło nazwisko dowódcy. Znany był jedynie jego pseudonim – Kos.

Co udało się panu ustalić w tej kwestii? Kim był „Kos”?

Najczęściej wcielał się w tę rolę Henryk Wendrowski, człowiek, którego mo-

żemy nazwać „ojcem” operacji „Cezary”. „Kos” miał kilka twarzy, tę rolę odgrywało paru ubeków. Wendrowski to klucz do zrozumienia, dlaczego ta operacja toczyła się tak dobrze i tak długo. Pamiętajmy, że pierwsze cztery – prawdziwe – komendy WiN to okres 1945–1948. Tymczasem V Komenda działała niemal dwa razy dłużej.

Wydawałoby się, że ktoś w delegaturze powinien się zacząć bardzo poważnie zastanawiać, dlaczego V Komenda, wobec krzepnięcia komunistycznej bezpieki, zdaje się coraz mocniejsza?

To wszystko powinno wydać się nad wyraz podejrzane, ale Wendrowski i jego koledzy, których nazywam „żołnierzami przeklętymi”, byli bardzo przekonujący. To byli AK-owcy, którzy przeszli na „ciemną stronę mocy” – Henryk Wendrowski, Stefan Sieńko, główny prowokator, a także Marian Strużyński, który został wysłany przez V Komendę do delegatury w Monachium jako kurier. Udało mu się dobrze rozpracować tamtą placówkę.

Służba w AK sprawiła, że ci ludzie rozumieli doskonale sposób myślenia podziemia. Wiedzieli, czym są patriotyzm, tradycja, przywiązanie do wiary katolickiej. Znali ten cały etos, wiedzieli, do czego się odwoływać. Czytałem bardzo charakterystyczny list wysłany przez „Kosa” do Maciołka. „Kos”, a tak naprawdę UB, pisał takim językiem i odwoływał się do takich uczuć, że Maciołek był przekonany, iż otrzymał list z okazji Bożego Narodzenia od wielkiego polskiego go patrioty.

Swoje na pewno zrobił też opłatek, który ubecy dołączyli do listu...

Właśnie o to chodzi – dzięki tej perfidii V Komenda zdawała się tak wiarygodna. Gdyby tę operację prowadzili „zwykli” ubecy, którzy nie należeli do podziemia, z tej operacji raczej nic by nie wyszło.

Jest jeszcze jedna rzecz. Z punktu widzenia Maciołka i delegatury to, co słyszeli od V Komendy, było tym, w co chcieli wierzyć. Dzięki V Komendzie czuli się potrzebni i mieli z czego żyć. To potrafiło uspić ich czujność. Dostawali jakieś materiały z kraju, Amerykanie utrzymywali ich działalność, rósł stos papierów, coś się działo... Z punktu widzenia delegatury wygodnie było wierzyć, że to wszystko prawda.

Czyli krótko mówiąc, delegaturze zabrakło zupełnie podstawowego krytycyzmu.

Tak. Przy tym dziwne, że ani delegatura, ani Amerykanie nie wysłali zewnętrznego „audytora”, który z zewnątrz przypatrzyłby się sytuacji podziemia w kraju. Ubecy bardzo się bali takiej sytuacji i dlatego wyprowadzili Henryka Wendrowskiego z ubeckiego osiedla, a także zwolniono go nawet formalnie z etatu w MBP. Nawiasem mówiąc, dochodziło do komicznych sytuacji, kiedy musiał on składać podania o kartki na mięso, bo przecież nie był zatrudniony. Dostawał więc dodatkowe pieniądze, żeby zaopatrywać się w mięso na czarnym rynku.

Pojawieniu się poważnych wątpliwości co do charakteru V Komendy na pewno nie pomagało to, że jednak jacyś ludzie byli wysyłani z kraju na szkolenia do delegatury.

Ubecy cały czas szukali ludzi, których mogliby wysłać do delegatury, by się uwiarygodnić. Los dwóch z nich – Stefana Skrzyszowskiego i Dioniego Sosnowskiego – był szczególnie tragiczny. Ubecja, podszywając się pod V Komendę, wysłała ich do delegatury na szkolenie dla dywersantów, a potem, gdy zostali odesłani przez Amerykanów pod koniec 1952 r. drogą powietrzną, przyjęła ich, aresztowała, a sąd skazał ich potem na karę śmierci. Podejrzewam, że do końca życia obaj mężczyźni nie zorientowali się, że V Komenda była prowokacją, że to wszystko był ubecki teatr. Tak naprawdę oni nie zrobili niczego złego poza nielegalnym przekroczeniem granicy. Siedzieli na melinach i czekali na rozkazy.

I tu widać perfidię Strużyńskiego, który – jak opisuje to pan w książce – zachęcał ich, by spisali wszystko, co robili w Niemczech na szkoleniu dla dywersantów. Tłumaczył im, że w ten sposób od razu będą mieli materiał do przeprowadzania szkoleń w kraju.

Ta historia zrobiła na mnie szczególne wrażenie, bo to faktycznie szczyt perfidii. Skazując na śmierć obu skoczków, komuniści osiągnęli efekt propagandowy – złapali amerykańskich



szpiegów, a zarazem usuwali świadków prowokacji. Ich akcesoria szpiegowskie, m.in. hełmy i pistolety, pokazywano później na wystawie „Oto Ameryka”. Leopold Tyrmand pisał, że Polacy faktycznie walili drzwiami i oknami na tę wystawę, ale głównie po to, żeby zobaczyć coś amerykańskiego.

W „Krokach siedmiu do końca” opisuje pan, jak w trakcie procesów kolejnych członków podziemia, którzy byli przekonani, że V Komenda to prawdziwa organizacja niepodległościowa, nawet komunistyczni prokuratorzy i sędziowie orientowali się, że coś jest nie tak. Co wzbudziło ich podejrzenia?

W archiwach dostępne jest pismo Stanisława Zarakowskiego, szefa prokuratury wojskowej, który wyrażał zdziwienie, że w różnych sprawach pojawiają się świadkowie oskarżenia o tych samych pseudonimach, ale nigdy nie stają na sali sądowej. Jak widać, bezpieczeństwa nie zdradziła swojej tajemnicy nawet szefowi prokuratury wojskowej. Ta operacja przez wiele lat była najpilniej strzeżonym sekretem. Dopiero w połowie lat 80. Polacy dowiedzieli się o niej z książki Henryka Piecucha pt. „Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą”. Najprawdopodobniej Pożoga chciał po prostu pokazać w schyłkowym PRL, jaki to sprawny wywiad miała Polska Ludowa.

Dlaczego tak długo trzymano to w tajemnicy?

Możemy podejrzewać, że bezpieka chciała zachować ten schemat

na potrzeby późniejszych operacji. Nawiasem mówiąc, w historii Solidarności widać pewne tropy zaskakująco podobne do operacji „Cezary”...

Pod koniec tej prowokacji ubek udający żołnierza podziemia spotykał się czasem z ubekiem wcielającym się w tę samą rolę i żaden z nich nie wiedział, że ten drugi też jest z „firmy”. Mimo to operacja zdawała się pełnym sukcesem i chyba nic nie stało na przeszkodzie, żeby V Komenda mogła jeszcze trochę podziać. A jednak w grudniu 1952 r. w „Trybunie Ludu” opublikowane zostało tzw. Oświadczenia Kosa i Wiktora (ten ostatni to pseudonim Stefana Sienki), rzekomych dowódców organizacji, którzy „ujawnili” się w ten sposób. Dlaczego „Cezary” tak nagle się zakończył?

Decyzja „góry” była dla ubeków wielkim zaskoczeniem. Sam Wendrowski widział siebie jako kolejnego wysłannika do delegatury, tak jak wcześniej wysłany został Strużyński. Nawiasem mówiąc, Wendrowski został potem ambasadorem PRL w Danii, więc potrafił się odnaleźć na Zachodzie. To była decyzja polityczna, którą UB musiał wykonać. W dokumentach nie ma mowy o tym, kto konkretnie za tym stał, ale możemy się domyślać, że był to raczej ktoś w Moskwie.

Podsumujmy jej efekty: 11 osób zabitych w mordach sądowych, a kilkadziesiąt osób trafiło do więzienia. Delegatura WiN była dezinformowana, a za jej pośrednictwem także Amerykanie i Brytyjczycy. Udało się też jeszcze lepiej zinfiltrować podziemie i właściwie do końca je zniszczyć.

Jeżeli chodzi o walkę z podziemiem, to wielkim sukcesem „Cezarego” było podporządkowanie V Komendzie oddziału partyzanckiego Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”, który został następnie rozbity. To nie był bardzo liczny oddział partyzancki, ale w tamtym czasie – był to już rok 1952 – bardzo szkodził wizerunkowi PRL. „Huzar”, jeden z najdłuższych działających żołnierzy konspiracji antykomunistycznej, został aresztowany

w październiku 1952 r. i stracony rok później.

Operacja „Cezary” została zakończona w 1952 r., ale Adam Boryczka za kratami trzymany był aż do 1967 r. Dlaczego?

Boryczka uznawany był za ostatniego więźnia politycznego epoki stalinizmu. Został aresztowany w 1954 r., podczas nielegalnej próby przedostania się do Polski. Trzymanie go za kratami tak długo było czymś przedziwnym. Według jednej z wersji tej historii chodziło o to, że Boryczka zorientował się, iż V Komenda to prowokacja. To mogła być też zemsta za to, że nie zgodził się na propozycję bezpiecznej – krótszej odsiadki w zamian za pewne usługi propagandowe.

Dlaczego tak właściwie jeden z głównych aktorów w tym teatrze, Stefan Sienko, zgodził się na początku lat 90. rozmawiać z panem na ten temat?

Gdy zadzwoniłem do niego z propozycją spotkania, uderzyło mnie, że niemal bez wahania wyraził zgodę. Zastrzegł tylko, że nie chce mówić niczego złego o swoich „towarzyszach broni”. Zapytałem, czy ma na myśli ubeków, ale on powiedział, że nie – chodziło mu o WiN-owców... Zastanawiałem się, dlaczego chciał ze mną rozmawiać. Doszedłem do wniosku, że było to z jego punktu widzenia jak najbardziej logiczne. Zgodził się, ponieważ czuł się bohaterem. Gdyby się nie zgodził, oznaczałoby to, że ma coś na sumieniu, że jest mroczną postacią tej historii. A tak chciał mnie przekonać do swojej wersji – współpracował z UB, żeby pomóc kolegom. Wyciągał innych WiN-owców z podziemia, żeby przestali destabilizować kraj, który wspaniale się rozwijał. On chyba naprawdę, po tylu latach życia w kłamstwach, uwierzył, że tak to wyglądało. Że był bohaterem, a nie antybohaterem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**PIOTR LIPIŃSKI
„KROKÓW SIEDEM DO KOŃCA.
UBECKA OPERACJA, KTÓRA
ZNISZCZYŁA PODZIEMIE”**

CZARNE



Pomnik Żołnierzy Wyklętych w Rzeszowie. Na pierwszym planie popiersie ppłk Łukasza Cieplińskiego
FOT.LOWDOWN/WIKIPEDIA

1947–1951 / IV Zarząd WiN

Nie mogli inaczej żyć



Tomasz Stańczyk

/ Siedemdziesiąt lat temu, 1 marca 1951 r., w więzieniu mokotowskim w Warszawie odbyła się egzekucja siedmiu członków IV Zarządu WiN

O godz. 20 został rozstrzelany – według oficjalnego dokumentu – a raczej zastrzelony metodą katyńską prezes organizacji, ppłk Łukasz Ciepliński. Po nim w odstępie kilku, kilkunastu minut zostali straceni pozostali skazani na śmierć: Józef Batory, Karol Chmiel, Mieczysław Kawalec, Adam Lazarowicz, Franciszek Błazej, Józef Rzepka. Egzekucja skończyła się po trzech kwadransach.

Niespełna cztery lata wcześniej Łukasz Ciepliński stanął na czele WiN. Stało się to po aresztowaniu prezesa płk. Franciszka Niepokólczyckiego

w październiku 1946 r. Ciepliński, kierownik Obszaru Południowego WiN, najmniej dotkniętego aresztowaniami przeprowadzonymi przez resort bezpieczeństwa, z własnej inicjatywy stanął na czele organizacji. Usiłował ją odbudować także ppłk Wincenty Kwieciński, kierownik Obszaru Centralnego, ale – jak tłumaczył historyk Michał Wenklar – „Ciepliński obawiał się jednak, że po wcześniejszych aresztowaniach również zarząd Kwiecińskiego jest zagrożony dekonspiracją. Nie podjęto więc wzajemnych kontaktów. Obawy się wkrótce potwierdziły”. Kwieciński został aresztowany w styczniu 1947 r., a na odbytej jeszcze w tym miesiącu naradzie czołowych działaczy WiN kierownictwo organizacji powierzono Łukaszowi Cieplińskiemu.

Od kadetów do WiN

Trzydziestoczeroletni wówczas Ciepliński był związany z wojskiem od czasu wstąpienia do Korpusu Kadetów. W 1936 r. ukończył szkołę podchorążych, we wrześniu 1939 r. walczył jako oficer 62. Pułku Piechoty, dowódca kompanii przeciwpancernej. Za zniszczenie sześciu niemieckich czołgów podczas bitwy nad

Bzurą został odznaczony na polu walki przez gen. Tadeusza Kutrzebę Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, następnie brał udział w obronie Warszawy.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej Ciepliński przedostał się do Budapesztu, tam w bazie przerzutowej powierzono mu przewiezienie do kraju pieniędzy i instrukcji dla organizującej się konspiracji. W Bieszczadach Ciepliński został aresztowany przez ukraińskich policjantów. Udało mu się jednak zbiec z więzienia w Sanoku. Zaangażował się w działalność Organizacji Orła Białego, a po jej scaleniu z ZWZ Ciepliński został szefem obwodu rzeszowskiego, a potem Inspektoratu Rejonowego ZWZ-Podokrąg Rzeszów. Niemal całą wojnę był na tym stanowisku (do początku 1945 r.). Jego żołnierze zdobyli plany tajnego poligonu do prób z rakietami V-2, wykryli schron dla pociągu Adolfa Hitlera, prowadzili też akcję likwidacji gestapowców i kolaborantów.

Gdy na Rzeszowszczyźnie pojawiły się oddziały Armii Czerwonej, Ciepliński nie złożył broni i rozpoczął walkę z komunistami. W październiku 1944 r. podjął nieudaną próbę ataku na więzienie w Rzeszowie, by uwolnić osadzonych tam żołnierzy podziemia niepodległościowego. Niewiele ponad rok później ppłk Ciepliński został prezesem okręgu krakowskiego WiN, a wkrótce potem Obszaru Południowego.

Na czele WiN

Gdy ppłk Łukasz Ciepliński przejął kierownictwo WiN, sytuacja niepodległościowego podziemia, a także legalnej jeszcze opozycji (PSL pod przywództwem Stanisława Mikołajczyka), przedstawiała się źle. Resort bezpieczeństwa, wspomagany przez wojsko, odnosił kolejne sukcesy w zwalczaniu antykomunistycznych oddziałów. Topniały one także z powodu amnestii i wezwań ppłk. Kwiecińskiego do ujawniania się. Sfałszowane wybory do Sejmu w styczniu 1947 r. doprowadziły do kompletnej marginalizacji, a następnie usunięcia legalnej opozycji. Po ogłoszeniu spreparowanych wyników głosowania było jasne dla społeczeństwa, że rozwinęły się wszystkie złudzenia. Polska Partia Robotnicza przypieczętowała tym „zwycięstwem

wyborczym” swą absolutną dominację. Nic więc dziwnego, że szerzyły się nastroje rezygnacji i przynębienia, zwątpienia w sens konspirowania przeciw komunistycznej władzy.

Polacy, którzy nie mogli się z nią pogodzić, mieli tylko jedną nadzieję – na zbrojną interwencję Zachodu, czyli na trzecią wojnę światową. Ciepliński był jednym z nich. Z dzisiejszej perspektywy łatwo mówić o naiwności takich rachub, wówczas jednak liczono na nowy europejski konflikt. Poza tym coś Ciepliński, żołnierz, który od siedmiu lat walczył z okupacją niemiecką, a potem komunistyczną, miał robić? Zająć się prowadzeniem sklepu w Zabrzu, którego był właścicielem (stanowiło to przykrywkę dla działalności konspiracyjnej)?

Co można było natomiast robić, czekając na trzecią wojnę światową? Na pewno nie organizować oddziały partyzancie, które wspomogłyby Amerykanów i Brytyjczyków w wyzwoleniu Polski. Zostałyby one szybko zlikwidowane przez resorty wojska i bezpieczeństwa. Realną pomocą mogła być działalność wywiadowcza.

Ciepliński nie rezygnował z oddziaływania na społeczeństwo, a ściślej mówiąc – na niektóre jego grupy. Powstały więc broszury-wezwania do pracowników sądownictwa, by przeciwstawiali się naciskom Urzędów Bezpieczeństwa. Chociaż PPS znajdowała się w sojuszu z PPR, był to związek z przymusu – to nie wszyscy socjaliści się z nim godzili. Wykorzystując ten stan rzeczy, na polecenie Cieplińskiego, jak pisał Michał Wenklar, „sporządzono broszurę »Do polskich socjalistów«, w której apelowano do członków PPS, by bronili swojej niezależności i przeciwstawiali się działaniom PPR zmierzającym do skomunizowania życia w Polsce”.

Ambitnym planem IV Zarządu WiN była próba powołania reprezentacji stronnictw politycznych – PSL, Stronnictwa Pracy oraz PPS-WRN, o ludowo-socjalistycznym obliczu ideowym. Ten Naczelny Polityczny Komitet Polski starał się stworzyć Ciepliński z myślą o kraju wyzwolonym spod komunistycznej okupacji. „NPKP, w oparciu o ugrupowania wchodzące w jego skład, miał uniemożliwić przejęcie władzy przez sanację i endecję, których aktyw, jak spodziewano się, wróciłby do kraju” – pisał Zy-

munt Woźniczka w książce „Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość”.

IV Zarząd WiN był strukturą nieliczną, kadrową, obliczoną na przetrwanie do nowego europejskiego konfliktu. Taka możliwość konfrontacji Związku Sowieckiego z Zachodem pojawiła się w momencie wybuchu kryzysu berlińskiego i wojny koreańskiej, czyli w latach 1948–1950. IV Zarząd WiN nie dotrwał do tego czasu. Łukasz Ciepliński został



Podpułkownik Łukasz Ciepliński FOT. WIKIPEDIA

aresztowany w listopadzie 1947 r., za kraty trafili także jego najbliżsi współpracownicy.

Podczas śledztwa musiało dojść – jak stwierdzał Zygmunt Woźniczka – do swego rodzaju porozumienia między Cieplińskim a resortem bezpieczeństwa. Najpewniej w zamian za wezwanie do ujawniania się członków WiN i zaprzestanie przez nich działań konspiracyjnych obiecano Cieplińskiemu, że nie będą represjonowani. W sporządzonej przez siebie notatce, pisanej za kratami, prezes IV Zarządu WiN stwierdzał, że doszedł do wniosku, iż „konspiracja nie ma sensu istnienia i przynosi wyłącznie szkody, tak państwu, jak również społeczeństwu”. Ciepliński dodawał, że uważa tak mimo wycofania przez resort bezpieczeństwa danych obietnic. Była to dramatyczna sytuacja dla podpułkownika, wiedział, że w związku z tym nie może liczyć na pobłażanie dla siebie, aresztowanych członków zarządów

■ i tych członków WiN, którzy pozostali na wolności. „Trudno oprzeć się refleksji – oceniał Woźniczka – że Ciepliński podobnie jak wcześniej wielu innych dał się oszukać UB za cenę ratowania życia swojego i współpracowników i ujawnił (tak jak kiedyś Mazurkiewicz, Rzepecki czy Malessa) znaną sieć”. Cieplińskiemu nie chodziło jednak tylko o siebie i o nich, ale wszystkich członków WiN. Chciał ich uratować przed represjami.

Śledztwo i proces

Podpułkownik Łukasz Ciepliński miał do czynienia nie tylko z ludźmi pozbawionymi honoru, którzy nie respektowali złożonych przez siebie obietnic, lecz także z „bestiami”, jak słusznie Tadeusz M. Płużański nazwał funkcjonariuszy resortu bezpieczeństwa, a także komunistycznych prokuratorów i sędziów.

„Prezes dość szybko zorientował się, że uzyskane od niego informacje nie ratują jego podkomendnych oraz współpracowników, dlatego też zmienił taktykę rozmowy z przesłuchującymi. W ślad za tym swoje metody zmienili także znani z okrucieństwa i bezwzględności oficerowie śledczy MBP” – stwierdzała Elżbieta Jakimek-Zapart w artykule omawiającym proces IV Zarządu WiN. Podpułkownik Ciepliński był przez nich katowany, podobnie jak aresztowani jego współpracownicy.

Bestie, mimo tego że uzyskały od Cieplińskiego to, co chciały, wydały na niego i członków zarządu WiN wyrok śmierci. Proces sądowy był już tylko formalnością. Dotąd w procesach prezesa WiN – Jana Rzepeckiego, a później prezesa Franciszka Niepokólczyckiego, sądzonych ze swoimi współpracownikami – nie zapadały wyroki śmierci. Tym razem było inaczej.

Proces IV Zarządu WiN odbył się trzy lata po aresztowaniu jego członków, w październiku 1950 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym. Oskarżenie obejmowało także lata niemieckiej okupacji. Podpułkownikowi Cieplińskiemu zarzucano walkę z „najlepszymi synami narodu”, tak bowiem komuniści za całą bezczelnością nazywali samych siebie. Nie zapomniano o próbie uwolnienia represjonowanych przez nich ludzi z rzeszowskiego więzienia, rozbijaniu posterunków MO i UB, zbieraniu danych

wywiadowczych. Wreszcie Ciepliński prowadził „oszczerczą” propagandę przeciw Związkowi Sowieckiemu, co było ciężkim kamieniem obrazy dla komunistów. Za godne ukarania zostały uznane kontakty IV Zarządu WiN z PSL, legalną partią polityczną oraz z „reakcyjnym klerem”.

W konkluzji oskarżenia stwierdzono, że Ciepliński i towarzysze zamierzali obalić przemocą (!) Krajową Radę Narodową, Sejm i rząd. Był to, oczywiście, absurd, ale nie do takich absurdów – a także obrzydliwych insynuacji – posuwali się komuniści piszący akty oskarżenia. IV Zarząd WiN nie miał żadnych sił ani możliwości, by obalić przemocą komunizm w Polsce.

Podczas procesu część oskarżonych, poddana w śledztwie ogromnej presji fizycznej (tortury) i psychicznej, zeznała – jak stwierdzała Elżbieta Jakimek-Zapart w artykule o procesie – wbrew swoim przekonaniom, także o sytuacjach, które się nie wydarzyły, a oświadczenia Cieplińskiego, że nie miał dostępu do akt sprawy (!), zeznania zaś podpisywał zmuszony przemocą fizyczną, były ignorowane.

Skład sędziowski pod przewodnictwem Aleksandra Wareckiego skazał Łukasza Cieplińskiego i sześciu członków zarządu na karę śmierci. Makabrycznie brzmiało sformułowanie, że łączną karą za „przestępstwa”, po zastosowaniu przepisów amnestii, jest kara śmierci. Ciepliński został skazany z siedmiu

paragrafów na śmierć, z dwóch na kary kilkunastoletniego więzienia, obniżone na mocy amnestii do kilku lat...

Jego grypsy do rodziny, w tym do małego syna, są wzruszającym, pięknym świadectwem miłości do Polski i rodziny. Pragnął, by syn przejął ideę walki o niepodległość. Ciepliński nie zapomniał też o swoich podkomendnych z AK. „W pracy i walce widziałem tak wielkie umiłowanie ojczyzny, bohaterstwo i bezgraniczne poświęcenie i oddanie Sprawie, że ze wzruszeniem myślę o nich i Bogu dziękuję, że pozwolił mi dowodzić synami bohaterskiej ziemi Rzeszowskiej”. O sobie napisał: „Nie mogłem inaczej żyć”.

Najwyższy Sąd Wojskowy pod kierownictwem Wilhelma Świątkowskiego zatwierdził wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego, a prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

„Gdy mnie będą zabierać – pisał Ciepliński z celi śmierci – to ostatnie moje słowa do kolegów będą: cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Ojczyznę i jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę, bardziej niż kiedykolwiek, że Chrystus zwycięży, Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Listy Łukasza Cieplińskiego cytowane za: E. Jakimek-Zapart, „Nie mogłem inaczej żyć... Grypsy Łukasza Cieplińskiego z celi śmierci”, Kraków 2007.



Cela więzienia na Rakowieckiej w Warszawie. Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. FOT. JOANNA VAN FENEMA 12/WIKIPEDIA

KONIEC systemu



wtorek
21:30

zaprasza **Dorota Kania**



Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Ryszard Staszkiwicz ps. Łoś (ur. 1928 r.) był żołnierzem 6. Wileńskiej Brygady AK. W 1946 r. został skazany na siedem lat więzienia za działalność niepodległościową

FOT. IPN SZCZECIN



Wywiad / Z Ryszardem Staszkiwiczem ps. Łoś, żołnierzem 6. Wileńskiej Brygady AK, członkiem podziemia antykomunistycznego



rozmawia Piotr Włoczyk

Mundur SS dla AK-owca

**/ Siedziałem w piwnicznej celi.
Nad ranem słycać było strzały.
To ubecja rozstrzeliwała młodych chłopaków
z podziemia – mówi weteran**

PIOTR WŁOCZYK: Wygląda na to, że na przełomie lat 1943 i 1944 nie narzekał pan na brak zajęć...

RYSZARD STASZKIEWICZ PS. ŁOŚ: W listopadzie 1943 r. złożyłem przysięgę i w ten sposób oficjalnie dołączyłem do



6. Wileńskiej Brygady AK. Ze słynną 5. Brygadą pod dowództwem mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszk” często działaliśmy wspólnie. W jednej wsi kwaterowali oni, a w drugiej my. Zawsze jedni mogli liczyć na pomoc drugich. W czasie jednej z większych akcji, podczas ataku na Ostrowiec [obecnie w obwodzie grodzieńskim na Białorusi – przyp. P.W.] w kwietniu 1944 r., zostałem bardzo ciężko ranny.

Gdzie pan oberwał?

W lewą stronę klatki piersiowej. Trafił mnie odłamek grantu. Miałem taką dziurę, że ponoć było widać, jak mi serce bije. Lekarz nie dawał mi większych szans na przeżycie. Koledzy z oddziału chcieli mnie jednak ratować za wszelką cenę. Zdecydowali się zawieźć mnie do Wilna. Nie do szpitala, tylko do prywatnego domu, gdzie miał się mną zajmować lekarz współpracujący z podziemiem. Rodzina, która mnie przyjęła, doskonale wiedziała, że jeśli Niemcy albo Litwini znajdą u nich AK-owca, to wszystkich rozstrzelają.

Ile osób ryzykowało w ten sposób dla pana swoje życie?

Rodzice i dwoje dzieci. I to właśnie tacy ludzie byli dla mnie prawdziwymi bohaterami. Dziś często o takich jak ja mówi się „bohaterzy”, ale ja zawsze poprawiam ludzi, którzy tak mnie nazywają. Ja nie byłem bohaterem, tylko spełniałem mój obowiązek. Nie zrobiłem niczego nadzwyczajnego, chłopaki w moim wieku masowo garnęli się do podziemia. To cywile z Polskiego Państwa Podziemnego, którzy ryzykowali wszystko, życie własnych rodzin, byli bohaterami.

Dlaczego 6. Brygada zaatakowała wtedy Ostrowiec?

Chcieliśmy zdobyć kontrolę nad miasteczkiem, żeby zaopatrzyć się kosztem okupantów. Rozbiliśmy wtedy posterunek Niemców i Litwinów. Zdobyliśmy olbrzymie zapasy żywności, broni i amunicji. To była naprawdę duża akcja, ale w tamtym okresie niemal codziennie coś się działo. Nikt nie stał z bronią u nogi.

Miał pan wtedy 15 lat. W jakiej roli pan służył w 6. Brygadzie?

Jako zwykły partyzant.

Z bronią w rękę?

Oczywiście, z bronią w rękę. My byliśmy zupełnie inaczej wychowywani. Cztery lata wojny były prawdziwą szkołą życia. Czuliśmy się dorosłymi mężczyznami. W mojej 13-osobowej drużynie tylko dowódca nie był nastolatkiem – miał 20 lat. Reszta miała 16, 17, 18 lat. Ja byłem najmłodszy, ale koledzy traktowali mnie bez taryfy ulgowej. Podczas akcji nikt mnie nie trzymał z tyłu, tylko szedłem tam, gdzie wszyscy.

Co na to pańscy rodzice? Byli zadowoleni, że syn w tak młodym wieku chwycił za karabin?

Mamy nie miałem, bo wcześniej zmarła. Ojciec legionista powiedział mi tylko: „Trudno, ja cię nie zatrzymam. Jeżeli tego właśnie chcesz, to idź. Ja cię błogosławię”. Miałem jeszcze dwie siostry. Starsza Wala też działała w podziemiu, była łączniczką. Tak to wtedy wyglądało – młodzież garnęła się do służby, szczególnie jeżeli była wychowywana w domu legionisty. Mieszkaliśmy wtedy na Wileńszczyźnie we wsi Żeligowo.

Rozumiem, że nazwa nie była przypadkowa.

Oczywiście, że nie. Wioska została nazwana na cześć gen. Lucjana Żeligowskiego, który zwrócił Polsce Wileńszczyznę.

Co się z panem działo po wyleczeniu rany?

Pod koniec maja 1944 r. byłem już jako tako na chodzie i wróciłem do brygady. Musiałem się jeszcze trochę oszczędzać, ale szybko dochodziłem do zdrowia.

W operacji „Ostra Brama” nasza brygada nie brała udziału, bo stacjonowaliśmy za daleko. Nie byliśmy w stanie dotrzeć na czas. Wreszcie Sowieci kazali nam zdać broń. Wyobraża pan sobie, co to dla nas oznaczało? Żeby zdobyć te karabiny, pistolety i amunicję, nie jeden z naszego oddziału zginął. A my musieliśmy to po prostu grzecznie oddać Sowiecom...

6. Brygadą dowodził wówczas kpt. Adam Boryczka ps. Tońko, cichociemny, który po wojnie został wciągnięty w ubecką prowokację – V Komendę WiN. Boryczka uważany jest za ostatniego więźnia stalinizmu. Aresztowany w 1954 r., na wolność wyszedł po 13 latach, w 1967 r.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, jak mój dowódca miał na nazwisko, bo przecież w konspiracji nie mieliśmy nazwisk, tylko pseudonimy. To był urodzony dowódca. Wymagający względem nas, ale przede wszystkim wymagający względem siebie.

„Tońko” zebrał brygadę w Puszczy Rudnickiej i powiedział: „Kto chce zostać ze mną, to wystąp, ale kto chce iść do domu, nie mam żadnych pretensji”. Ja wystąpiłem. „Tońko” wiedział, że byłem ranny, i nie zgodził się, żebym został. Powiedział, że teraz walka będzie wyglądała inaczej – będzie jeszcze ciężiej. Poszedłem więc do domu. Nie uszedłem jednak daleko. Po drodze złapali mnie NKWD-ziści i zabrali do obozu w Miednikach. Tam już czekało na mnie ponad 5 tys. takich jak ja AK-owców. A stamtąd wywieźli mnie do obozu w Kałudze pod Moskwą.

Jak was tam traktowali Sowieci?

Jak to w obozie. Cały miesiąc nas ćwiczyli, bo chcieli nas wcielić do Armii Czerwonej. Nie do wojska Berlinga, tylko właśnie do Armii Czerwonej. Po miesiącu wyprowadzili nas na plac. Przed nami stały olbrzymie plansze z ruską przysięgą. Zaczęły się gwizdy, niektórzy zaczęli rzucać kamieniami w te plansze. Reakcja była błyskawiczna. Rozebrali nas z lepszych ubrań, dali łachy i wywieźli do lasu. Rąbaliśmy tam drewno. Na szczęście szybko przyszedł rozkaz, że roczniki 1928, 1929 i 1930 mają być zwolnione z uwagi na wiek.

Na drugi dzień po powrocie do domu odwiedził mnie NKWD-zista. Pokazałem mu papier ze zwolnieniem, ale on powiedział, że dla niego to nie jest żaden dokument. To oznaczało duże problemy. Ojciec zdecydował, że natychmiast wyjeżdżamy całą rodziną do Polski. Z dnia na dzień musieliśmy zostawić cały nasz dobytek i pożegnać się na zawsze z Wileńszczyzną.

I w ten sposób osiedlił się pan wraz z rodziną na Pomorzu Zachodnim.

Przyjechaliśmy do Stargardu Szczecińskiego, ale tam połowa miasteczka to byli Sowieci. Wybraliśmy wieś Marianowo pod Stargardem. Ciężko było jednak żyć tak po prostu, jakby nic złego się wokół nas nie działo. Bardzo mi się nie podobały nowe porządki w Polsce, więc nawiązałem kontakt z ludźmi z 5. Brygady Wileńskiej AK, ■



Teren byłego łagru Perm-36

FOT. WIKIWAND

■ którzy działali na tych terenach. Jak już wspomniałem, obie nasze brygady żyły ze sobą w świetnej komitywie. Nawiązałem kontakt bezpośrednio z Zygmuntem Błażewiczem, dowódcą 1. Szwadronu 5. Brygady. We wrześniu 1945 r. zacząłem chodzić do liceum w Stargardzie Szczecińskim. Szybko okazało się, że w mojej szkole nie brakuje chłopaków, którym bardzo nie podobają się czerwone porządki. W sumie było nas 20. Zaczęliśmy więc działać.

Jak konkretnie?

Rozbrajaliśmy posterunki i dzięki temu zdobywaliśmy broń i amunicję. Tak sprawnie udawało nam się to wszystko organizować, że obywało się bez walki. Nasze zdobycze wysyłał do Olsztyna, gdzie odbierali to ludzie 5. Brygady. Ta działalność trwała jednak raptem kilka miesięcy. W lutym 1946 r. zostaliśmy aresztowani.

Jak wpadliście?

Tak jak zazwyczaj to się działo – wśród naszej dwudziestki znalazł się zdrajca. Nie będę go wymieniał z nazwiska, bo ten człowiek już nie żyje. Traktuję go już jako zamknięty rozdział historii.

Jak się z panem obchodzili? Przypomnijmy, że nie miał pan jeszcze skończonych 18 lat.

Na UB w Stargardzie jeszcze tego samego wieczora zaprowadzili mnie na przesłuchanie. Za stołem siedzieli major z NKWD i szef stargardzkiego UB. Na pytanie, do jakiej organizacji należę, odpowiedziałem, że do harcerstwa... Chyba nie spodobała im się ta

odповідź, bo tak dostałem w ucho, że spadłem ze stołka. Więcej mnie już nie bili. Odprowadzili mnie do celi w piwnicy i na drugi dzień przewieźli nas do Szczecina, do siedziby wojewódzkiego UB przy ul. Małopolskiej.

Niech pan sobie teraz wyobrazi trzy miesiące przesłuchań – noc w noc – czyli po prostu trzy miesiące bicia. Najczęściej bili mnie w nerki, uda i pięty. Czasami do celi musieli mnie ciągnąć po schodach, bo nie mogłem iść. Trzy miesiące trwało to ich rzekome śledztwo. A potem zaczął się proces przed sądem wojskowym. Wyrok – siedem lat więzienia i pięć lat pozbawienia wszelkich praw obywatelskich.

Niezbýt ciekawa perspektywa dla 17-latk...

No, niestety. Od razu przewieźli mnie do aresztu UB przy ul. Kaszubskiej. Wsadzili mnie do celi w piwnicy z innymi takimi jak ja. Nad ranem słychać było w murach aresztu strzały. To ubecja rozstrzeliwała młodych chłopaków z podziemia. Wyobraża pan sobie, że oni wyprowadzali nas z cel, żeby pokazać nam pomieszczenie, gdzie na podłodze były rozrzucone zakrwawione trociny?

Co na pana czekało we Wronkach?

Esesmańskie mundury. Chyba nie muszę tłumaczyć, co dla takiego chłopaka jak ja oznaczało chodzenie w esesmańskich łachach. W tym mundurze przeżyłem cztery lata swojego życia. W celi o powierzchni 8 mkw. siedziało nas sześciu. Bić nie bili, ale nie brakowało szykan. Proszę sobie wyobrazić kilka lat spania na betonie. Niby mieliśmy sienniki, ale one były

tak wytarte, że w zasadzie spaliśmy na posadzce. Z siedmioletniego wyroku odsiedziałem cztery lata. Zwolnili mnie 28 lutego 1950 r., dokładnie w czwartą rocznicę aresztowania.

Jak pan wspomina ten dzień?

Siostra po mnie przyjechała. Czekąca pod bramą więzienia. Nic nie mówiliśmy, ani ona, ani ja, tylko płakaliśmy. Kiedy dotarliśmy na dworzec, siostra powiedziała, że kupi mi bilet. Ja odpowiedziałem, że to wykluczone: „Państwo mnie tu za darmo przywiozło, to i za darmo mnie odwiezie”. Kiedy podszedł do nas konduktor, powiedziałem, że wracam z Wroniek... Konduktor, słysząc to, stanął na baczność, zasalutował mi i poszedł dalej sprawdzać bilety. W ten sposób bez problemów dojechałem do domu.

Dzisiaj znany jest pan w Szczecinie jako człowiek, który stara się przekonać miasto do upamiętniania ludzi podziemia.

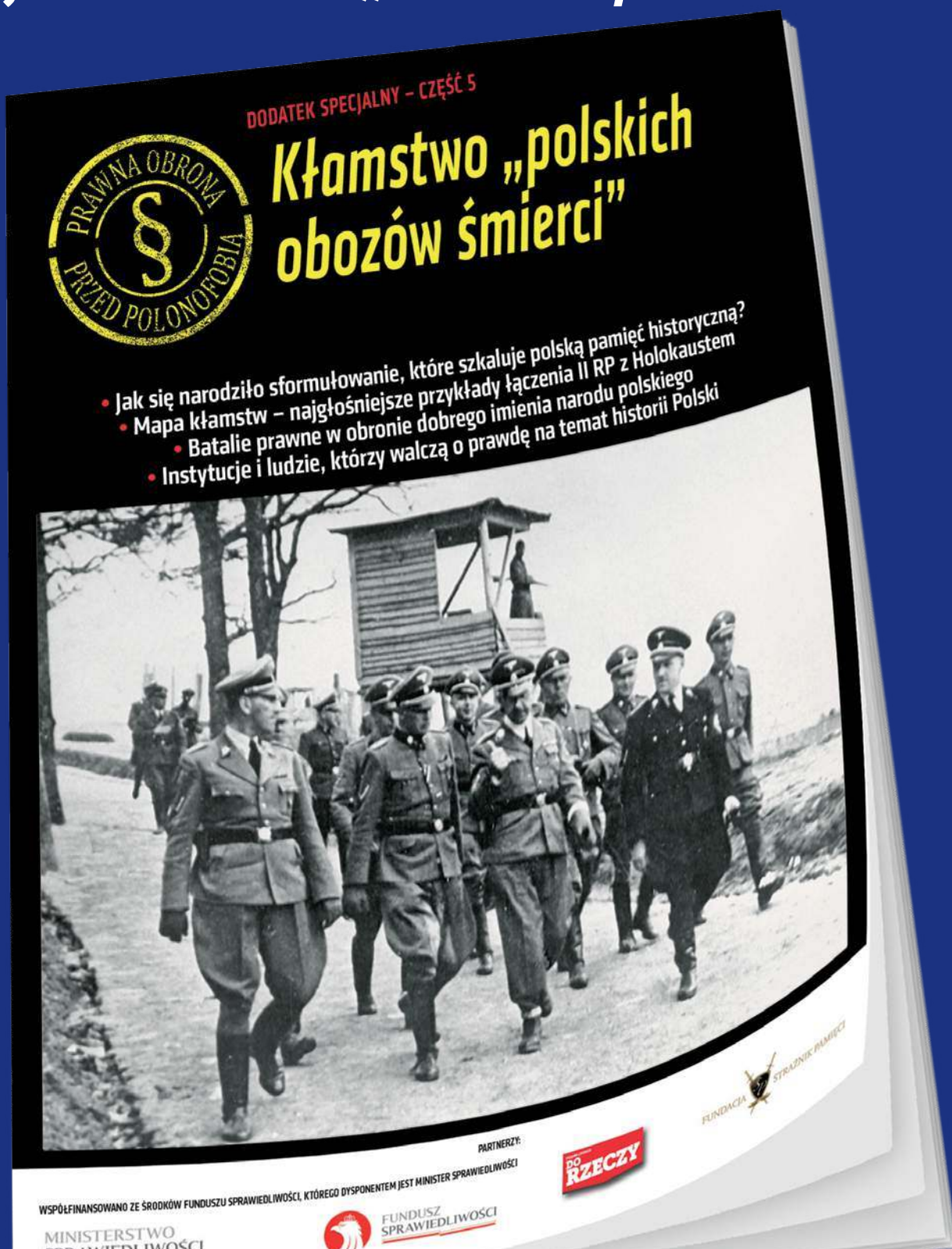
Uważam, że to mój obowiązek. Zacząłem od próby zainteresowania władz miasta piwnicą w areszcie przy ul. Kaszubskiej. Chciałem, żeby to miejsce kaźni żołnierzy podziemia wyglądało godnie. Rok to trwało, ale się udało. Dziś wisi tam tablica przypominająca, że w tym miejscu mordowano żołnierzy AK i NSZ. Starałem się też o tablicę na siedzibie UB przy ul. Małopolskiej. Też się udało.

Wciąż nie udało się jednak panu przekonać miasta do pomysłu postawienia pomnika Polskiego Państwa Podziemnego.

Niestety, wciąż o to walczę. To ma być upamiętnienie ludzi takich jak ta wileńska rodzina, która ryzykowała wszystko, by mnie ratować. Władze Szczecina twierdzą, że miejscem, gdzie mógłby stanąć taki pomnik, może być cmentarz. Ja jednak chcę, żeby to było godne miejsce, gdzie ludzie chodzą z rodzinami na spacer, np. nasze piękne Jasne Błonia. Mam wyliczenie pokazujące, że postawienie takiego pomnika kosztowałoby 48 tys. zł. Czy miasta na to nie stać? Nie żartujmy. Mam nadzieję, że ktoś to w końcu przemyśli i uda się w Szczecinie tak upamiętnić Polskie Państwo Podziemne, żeby każdy mieszkaniec miasta kojarzył ten pomnik i rozumiał, jakie stoją za nim wartości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 8 marca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl b3e6b4d092

1945–1953 / Operacja „Ośrodek” zwana „afērą Bergu”



Zamek Berg FOT. ZMICA/WIKIPEDIA



Sławomir Cenckiewicz

Uwięziono ponad 400 Polaków. Wielu z nich straciło życie. Prowokację bezpieki umożliwił brak odpowiedzialności emigracyjnych polityków

Kres mitu polskiego uchodźstwa

W jednym z numerów dwutygodnika „Głos” ukazującego się w Londynie na początku lat 50. możemy przeczytać, że polskie uchodźstwo trawia dwa gatunki agentur – wrogie i przyjacielskie (sprzymierzone). „Celem tej dywersji – pisano – uprawianej systematycznie od kilku lat, jest pogłębienie istniejącego wśród nas rozbitcia. Nie zdajemy też sobie sprawy z tego, ile tej dywersji wrogiej agentury mamy do

zawdzięczenia”. Myli się ten, kto uważa, że anonimowemu autorowi tych słów chodziło wyłącznie o agenturę komunistyczną. Chodziło również o agenturę amerykańską.

Parę miesięcy później w tym samym londyńskim „Głosie” czytamy: „Jak wiadomo, Stany Zjednoczone przeznaczyły milionowe kwoty na pomoc dla uchodźców zza żelaznej kurtyny. Lecz pomoc ta jest nieskoordynowana. Płynie różnymi kanałami. Jeden kanał nie wie, ile otrzymuje drugi, i odwrotnie. Pomoc amerykańska

nosi przeważnie charakter poufny. Nie ma – jak dotąd – charakteru operacji kredytowej zawartej z jednej strony przez Stany Zjednoczone, z drugiej – przez oficjalną reprezentację uchodźstwa polskiego”.

Iluzja wsparcia

Początki współpracy wywiadowczej polskiej emigracji z zachodnimi aliantami sięgają co najmniej 1945 r., nie licząc okresu wojennego, kiedy to służby

brytyjskie przejęły faktyczną kontrolę nad polskim wywiadem na Zachodzie (częściowo także w okupowanym kraju). Jednym z najważniejszych problemów, przed którym stanął wówczas rząd RP na uchodźstwie, było zachowanie łączności z okupowanym przez Sowieców krajem. Chodziło w pierwszym rzędzie o wspomaganie konspiracji antykomunistycznej poprzez przerzut broni i pieniędzy, a tym samym podtrzymanie oporu, licząc na rychły wybuch trzeciej wojny światowej pomiędzy „wolnym światem” a Sowietami. Na informacjach „z pierwszej ręki” zależało również zachodnim aliantom niechęcącym narażać swoich dyplomatów pracujących w Warszawie na niebezpieczeństwo.

Problem utrzymania łączności z krajem znalazł się w kompetencjach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kierowanego od 1944 r. przez Zygmunta Berezowskiego ze Stronnictwa Narodowego. Łączność utrzymywano głównie dzięki reemigrantom, grupie kurierów i emisariuszy kontaktujących się w kraju z cywilno-wojskowymi strukturami Stronnictwa Narodowego oraz Zrzeszeniem „Wolność i Niezawisłość”. Zresztą obie struktury – zarówno SN, jak i WiN – dysponowały własną siecią łączności. W pierwszym okresie wielu kurierów rekrutowano na Wyspach Brytyjskich oraz w obozach repatriacyjnych, głównie w zachodnich strefach okupacyjnych na terenie Niemiec.

„Bez zgody rządu polskiego w Londynie – mówił z przerwaniem emigracyjny działacz ludowy Jerzy Kuncewicz – Amerykanie zorganizowali w Niemczech oddział dla dywersji w Polsce, wciągając do tego szereg Polaków. Angażowani do tego oddziału otrzymują 180 dolarów gotówki na rękę, otrzymują ubezpieczenie na 10 tysięcy dolarów i urlop co trzy miesiące z prawem bezcłowego wjazdu do Anglii lub Ameryki, czyli mogą szmuglować, co im się podoba”.

Kurierów werbowano na ogół spośród „dipisów” [od ang. displaced persons] na terenie obozów repatriacyjnych. W okupowanych Niemczech było ich blisko sto, a niemal przy każdym funkcjonowały komórki wywiadu brytyjskiego bądź amerykańskiego namawiające Polaków do odbycia misji rozpoznawczych na terenie Polski Ludowej. W procederze tym pośredniczyli przedstawiciele rządu RP na uchodźstwie.

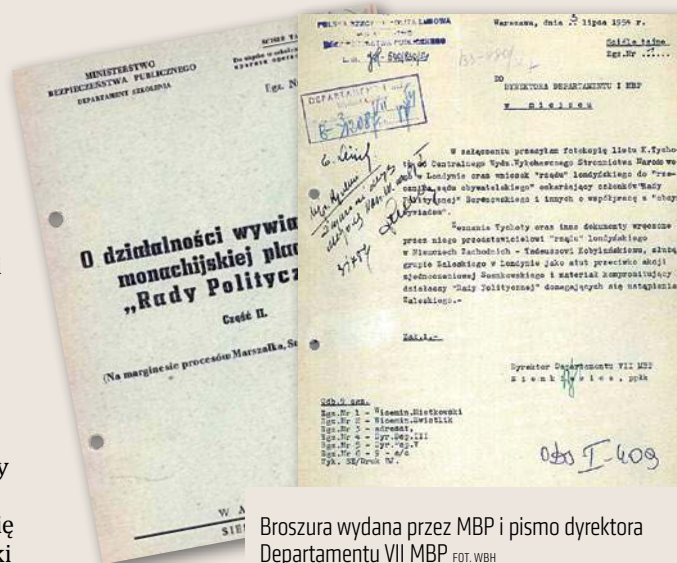
W jednej z notatek Departamentu I Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego czytamy: „W miejscowości Valka k/Nürnberg znajduje się obóz dla uciekinierów w Polski i Czechosłowacji. Na teren tego obozu przyjeżdżał pracownik Komitetu Pomocy Uchodźcom z Monachium posługujący się nazwiskiem Urbański Antoni, który werbował uciekinierów z Polski.

W jednym wypadku werbunek odbył się na tej podstawie, że werbowanemu Urbański przyobiecał wyjazd do USA pod warunkiem, że pojedzie do Polski i zbierze pewne informacje wywiadowcze. Urbański poinstruował tego agenta, w jaki sposób ma zbierać informacje wywiadowcze w wojsku i jak rysować szkice obiektów. Następnie dano agentowi nowe ubranie i polecono wyjechać do Polski”.

Niektóre z ośrodków wywiadowczych ulokowanych w obozach posiadały w kraju własną sieć wywiadowczą. I tak np. ośrodek w Quackenbrück dysponował w kraju siatką o kryptonimach Czarny i Oko. Jej bazą werbunkową były obozy „dipisów” w Wendorf, Meppen, Göttingen, Bersenbrück, Osnabrück i Berlinie Zachodnim. Wiele wskazuje jednak na to, że już w kwietniu 1948 r. ośrodek w Quackenbrück został spenetrowany przez agentów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Przejeli oni pełny wykaz uchodźców, którzy w okresie od stycznia do kwietnia przeszli przez ośrodek Quackenbrück, włącznie z podaniem adresów rodzin w kraju oraz zeznaniami z pobytu w Polsce. Agencja MBP dotarła do samego szefa ośrodka w Quackenbrück – znanego socjalisty Jerzego Gawendy – o czym świadczą raporty konfidentów z jesieni 1948 r.

Emigracja agenturalna

Beznadziejna sytuacja w kraju, brutalne pacyfikacje „ostatnich leśnych”, a tak-



Broszura wydana przez MBP i pismo dyrektora Departamentu VII MBP. Fot. WGB

że kryzys polityczny i rozbięcie w „polskim Londynie” po śmierci prezydenta Władysława Raczkiewicza w 1947 r. sprawiły, że część uchodźstwa orientowała się na bliską współpracę wywiadowczą z Amerykanami. Celowały w tym ugrupowania skupione wokół emigracyjnej Rady Politycznej (Stronnictwo Narodowe, Polska Partia Socjalistyczna, Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”), a zwłaszcza Stronnictwo Narodowe, którego przedstawiciele od 1948 r. prowadzili rozmowy z CIA. W 1949 r., nie oglądając się na prezydenta i rząd RP, który jeszcze wówczas uznawał ogół emigrantów, prezes SN i członek Rady Politycznej Tadeusz Bielecki – przed wojną bliski współpracownik Romana Dmowskiego – osobiście prowadził rozmowy w Departamencie Stanu USA na temat współdziałania uchodźstwa w dziele realizacji polityki amerykańskiej względem zniewolonej Polski. Bielecki przekonywał polityków amerykańskich, że narodowcy dysponują wieloma „nieoficjalnymi kanałami, którymi można dotrzeć do ludzi w Polsce”.

Podobne stanowisko prezentował Stefan Korboński, który w oczach komunistów zyskał miano czołowego „agenta amerykańskiego”. Powołując się na własne informacje zdobyte drogą operacyjną, funkcjonariusze MBP twierdzili, że Korboński współpracuje z CIA jako specjalista od organizacji podziemia w Polsce. Jeden z agentów MBP, opierając się na rozmowach z Jerzym Lerskim, w listopadzie 1952 r. donosił, że Korboński wyjechał do Europy (ze Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkał) w celu

■ werbowania ochotników na kurierów, mających udać się z misją do kraju.

Nieco wcześniej do drzwi urzędów waszyngtońskich kołatał także gen. Władysław Anders, który w Departamencie Obrony złożył ofertę reaktywacji Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie gotowych walczyć z Sowietami. Bohaterski generał spod Monte Cassino przez kilkanaście miesięcy otrzymywał subwencje finansowe w zamian za „dostarczanie wiadomości wywiadowczych z kraju”. Również Tadeusz Bielecki dostał od Amerykanów 62 tys. dol. na prowadzenie akcji dywersyjnej w kraju, natomiast wpływy Rady Politycznej wynosiły ok. 7 tys. dol. miesięcznie.



Edward Sojka FOT. WBH

postępował się jej mąż i jego kurierzy oraz adres skrytki kontaktowej w brytyjskiej strefie okupacyjnej, na który agent „Wojciech” miał odtąd przekazywać materiały z kraju.

MBP podjęło intensywne rozpracowanie Heleny Sordyl, które w krótkim czasie przyniosło efekt rozpoznania jej kontaktów w kraju. Ostaszewskiemu natomiast stworzono „legendę” antykomunisty i uciekiniera, który odtąd zszedł do podziemia i ukrywał się w kraju pod fałszywą tożsamością „Jana Grochowskiego”. Tak powstał plan przerzutu agenta „Wojciecha” za granicę i rodziła się jedna z najważniejszych operacji bezpieczeństwa w całej historii Polski Ludowej, której nadano kryptonim Ośrodek. Ostaszewski został operacyjnie przeszkolony przez MBP. Skojarzony z ważną agentką MBP – Wandą Macińską (ps. 17), a dzięki znajomości z legendą Stronnictwa Narodowego – Adamem Mireckim, zyskał „legendę” twórcy własnej siatki wywiadowczej (która była fikcją) i krajowego emisariusza obozu narodowego do ośrodków emigracyjnych.

W ten sposób 13 listopada 1950 r. „Wojciech” znalazł się na terenie zachodnich Niemiec, gdzie od razu zyskał zaufanie Polaków i ich zachodnich protektorów. Latał samolotem między ośrodkami wywiadowczymi polskiej emigracji a „polskim” Londynem, gdzie przyjmował go i instruował sam prezes SN Tadeusz Bielecki. Spenetrował w ten sposób Wydział Krajowy Rady Politycznej, który odpowiadał za całość roboty wywiadowczej skierowanej na kraj w porozumieniu z Amerykanami i Brytyjczykami. W krótkim czasie dostarczył wiele sfotografowanych dokumentów, w tym sporo adresów kontaktowych w kraju i charakterystyk kurierów wysyłanych do kraju.

Dodatkowo w lipcu 1952 r. przerzucono na Zachód agentkę MBP o ps. 17 – Wandę Macińską, która miała uwiarygodnić fikcyjną siatkę wywiadowczą ze Szczecina. Świetnie konspirując swoją rolę, „17” została zatrudniona w bazie „Południe” i nie narażając się na dekonspirację, prowadziła „jedynie” korespondencję z krajem poprzez kurierów i oficjalną pocztę, co w całości kontrolowała bezpieka.

Efekt operacji

Z akt Urzędu Bezpieczeństwa wynika, że już w 1951 r. bezpieka miała doskona-

ka. Nad całością pracy wywiadowczej czuwał Edward Sojka, który przekazywał informacje bezpośrednio Bieleckiemu i Berezowskiemu.

Jednak nadzór i kontrolę nad placówkami pełnili Amerykanie. Pieniądze przekazywał oficer wywiadu wojskowego USA, a przed wojną sekretarz ambasady amerykańskiej w Warszawie, posługujący się pseudonimem Zdzisław. Obie bazy przeprowadziły łącznie 47 wypraw do kraju (cztery drogą morską), w czasie których w ręce bezpieki wpadło 14 kurierów.

Anatomia prowokacji

Zaledwie po kilku latach okazało się, że jednym z prowadzących szkolenia w placówce „Południe” był agent MBP – Jan Ostaszewski ps. Wojciech, a od czerwca 1952 r. łącznikiem bazy została Wanda Macińska, również agentka bezpieczeństwa o ps. 17. Wszystko zaczęło się już jesienią 1948 r., kiedy do zamieszkałego w Szczecinie Jana Ostaszewskiego zgłosiła się Emilia Kozieł i poinformowała go, że reprezentuje endecką siatkę wywiadowczą w kraju i samego „Niebora”, czyli mjr. Stefana Sordyla, który z Salzburga kieruje akcją wywiadowczą na kraj. Wysłanniczka nie zdawała sobie sprawy, że rozmawia z agentem bezpieczeństwa, więc nieświadomie zainicjowała jedną z modelowych operacji MBP. Wkrótce do „Wojciecha” zgłosiła się żona mjr. Sordyla – Helena, która powołując się na wcześniejsze rozmowy Emilii Kozieł, dostarczyła mu szyfr, którym

Umowy wywiadowcze

Umowa zobowiązywała stronnictwa Rady Politycznej do popierania amerykańskiej polityki zimnej wojny, podtrzymywania w kraju ducha oporu, dostarczania wiadomości i przygotowania stacji radionadawczych na terenie Polski, rozbudowy w kraju sieci rezydentów i informatorów (ang. PI) oraz przesłuchiwania uciekinierów z kraju. W zamian za to Amerykanie finansowali działalność Rady Politycznej. W 1951 r. podobną umowę zawarło również z Brytyjczykami. Wiadomo, że do końca 1952 r. Rada Polityczna otrzymała od Amerykanów ok. 840 tys. dol., stronnictwa polityczne ok. 170 tys. dol., czyli łączne zobowiązania amerykańskich mocodawców opiewały na ponad milion dolarów.

Umowy o współpracy zawarte z Amerykanami i Brytyjczykami pociągnęły za sobą założenie dwóch placówek tzw. baz łączności – bazy „Północ” w Oerlinghausen, a od wiosny 1952 r. w Mülheim; oraz bazy „Południe” początkowo z siedzibą w Rotach koło Tagernesse, a później w Monachium i wreszcie w miejscowości Berg pod Starnbergiem w Bawarii. Placówki „Północ” i „Południe” posiadały swoje ekspozytury w Berlinie Zachodnim, Austrii i Szwecji. Kierownictwo, podobnie jak większość personelu placówek stanowiły działacze Stronnictwa Narodowego. „Południem” kierował najpierw Stanisław Komeniowski, a następnie Władysław Furka, natomiast bazą „Północ” Kazimierz Tychota, później zaś Wiktor Zdrzał-

łe rozpoznanie w działalności baz łączności. W Warszawie dysponowano dokładną listą pracowników obu placówek, znane też były skrzynki adresowe i meliny graniczne, wykorzystywane przez kurierów. Sporządzono również listę ponad 50 osób w kraju, utrzymujących kontakty z kurierami z Niemiec. Bezpieka świetnie orientowała się w metodach działania ośrodków wywiadowczych, a także w sytuacji wewnątrz baz. „Paczki do kraju idą zakamuflowane w konserwach (kompoty) – czytamy w jednym z donosów agenturalnych. – Zawierają instrukcje i pieniądze. Wszelką korespondencję z kraju chcą mieć via Anglia, bo przez Anglię przychodzą wiadomości z kraju pisane w książkach atramentem sympatycznym”.

Tylko w 1952 r. w ramach operacji „Ośrodek” aresztowano w kraju 224 osoby i przejęto znaczne sumy pieniędzy szmuglowane do Polski. Skala prowokacji zbierała później dalsze żniwo. Tylko na przełomie stycznia i lutego 1953 r. aresztowano 200 osób, z których wiele straciło życie.

23 grudnia 1952 r. agenci MBP – Jan Ostaszewski i Wanda Macińska – formalnie oddali się w ręce komunistycznych służb konsularnych w Berlinie Wschodnim, a 31 grudnia 1952 r. Radio Warszawa poinformowało o ich powrocie do Polski (nie podano prawdziwych nazwisk). 1 stycznia 1953 r. informację tę powtórzyła „Trybuna Ludu” w krótkiej notce o jakże znamiennej tytule – „Nie chcą więcej służyć wywiadowi USA”. Mnożyły się kolejne publikacje na temat „afery Bergu” wieńczące ostateczny koniec operacji „Ośrodek” wzorowanej na sowieckiej operacji „Trust” z lat 20.

W „polskim Londynie” zawrzało. Politycy Rady Politycznej opowiadali bajki o porwaniu Ostaszewskiego i Macińskiej przez bezpiekę. Wiosną 1953 r. gwóźdź do trumny wbił Kazimierz Tychota, jeden z szefów bazy „Północ”. Nie godząc się z decyzją przełożonych Tychota ujawnił szczegóły „roboty wywiadowczej”, Sojkę zaś oskarżył o „działanie na szkodę interesu narodowego”. Emigracyjny prezydent August Zaleski mówił o „oszałamiającym brzęku obcych pieniędzy”, oskarżając tym samym polityków Rady Politycznej o działalność agenturalną na rzecz Ameryki i Wielkiej Brytanii.



Berg stał się symbolem sprzedajności w polityce, wzmocnił też antyemigracyjną propagandę komunistów i kładł podwaliny pod akcję reemigracyjną. Był faktycznym końcem siły politycznej i mitu uchodźstwa polskiego. Ponadto – co warto podkreślić – „afera Bergu” pchnęła wielu działaczy emigracyjnych w objęcia reżimu warszawskiego, żeby wymienić choćby Klaudiusza Hrabyka czy Stanisława Mackiewicza, którzy podjęli nawet współpracę z bezpieką.

W broszurze „O handel śmiercią” Mackiewicz pisał: „Byłoby oczywiście i dla honoru emigracji, i dla dobra kraju i narodu polskiego najlepiej, żeby się okazało, że wszystko, co bolszewicy w tej sprawie twierdzą, jest od a do zet na niczym nieopartym łgarstwem. Jednak dziś już nie możemy poprzestać na głośnych zaprzeczeniach strony oskarżonej, gdyż Stronnictwo Narodo-

we swoim komunikacie o porwaniu p. Weber i p. Chomy samo dobrowolnie włączyło się w tę sprawę. [...] Gdyby emigracja nasza istotnie miała handlować śmiercią rodaków w kraju, to byłoby to tego rodzaju zbrodnią, za którą odpowiedzialny moralnie byłby nie tylko ten, kto ten plugawy i haniebnny proceder uprawia, ale także każdy, kto przeciwko temu nie protestuje. Wielu rzeczy na emigracji zrobić nie możemy. Nie możemy na pewno wpłynąć na to, aby Amerykanie czy Anglicy zmieniali swoją politykę zgodnie z naszymi życzeniami. Ale jedno na pewno zrobić możemy. Możemy zmobilizować opinię polską w ten sposób, aby wszelki handel śmiercią rodaków w kraju ustał całkowicie”. Niezależnie od negatywnej oceny przyjętej przez „Cata” postawy należy się z nim zgodzić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1948–1956

/ Podwójna rola Leona Łapińskiego z OUN

Operacja „C-1”: Dobici UPA!

Walka z UPA była jednym z częstych motywów kinematografii PRL. Film „Ogniomistrz Kaleń” (1961)

FOT. FOTOTEKA



Arkadiusz Karbowski

/ Władze OUN mianowały Łapińskiego kierownikiem swej siatki organizacyjnej w PRL, a polska безпеaka – głównym prowokatorem

Amnestia ogłoszona przez polskie władze komunistyczne w lutym 1947 r. nie objęła członków podziemia ukraińskiego. Tak zwany problem ukraiński komuniści zamierzali rozwiązać metodami siłowymi, poprzez wysiedlenie ludności ukraińskiej na tereny zachodniej Polski oraz całkowitą likwidację oddziałów partyzanckich UPA. Ów cel osiągnięto dzięki masowemu użyciu jednostek Wojska Polskiego, a w późniejszej fazie operacji Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jesienią 1947 r. kierownictwo ukraińskiego podziemia, nie widząc szans na kontynuowanie dalszej działalności, zarządziło demobi-

lizację struktur. Na przełomie lat 1947 i 1948 na terenie Polski funkcjonowały niewielkie liczebnie grupy ukraińskich partyzantów oraz pojedynczy ukrywający się przed aresztowaniem konspiratorzy. Te pozostałości podziemia postanowiono unicestwić za pomocą działań agenturalnych, angażując do ich przeprowadzenia ujętych i przewerbowanych członków OUN-UPA.

Prowidnyk SB OUN

Największej i najpoważniejszej operacji skierowanej przeciw ukraińskim antykomunistycznym konspiratorom nadano kryptonim C-1. Główną w niej rolę odegrał Leon Łapiński „Zenon”, pełniący w latach 1945–1947 funkcję prowadnika Służby Bezpieczeństwa w III Okręgu OUN. Łapiński urodził się 8 grudnia 1913 r. w Kadłubiskach w powiecie Tomaszów Lubelski. Z zawodu był nauczycielem. Odbił zasadniczą służbę wojskową w Wojsku Polskim, którą ukończył w stopniu plutonowego podchorążego. Po zakończeniu kampanii wrześniowej pod koniec 1939 r. objął posadę nauczyciela w Śniatyczach i Woli Śniatycznej. Tam też nawiązał pierwsze

kontakty z członkami OUN. Początkowo był sympatykiem organizacji, a w 1941 r. został jej członkiem, przyjmując pseudonim Rizbiar. Jego zwierzchnikiem był prowadnik obwodu chełmskiego OUN Mikołaj Nykiforuk „Nimfa”.

W tym czasie Łapiński rozpoczął pracę w szkole ukraińskiej w Zamościu oraz zamojskim Ukraińskim Komitecie Pomocowym UDK. Pełnił w nim funkcję referenta kulturalno-oświatowego. Wiosną 1942 r. „Rizbiar” wyjechał do Lwowa, gdzie nawiązał kontakt z Łuką Pawłyszynem „Wowkiem”, referentem ds. wojskowych Krajowego Sztabu Wojskowego OUN. Na jego rozkaz objął stanowisko referenta ds. łączności, by w 1943 r. rozpocząć działalność w krajowej referaturze SB OUN kierowanej przez Hrihorija Pryszyłaka „Mikłuszkę”. Jednym z zadań, które wówczas realizował, było rozpracowanie – jak się okazało z dobrym wynikiem – lwowskich struktur Gwardii Ludowej. W maju 1944 r. „Zenon”, bo taki przyjął pseudonim, przeniesiony został w Hrubieszowskie. Zajmował się ochroną kontrwywiadowczą tamtejszych struktur OUN przed penetracją sowiecką.

Wiosną 1945 r. Stepan Nowicki „Wadym” mianował go na stanowisko prowadnika na teren Chełmszczyzny. Funkcję tę łączył ze stanowiskiem okręgowego prowadnika SB OUN. Nie-



długo potem, gdy na tym pierwszym stanowisku zastąpił go Jehwen Sztendera „Prirwa”, „Zenon” skupił się na kierowaniu SB i szefem tej struktury pozostał do czasu demobilizacji OUN-UPA, czyli do jesieni 1947 r. Uczestnicząc w procesie demobilizacji, Łapiński posiadał sporą wiedzę o miejscach pobytu zdemobilizowanych członków OUN-UPA oraz fałszywych dokumentach, jakimi się posługiwali.

Pod koniec 1947 r. „Zenon” przeniósł się na Mazury, a wiosną następnego roku wrócił na Lubelszczyznę. Stamtąd wraz z kilkoma członkami podziemia ukraińskiego wyruszył 13 czerwca 1948 r. do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. On i jego podkomendni bez problemu przekroczyli granicę polsko-czechosłowacką. Na terytorium Czechosłowacji zostali wyśledzeni i ujęci przez czeskie siły bezpieczeństwa 27 czerwca 1948 r. Przez kilka więzień trafili ostatecznie do Pragi. Początkowo „Zenon” ukrywał prawdziwą tożsamość, ale szybko zmienił taktykę, podając swoje prawdziwe personalia.

28 lipca 1948 r. Czesi przekazali Ukraińców polskim władzom komunistycznym, które przewiozły zatrzymanych do Warszawy. Tam Łapińskiego przesłuchiwał zastępca naczelnika Wydziału II Departamentu III MBP mjr Bronisław Wróblewski. „Zenon”, zapewne mając świadomość nieuchronnie czekającej go kary śmierci, za cenę uratowania życia zgodził się na współpracę z bezpieką, co zostało sformalizowane 5 października 1948 r. podpisaniem zobowiązania do współpracy. Jako tajnemu współpracownikowi nadano mu pseudonim Bogusław. W związku z wyrażoną wolą współdziałania organy bezpieczeństwa umorzyły śledztwo przeciw Łapińskiemu, w efekcie czego został on zwolniony z więzienia.

„Bogusław”/ „Zenon”

„Bogusław” szybko postanowił wcielić się w rolę skutecznego agen-

ta, przekazując swoim mocodawcom informacje pozwalające na aresztowanie przez UB kilkudziesięciu ukraińskich konspiratorów. Kolejnym jego krokiem było nawiązanie kontaktu z oddziałem partyzanckim Iwana Niewiadomskiego „Jurki”. Grupa ta działała na terenach Lubelszczyzny. Sam Niewiadomski służył początkowo w sotni Jewhena Jaszczuka „Dudy”, a następnie dowodził bojówkami BSB w Nadrejonie „Łyman” w III Okręgu OUN. Pomimo początkowej chęci likwidacji grupy w MBP przeważała opinia, że może ona stanowić podstawę do stworzenia prowokacyjnej siatki OUN, którą zamierzano zorganizować pod przywództwem „Zenona”. Początkowo planowano, że siatka ta będzie struk-

turą przyciągającą skłonnych do uczestniczenia w działalności podziemnej Ukraińców wywodzących się z szeregów OUN-UPA. Kontakt z „Jurko” zaowocował podporządkowaniem sobie tej grupy i zdemobilizowaniem poprzez legalizację jej członków na fałszywych dokumentach wyrobionych przez UB.

Osiągnięcia Łapińskiego spowodowały, że władze bezpieczeństwa zaczęły wiązać z postacią „Zenona” coraz większe nadzieje. Major

Wróblewski pisał: „Bogusław wykazał sobie z dodatniej strony, wykonując postawione przed nim zadania. Oraz

wykazał inicjatywę i umiejętność operacyjną”. Działania „Bogusława” i jego patronów zbiegły się w czasie z inicjatywami nawiązania łączności z siatką OUN funkcjonującą w Polsce przez strukturę ZCz OUN, będące emigracyjną kontynuacją OUN-B, a więc banderowskiej frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Stojący na czele Zagranicznych Formacji OUN Stepan Bandera podjął w owym czasie współpracę z brytyjskim wywiadem SIS (Secret Intelligence Service). Odpowiedzialnym z ramienia ZCz OUN za sprawy łączności (tzw. Referat

K-3) został weteran ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, jeden z organizatorów zamachu na ptk. Pierackiego – Bogdan Pidhajny „Askold”.

„Doktor” (drugi pseudonim Pidhajnego) wysłał w II połowie 1949 r. do Polski czterech kurierów, ale jeden z nich, Hrihoryj Kisielewski „Czaban” (były kuszcowy z kuszcza 6. Nadrejonu Werchowyna), skrzył nogę w kostce i musiał zawrócić. Pozostali trzej – Mychajło Tytus „Bohdan”, Mychajło Fedak „Smyrny” (były prowodnyk rejonu 8. w Nadrejonie Werchowyna) i Iwan Smarż „Pimsta” – dotarli do kraju. Punktem kontaktowym było miejsce zamieszkania Heleny Rotko (łączniczka „Smyrnego” z czasu działalności w Nadrejonie Werchowyna). Kontakt z grupą nawiązała także Maria Ciok „Myrosława”, będąca już wówczas agentką UB występującą pod pseudonimem Skała. Z przekazanych przez nią informacji bezpieka wiedziała o dotarciu grupy kurierskiej do Polski.

„Smyrny” podczas swego pobytu nie nawiązał kontaktu z „Zenonem”, a zostawiwszy dwóch uczestników wyprawy z poleceniem, by to uczynili, sam wraz z „Zenkiem” Wasylem Zbrożykiem, Mychajłem Snihurem „Lisowym”, Oksaną Snihur, swoją narzeczoną Marią Bajus i Marią Szkirpan „Oksaną”, która postanowiła zerwać kontakt z UB (była agentem bezpieki występującym pod pseudonimem Burza), 22 października 1949 r. wyruszył w drogę powrotną do Niemiec. Dotarł tam wraz z pozostałymi uczestnikami wyprawy 7 listopada 1949 r. „Smyrny” miał niewątpliwie dużo szczęścia. MBP zbyt późno się zorientowało, że „Czernyk” (drugi pseudonim Fedaka) i jego grupa opuścili Polskę. Nawet zaalarmowani przez polskich komunistów funkcjonariusze czechosłowackiej StB nie byli w stanie zorganizować na nich skutecznej obławy i kurierzy umknęli.

Prowokacja

Na początku stycznia 1950 r. w MBP rozpoczęto realizację opracowania agenturalnego „C-1”. Podobną operację zapoczątkowały u siebie pod kryptonimem Zwienno sowieckie służby specjalne. Celem było namierzenie ukrywających się członków ukraińskiego podziemia i objęcie ich kontrolą operacyjną





Schwytani podczas akcji „Wisła” partyzanci UPA

FOT. NAWOLYNIU.PL

■ poprzez wciągnięcie do działalności w prowokacyjnej siatce organizacyjnej, przejście szlaków kurierskich i dróg łączności z zagranicznym ośrodkiem banderowskim (melnikowskim także) oraz dezinformowanie i rozpracowanie ZCz OUN w Niemczech. Ta ostatnia część zamierzeń MBP uwieńczona została powodzeniem w momencie, gdy „Zenon” otrzymał podczas spotkania z „Pimstą”, jednym z pozostawionych w kraju kurierów z grupy „Smyrno”, kody do szyfrowania korespondencji, specjalny atrament, wywoływacz i adresy kontaktowe w Niemczech. Dzięki temu „Bogusław” pod nadzorem MBP zainicjował korespondencję z „Askoldem”.

ZCz OUN mianowała „Zenona” kierownikiem siatki organizacyjnej OUN w Polsce. Zgodnie z żądaniami kierownictwa ZCz OUN, któremu zależało ze względu na toczącą się rywalizację z grupą Mykoły Łebedy (grupa związana z UHWR) na wsparciu Centralnego Prowydu OUN, „Bogusław” przy wsparciu MBP wysłał na Ukrainę dwuosobową grupę kurierską złożoną z Iwana Smrża, „Pimsty” i Jewhena Hury „Sławka”. Ten skład gwarantował bezpieczne możliwości penetracji działającego na Ukrainie podziemia niepodległościowego spod znaku OUN-UPA, bo drugi ze wspomnianych uczestników wyprawy – Hura – w tym czasie był już agentem UB występującym pod pseudonimem Bronek. W nocy z 23 na 24 kwietnia 1950 r. kurierzy przekroczyli granicę z ZSRS. Przerzucani do różnych punktów kontaktowych, trafili w czerwcu przed oblicze samego komendanta głównego UPA i prowidyńcy CP OUN płk. Wasyla Kuka, „Lemiesza”, który zastąpił zabitego w marcu 1950 r. Romana Szuchewy-

cza „Tarasa Czuprynkę”. „Kowal” (inny pseudonim Kuka) odebrał od nich wtedy przywiezioną korespondencję.

Obaj kurierzy we wrześniu wrócili do Polski. Hura po wykonaniu zadania pozyskał daleko idące zaufanie MBP i został wydelegowany do pracy w strukturach ZCz OUN w Niemczech, gdzie przeszedł specjalnie zorganizowane przez wywiad brytyjski szkolenie wywiadowczo-dywersyjne. Stamtąd też przysyłał informacje o mających nastąpić przerzutach do Polski i ZSRS kolejnych grup kurierskich. W latach 1950–1954 do kraju dotarło kilka takich grup, a ich działalność była monitorowana przez resort bezpieczeństwa poprzez „Bogusława” i innych agentów.

Pomimo tego, że „Zenon” zbudował sobie pewien autorytet wśród podkomendnych, nie wszyscy członkowie siatki darzyli go specjalnym szacunkiem i zaufaniem. Do grona osób krytycznie go oceniających należał Włodzimierz Lewosiuk, „Roman”. Lewosiuk był wytrawnym konspiratorem. W czasie wojny służył w Baudienst, potem policji ukraińskiej i przez krótki czas w 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien”. Po dezercji z tej jednostki znalazł się w szeregach podziemia ukraińskiego i pełnił funkcję referenta SB w rejonie 4. Nadrejonu „Łyman” w III Okręgu OUN. Łapiński, widząc coraz częstsze przejawy niesubordynacji swego podkomendnego, poinformował o tym fakcie MBP. Oficerowie nadzorujący operację „C-1” w celu wzmocnienia autorytetu i tym samym bezpieczeństwa swego agenta postanowili aresztować „Romana”, który po kilkumiesięcznym śledztwie został przekazany do ZSRS (wrócił do Polski w 1955 r.).

„Bogusław”, chcąc się zabezpieczyć przed ewentualnymi podejrzeniami ze strony ZCz OUN w sprawie zniknięcia „Romana”, sygnalizował w korespondencji kierowanej do „Askolda”, że Lewosiuk jest wichrzycielem i ulega wpływom melnykowców. Być może z uwagi na taki dobór argumentów kierownictwo banderowskie przyjęło bez zastrzeżeń tłumaczenia „Zenona” wskazujące, że zniknięcie „Romana” wiązać należy z dezercją i ucieczką za granicę. „Roman” nie był jedynym aresztowanym krytykiem „Zenona”. Podobny los spotkał Niewiadomskiego i Kisielewskiego (oba deportowano do ZSRS, skąd później powrócili).

Wypada wspomnieć, że „Zenon” w trakcie swojej działalności prowokatorskiej nie cofał się przed działaniami skutkującymi fizyczną likwidacją swych współpracowników. Tak było też w przypadku Wołodymyra Tesli „Chmary”. Został on w grudniu 1950 r. zwербowany przez UB jako tajny współpracownik występujący pod pseudonimem Taras. Na swoje nieszczęście Tesla postanowił o dokonanym werbunku powiadomić „Zenona”. Ten zaś zaproponował „Chmarze”, by w ramach swoistej gry utrzymywał kontakt z resortem. Wspomniat także, że wyśle go jako kuriera do Niemiec z ważnymi dokumentami dla ZCz OUN. W rzeczywistości „Bogusław” oszukał Tesłę i w porozumieniu z MBP postanowił wykorzystać jego osobę do wzmocnienia swojego wizerunku wśród członków siatki jako bezwzględnego i zdeterminowanego przywódcy. W efekcie na jego polecenie „Taras” został zlikwidowany jako agent UB.

W roku 1953 zaczęły się pojawiać poważne problemy w związku z prowadzoną operacją „C-1”. Pierwszym złym sygnałem była wypowiedź, która padła z ust Wołodymyra Hołowacza w lipcu 1953 r. skierowana do współpracowników „Zenona” o tym, że w śledztwie Petro Łahodę „Hromowego” pracownicy UB pytali o takie kwestie, o których mogli wiedzieć tylko przesłuchiwany oraz „Zenon”. Drugim problemem było zwalnianie z więzień odbywających kary członków podziemia ukraińskiego przekonanych o negatywnej roli Łapińskiego w ich aresztowaniu. Do kraju zaczęły docierać też informacje o pobycie w ZSRS zaginionych członków siatki. Coraz większe zastrzeżenia wobec Zenona zaczął

formułować odpowiedzialny w siatce za sprawy kontrwywiadu Zbigniew Kamiński „Don”, przybyły do Polski z ramienia ZCz OUN pracownik SB. To wszystko skłoniło władze MBP do podjęcia decyzji o zakończeniu operacji „C-1”.

Kres „Zenona”

Pierwsze aresztowania rozpoczęto w kwietniu 1954 r. Trwały one aż do 5 czerwca 1956 r. Tego dnia został zatrzymany ostatni członek siatki Andrzej Noga „Łypa”. Ofiarą aresztowań padło w sumie 86 osób, a 13 zginęło. Operacja „C-1” zakończyła się pełnym sukcesem komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Poza aresztowaniami członków podziemia doprowadziła ona do kompromitacji zarówno ZCz OUN, jak i brytyjskiego wywiadu, który zresztą w związku z tym zerwał współpracę z banderowcami. W PRL pojmany ukraiński konspiratorów postawiono przed obliczem komunistycznej temidy. Na rozprawie głównej prowadzonej przeciw Zbigniewowi Kamińskiemu „Donowi” i jego towarzyszom

27 lipca 1955 r. zapadły surowe wyroki w postaci trzech kar śmierci (żadna nie została wykonana).

Przebywający w więzieniach i aresztach członkowie siatki dość szybko zorientowali się w kwestii prawdziwej roli „Zenona”. Zbigniew Kamiński „Don” wspominał po latach: „Ja wyczuwałem, że coś w ostatnim czasie jest nie w porządku, i uzgodniłem ze swoim zastępcą, że o ile nie zgłoszę się u kogoś w Warszawie w określonym dniu i nie wrócę do kwatery, to znaczy, [że] zostałem aresztowany. [...] Przeżywamy już drugą »wyspę« i teraz już wiemy, kto nas zdradzał. Ostatecznie upewniłem się dnia 22 kwietnia [1954 r.], kiedy nowy zupełnie oficer śledczy (władający doskonale językiem ukraińskim) proponował mi papierosa mentolowego, mówiąc, że przecież ja lubię taki gatunek papierosów, a o tej mojej słabości wiedział tylko jeden wyższy członek org[anizacji], a więc on nas zdradza. [...] On nas oszukiwał około 10 lat”.

Ponieważ operacja „C-1” została definitywnie zakończona, MBP zdecydowało także zakończyć żywot agenta „Bogu-

ślawy”/„Zenona”. 15 czerwca 1954 r. przeprowadzono specjalną operację, w ramach której funkcjonariusze bezpieczeństwa zatrzymali radiotelegrafistę Wasyła Kłymasza „Lubomyra”, a „Zenon”, który mu towarzyszył, podczas powstałego zamieszania „popełnił samobójstwo”. Informację o tym fakcie bezpieka starała się szeroko rozpropagować w środowiskach ukraińskich. Oczywiście owo samobójstwo było fikcyjne, a jego zaaranżowanie miało na celu przecięcie podejrzeń wskazujących na prowokatorską rolę „Zenona” jako agenta komunistycznych organów bezpieczeństwa.

Protektorzy „Zenona”, świadomi możliwości przypadkowego rozpoznania przez opuszczających zakłady karne ukraińskich działaczy podziemia, postanowili przekazać go do wykorzystania sowieckim służbom specjalnym. Po kilku latach pobytu w „ojczyźnie światowego proletariatu” Łapiński wrócił do PRL. W 1984 r. ukazał się z nim duży wywiad w „Polityce”. Pod koniec lat 80. wyjechał na stałe do ZSRS i zamieszkał w Kijowie, gdzie zmarł na początku lat 90.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Wiara, Patriotyzm i Sztuka **bialykrak.pl**



WPIS

miesięcznik kulturalny

ISSN 2093-044X
Wyd. A+B 19.000
Cena: 7,00 zł (w tym 5% VAT)

MĄDRA LEKTURA DLA MĄDRYCH LUDZI

MIESIĘCZNIK „WPIS” – KLASYCZNIE LUB CYFROWO!

ODBIERZ DARMOWY PREZENT!

Do naszych autorów należą m.in.: Andrzej Nowak, Krzysztof Ożóg, Wojciech Polak, Aleksander Nalaskowski, Grzegorz Kucharczyk, Ryszard Kantor, Wojciech Roszkowski, ks. Waldemar Chrostowski czy Bohdan Urbankowski. Zamieszczamy także liczne wywiady z osobistościami ze świata polityki, gospodarki, sportu oraz nauki i sztuki. Każdy numer „Wpisu” to ponad 100 stron wciągającej lektury!

**DLA TYCH Z PAŃSTWA, KTÓRZY JESZCZE NIE ZNAJĄ
MIESIĘCZNIKA „WPIS”, TERAZ JEST WYJĄTKOWA OKAZJA,
CZYLI 3-MIESIĘCZNA BEZPŁATNA PRENUMERATA W CELU
BLIŻSZEGO ZAPOZNANIA SIĘ Z NASZYM CZASOPISMEM!**

Wejdź na www.bialykrak.pl/wpis



Po drugiej wojnie / „Lew”, „Zagończyk”, „Stefan” i „Mysza”...

Podziemne rodowody



Marek Gałęzowski

**/ Najpierw walczyli
z Niemcami,
potem z komuną.
Oto sylwetki
niezlomnych**

Kiedy w październiku 1942 r. białostockie gestapo aresztowało trzech wyższych oficerów komendy Okręgu Białystok Armii Krajowej, w tym mjr. Mariana Świtalskiego, ich los wydawał się przesądzony. Udało się jednak znaleźć człowieka, który zaoferował pomoc w ich uwolnieniu. Należał do Bojowej Organizacji Wschód i od pewnego czasu na polecenie jej kierownictwa pełnił funkcję strażnika i tłumacza w więzieniu, do którego wtrącono aresztowanych oficerów. W noc zaduszną 1942 r. poczęstował innych strażników bimbrem ze środka - mi nasennymi, po czym wyprowadził z cel owych trzech oficerów. Zadanie to było wyjątkowe także dlatego, że aby uwolnić więźniów, strażnik musiał cztery razy pokonać drogę z więzienia do ruin pobliskiego domu, gdzie przekazywał ich obstawie AK. Ta po przejęciu więźniów nie czekała już na niego ani na łączniczkę, którą oswobodził jako ostatnią. Oboje zostali zatrzymani



RYŚ. KRZYSZTOF WRZĘKOWSKI



przez niemieckiego strażnika przed gmachem poczty, ale 19-letni Zbigniew Rećko „Lew”, bo tak nazywał się ten, który uwolnił ofice-

z NKWD i uwięziony. Jak pisał jego biograf Marcin Zwolski, „pomimo przestrzelonego płuca i wdającego się zakażenia odmówiono mu pomocy lekarskiej. Przeszedł ciężkie śledztwo, w czasie którego próbowano go zwerbować do współpracy, żądając wydania komendanta Okręgu AK-AKO Białystok ppłk. Władysława Liniarskiego »Mściśława«. Ponieważ odmawiał, przetrzymywano go w suterrenach więzienia, bez spacerów, pryczy i bez kubła na fekalia”.

W maju 1945 r. zdołał zbiec z białostockiego więzienia i wrócił do konspiracji, obejmując funkcję adiutanta ppłk. Świtalskiego, kierującego Białostockim Okręgiem Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” – jednego z tych trzech oficerów, których uwolnił z niemieckiego więzienia. Poległ w walce z Milicją Obywatelską pod Wysokim Mazowieckiem 11 października 1946 r. Był już wówczas kawalerem Virtuti Militari.

rów, serią pistoletu maszynowego otworzył sobie drogę.

„Trzynastka”

Niemcy zorientowali się, jak doszło do ucieczki, i wyznaczili nagrodę 100 tys. marek za pomoc w schwytaniu oficerów i Rećki. Nic to nie dało. Sam Rećko, rodowity mieszkaniec Białegostoku – przed wojną, wychowywany samotnie przez ojca policjanta, uczeń gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego – został odznaczony Krzyżem Walecznych i znalazł się w Kedywie AK. Po akcji w 1942 r. na przekór przesądowi przybrał pseudonim Trzynastka.

Z czasem mianowany podporucznikiem, wziął udział w akcji „Burza”, po raz kolejny odznaczając się męstwem w walce z Niemcami. Taki był rodowód tego bohatera Polskiego Państwa Podziemnego na Białostocczyźnie, który po wkroczeniu Sowietów nie złożył broni.

W styczniu 1945 r. został ciężko ranny w starciu

Wina „Zagończyka”

Ci, którzy rzucili wyzwanie obcemu, narzuconemu Polsce przez Związek Sowiecki rządowi komunistycznemu, wywodzili się z Polskiego Państwa Podziemnego z czasów okupacji niemieckiej. Nie uczestniczyli w wojnie domowej z władzami tego czy innego nurtu politycznego. Bronili Polski przed totalitarnym zniewoleniem.

Te obce, narzucone władze niemal od pierwszego dnia swojej obecności na ziemiach polskich przystąpiły do prześladowań skierowanych przeciw podziemiowi niepodległościowemu. Niemcy nadal okupowali ziemie polskie na zachód od Wisły, kiedy w komunistycznych katowniach, instalowanych zresztą często w niedawnych nazistowskich, zaczęto więzić tych, którzy jeszcze latem 1944 r. oswobadzali ziemie polskie spod okupacji niemieckiej w czasie akcji „Burza”.

Wśród aresztowanych był por Franciszek Jaskulski, starszy od Rećki o 10 lat. Uczestnik bitwy nad Bzurą i obrońca Warszawy we wrześniu 1939 r., zbiegł z niewoli, by kontynuować walkę z Niemcami. Był uczest-

nikiem konspiracji w rodzinnej Wielkopolsce, następnie wobec groźby aresztowania przeszedł na Lubelszczyznę. Tam zorganizował i objął dowództwo oddziału partyzanckiego w obwodzie puławskim AK, który wszedł w skład słynnego 15. Pułku Piechoty AK „Wilków”. W pierwszej połowie 1944 r. oddział Jaskulskiego przeprowadził 147 akcji dywersyjnych i likwidacyjnych przeciw Niemcom, a w czasie „Burzy” bił się zwycięsko o Końskowolę.

8 stycznia 1945 r., na rozprawie niejawniej bez udziału prokuratora i obrońcy, ten dzielny oficer został skazany na karę śmierci. Wedle komunistycznego sądu jego winą była przynależność do „nielegalnej organizacji pod nazwą »Armia Krajowa«” i kontaktowanie się z władzami AK. „Wyrok jest ostateczny i zaskarżeniu nie podlega” – napisano w zakończeniu tego dokumentu, który cytujemy za książką Ryszarda Śmietanki-Kruszelnickiego „Komendant »Zagończyk«”.

Drakońską karę zmieniono na 10 lat więzienia, z którego Jaskulski zbiegł, i wrócił w Lubelskie. Wyboru nie było – pozostawał jedynie powrót do konspiracji. „Zagończyk” początkowo współdziałał z Marianem Bernaciakiem „Orlikiem” – szefem Inspektoratu WiN powiatu puławskiego. Po jego śmierci zorganizował konspirację w północnej części Kielecczyzny, w powiatach kozienickim i radomskim, o kryptonimie ZZK (Związek Zbrojnej Konspiracji).

Oddziały podległe „Zagończykowi” podjęły liczne i skuteczne działania przeciw reżimowi. Jak podaje Śmietanka-Kruszelnicki, m.in. w styczniu 1946 r. zajęły one przejściowo Pionki, w lutym stoczyły bój z NKWD i UB pod Laskami i Ponikwą, a w czerwcu z Armią Czerwoną w pobliżu Podgóry. „ZZK” prowadził również akcję propagandową, wydawał pismo „Polska Walcząca” i liczne ulotki, m.in. wzywającą do udzielenia negatywnej odpowiedzi na trzy pytania zarządzane przez komunistów referendum oraz „Bandyta Radkiewicz przygotował prowokację kielecką”, w której potępiono mord na Żydach dokonany 4 czerwca 1946 r. w Kielcach i wskazano na władze komunistyczne jako jego inspiratorów.

Działalność tę przerwało aresztowanie Jaskulskiego w końcu lipca 1946 r., spowodowane zdradą jednego z podko-

■ mędnych. 17 stycznia 1947 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Kielcach skazał go na karę śmierci. W poufnej opinii wysłanej do Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie wnioskowano o zmianę tej kary na 15 lat więzienia. Mimo to wyrok utrzymano, a 17 lutego Bolesław Bierut zdecydował, że nie skorzysta z prawa łaski.

do armii rosyjskiej, po ukończeniu szkoły oficerskiej mianowany porucznikiem, od wiosny 1917 r. brał udział w walkach na froncie niemiecko-rosyjskim.

W tym czasie Polacy służyący do-tychczas w armii rosyjskiej zyskali możliwość skupienia się pod własnym sztandarem. Banasik wstąpił do 5. Dy-

fałszywych dokumentów – osobiście dostarczał fundusze na zakup oryginalnych blankietów i stempli u grawerów. W Powstaniu Warszawskim walczył na Mokotowie (NOW była już wówczas scalona z AK), pod koniec walk był oficerem w sztabie 10. DP AK im. Macieja Rataja. Jedyny syn Banasika, 20-letni Zdzisław ps. Zawiecki, walczył i poległ w powstaniu na Żoliborzu.

Banasik wrócił do kraju z niewoli niemieckiej i zaangażował się w działalność Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, w marcu 1946 r. obejmując stanowisko komendanta organizacji. Historyk ruchu narodowego Leszek Żebrowski wysoko oceniał jego działalność na tym stanowisku. W następnych miesiącach UB rozbił jednak struktury ruchu narodowego. Sam Banasik został aresztowany w styczniu 1948 r.

W śledztwie był bity, stosowano wobec niego tzw. stójki, przetrzymywano w karcerze. Został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na trzykrotną karę śmierci, zmienioną przez Bieruta na dożywotnie więzienie. Przeszedł Rawicz, Potulice i Wronki. Ciężko chory, zachował niezłomną postawę. Według opinii naczelnika więzienia w Potulicach: „Rozkazy i polecenia przełożonych wykonuje opieszale i z niechęcią. Do Administracji Więzienniczej ustosunkowany jest wrogo. Karany dyscyplinarnie był 6 razy za nieprzestrzeganie przepisów więziennych, lecz kary nie wpłynęły na niego wychowawczo – jest nadal więźniem mało zdyscyplinowanym, rozkazy i polecenia wykonuje opieszale i z niechęcią. Do współwięźni nieko-leżeński, współżyje tylko z takimi, którzy popierają jego stanowisko, oblicze i odbywają kary za podobne przestępstwo. Stosunek do Polski Ludowej wrogi, o czym świadczą jego wypowiedzi w celi i do współwięźni. Do wyroku ustosunkowany negatywnie, przestępstwo, jakie popełnił, nie przeanalizował oraz nie okazuje skruchy. Na poparcie prośby wniesionej przez skazanego ze strony Administracji tut. Więzienia nie zasługuje”.

Był jednym z najdłużej więzionych działaczy powojennego podziemia niepodległościowego – został zwolniony dopiero w maju 1957 r. Ponieważ zakazano mu pobytu w Warszawie, zamieszkał w Przemkowie pod Szprotawą, gdzie do



Zbigniew Recko „Trzynastka” i Zenon Skawski „Szczęsny” podczas szkolenia FOT. SIĘRZY PARAFIA.INFO.PL

ski. Pismo prezesa NSW, w którym żądano „bezwzględnego wykonania wyroku”, wpłynęło do WSR w Kielcach 21 lutego 1947 r., na jeden dzień przed wchodzącą w życie amnestią. Wyrok rzeczywiście wykonano „bezwzględnie”, gdyż na dwa dni przed wpłynięciem pisma prezesa NSW por. Franciszek Jaskulski „Zagończyk” został zamordowany w kieleckim więzieniu.

Trzy razy: śmierć

Komendant Narodowego Związku Wojskowego ppłk Bronisław Banasik należał do pokolenia, które dojrzewało w ostatnich latach Polski pod zaborami. Pochodził z Będzina. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, uczył się w warszawskiej szkole handlowej Artura Jeżewskiego i wraz z nią został ewakuowany w głąb Rosji. Wkrótce wcielony

wizji Syberyjskiej, jednej z kilku polskich jednostek powstałych na terenie Rosji, wkrótce ogarniętej bolszewicką rewolucją. Jako dowódca plutonu bił się z bolszewikami i dostał do niewoli, zapewne po kapitulacji dywizji na stacji Klukwiennaja. Wrócił do kraju dopiero zimą 1922 r. Wstąpił do Wojska Polskiego, służył m.in. w 70. Pułku Piechoty i od 1933 r. w pułku radiotelegraficznym, rok przed wybuchem wojny awansując do stopnia kapitana. Bronił Polski przed agresją niemiecką aż do rozbitcia swojego pułku 26 września 1939 r. pod Janowem Lubelskim.

Nie poszedł do niewoli. Przystąpił do podziemia, z czasem stając się jednym z czołowych oficerów Narodowej Organizacji Wojskowej, jako szef Wydziału Uzbrojenia Komendy Głównej NOW, i uzyskał awans do stopnia podpułkownika. Udzielał się też w Biurze Legalizacji, zajmującym się wyrabianiem

przejścia na emeryturę pracował jako kierownik kina Gwardia. Opiekował się ciężko chorą żoną, sparaliżowaną po wylewie. Komuniści nie pozostawili go w spokoju. W latach 1958–1960 był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa w ramach sprawy „Historyk”, prowadzonej w związku z podejrzeniem o utrzymywanie kontaktów z byłymi działaczami Stronnictwa Narodowego. Jak pisano w materiałach SB, w 1962 r. objął funkcję przewodniczącego Frontu Jedności Narodowej w Przemkowie, „lecz został odwołany z tego stanowiska za szkalowanie członków partii i podważanie ideologicznych założeń naszego ustroju”.

W pierwszej połowie lat 50. prowadzono przeciw niemu sprawę „Operator”, związaną z podejrzeniem „o nawiązywanie kontaktów z NRF i reakcyjnym klerem”. W 1967 r. SB wszczęła kolejną sprawę obserwacyjną – kryptonim Emeryt – w związku z opracowywaniem przez Banasika materiałów na temat swojej działalności wojskowej i podejrzeniem nawiązania kontaktów z działaczami dawnego podziemia narodowego. Do inwigilacji dawnego komendanta NZW wykorzystano aż sześciu tajnych współpracowników o kryptonimach: Granat, Klejnot, Srogi i Kupka oraz określanych jako b. TW – „Roman” i „Hawrylski”. Dopiero w 1972 r. komuniści zaprzestali inwigilacji blisko 80-letniego komendanta NZW i zezwolili mu na powrót do Warszawy, gdzie zmarł siedem lat później.

Malarka „Mysza”

„Schorowana, znacznie od nas starsza Mysza dzielnie znosiła warunki mokotowskiego więzienia”. Tak po latach Michalinę Krzyżanowską wspominała Halina Zakrzewska „Beda” z wywiadu AK. „Mysza” to nie był pseudonim konspiracyjny. Tak ją po prostu nazywali przyjaciele i tak mówiono do niej w podziemiu. Urodzona w 1889 r., warszawianka, była malarką, absolwentką Szkoły Sztuk Pięknych, uczennicą Konrada Krzyżanowskiego, którego później poślubiła (dodajmy, że Krzyżanowski to autor jednego z najbardziej znanych portretów Józefa Piłsudskiego). W międzywojniu odniosła wiele sukcesów

artystycznych, prezentując swoje obrazy na wystawach w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, a także za granicą. Uprawiała głównie malarstwo pejzażowe, a tematyka jej prac wiązała się z krajobrazami Podhala, wybrzeża Bałtyku i ziem wschodnich Rzeczypospolitej – Nowogródzczyzny i Wołynia.



Franciszek Jerzy Jaskólski FOT. WIKIPEDIA

Ta uznana malarka nie miała związków z polityką. Przyjaźniła się jednak z Henrykiem Józewskim, wybitnym piłsudczykiem, w międzywojniu zajmującym stanowiska wojewody wołyńskiego i ministra spraw wewnętrznych. Jemu też zawdzięczała konspiracyjny „debiut” w czasie okupacji niemieckiej, kiedy przystąpiła do jego grupy, wydającej pismo „Polska Walczy”, reprezentującej odłam piłsudczyków ideowo zbliżony do lewicy, a równocześnie wyrażące antykomunistyczny. Była łączniczką i zajmowała się kolportażem prasy konspiracyjnej.

Po zakończeniu wojny wróciła do malarstwa, ale kiedy wiosną 1945 r. Józewski wznowił działalność konspiracyjną, skierowaną teraz przeciw komunistom, wykonywała te same obowiązki co wcześniej. Utrzymywała łączność między członkami powołanego przez wojewodę Polskiego Stronnictwa Demokratycznego i kolportowała czasopismo „Polska Niezawisła”, w którym wzywano do oporu przeciw totalitarnej władzy. Latem 1947 r. UB uniemożliwił Józewskiemu dalszą działalność, ale próba

aresztowania go i większości członków jego grupy zakończyła się niepowodzeniem. Zdołali się oni ukryć, „Mysza” wraz z Idalią Korsak – w Zakopanem.

Przez następne lata UB usilnie poszukiwał Józewskiego i jego współpracowników. Mimo zaangażowania ogromnych środków aresztowano ich dopiero



Michalina Krzyżanowska FOT. DOMENA PUBLICZNA

wiosną 1953 r. W procesie, który odbył się rok później, 65-letnią Krzyżanowską skazano na pięć lat więzienia. Zdołała opuścić je nieco wcześniej, odzyskała swoją pracownię przy ul. Koszykowej 24 i tam zmarła w 1962 r. Po wyjściu z więzienia zamieszkał tam również Józewski, który przeżył swoją łączniczkę i przyjaciółkę o blisko 30 lat, doczekawszy powstania Solidarności.

Powojenna konspiracja niepodległościowa nie była zjawiskiem izolowanym, wyrazem skrajnych poglądów, jak głosiła komunistyczna propaganda. Angażowała ludzi różnych pokoleń, grup społecznych i przekonań politycznych, którzy – powtórzmy – w przeważającej większości brali swój rodowód z Polskiego Państwa Podziemnego i walki z okupacją niemiecką. Ludzi złączonych przekonaniem o konieczności przeciwstawienia się obcej, narzuconej z zewnątrz i niezwykle represyjnej władzy komunistycznej. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

Emigracja /

Zbigniew S. Siemaszko
1923–2021

Człowiek bezkompromisowy



Piotr Zychowicz

/ Józef Beck był pomyłką Pilsudskiego, a Powstanie Warszawskie – katastrofą. Czego uczył nas Zbigniew S. Siemaszko

Bardzo, bardzo smutna wiadomość z Londynu. Zmarł Zbigniew S. Siemaszko. Jeden z moich największych autorytetów. Historyk, którego prace miały olbrzymi wpływ na ukształtowanie moich poglądów. Miałem zaszczyt go poznać osobiście, odwiedziłem go w jego brytyjskim domu, zrobiłem z nim kilka wywiadów, przegadaliśmy przez telefon długie godziny.

Obszerne wspomnienie o Zbigniewie S. Siemaszce opublikowałem w tygodniku „Do Rzeczy” (10 lutego 2021 r.). Nie ma sensu tego powtarzać. Ograniczę się tylko do podstawowych faktów. Urodził się w 1923 r. na Wileńszczyźnie, w majątku Lachowszczyzna. W 1940 r. został deportowany przez Sowietów do Kazachstanu. Z nieludzkiej ziemi wydostał się z polską armią.

Służył pod dowództwem Władysława Andersa, a później został skierowany do

Nawet jeżeli jest ona tragiczna i niewygodna.

Poniżej fragmenty wywiadów, książek i artykułów napisanych przez Zbigniewa S. Siemaszkę:

O polityce Józefa Becka:

Jeżeli chodzi o Becka, to był on wielką pomyłką Piłsudskiego. 40 lat temu tego bym nie powiedział, bo tak mnie wychowano, ale teraz mówię – trzeba było iść z Niemcami! Wszystkie te „Międzymorza”, sojusz z Rumunią, szukanie zbliżenia z Czechami, nie mówiąc już o tych – pożałujcie, Boże – gwarancjach brytyjskich, to nie była polityka. Obowiązkiem polityków polskich było wybrać najmniej złe rozwiązanie.

O roku 1939:

Co zrobiliby wówczas Piłsudski, gdyby żył i był w pełni sił? Przypuszczam, że Piłsudski, który był realistą, zdawałby sobie sprawę, że jego dawna zasada „Ani z Niemcami, ani z Rosją”, którą nadal stosował Beck, nie była już możliwa i poszedłby na przyjęcie warunków niemieckich (tzn. Gdańsk i autostrady), a nie na zaakceptowanie gwarancji brytyjskich, które Stanisław Mackiewicz nazwał wówczas „sojuszem egzotycznym”.

O Edwardzie Śmigłym-Rydzem:

Śmigły-Rydz zastosował inną taktykę. W stosunku do Niemców głosił zasadę, że „nie damy guzika od munduru”, a w stosunku do Sowietów, po ich wkroczeniu 17 września 1939 r., nakazał niepodjęcie walki. To podejście Śmigłego-Rydzia dominowało wśród Polaków przez cały czas wojny i nawet po wojnie.

O początkach konspiracji:

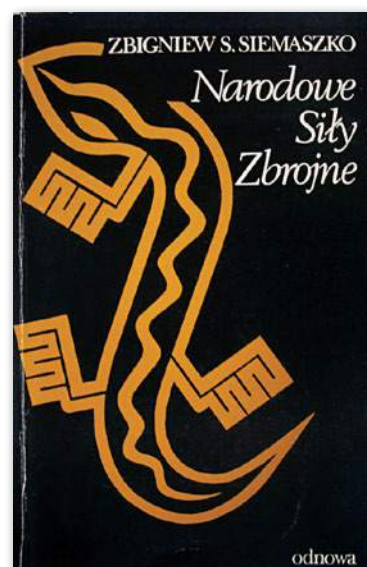
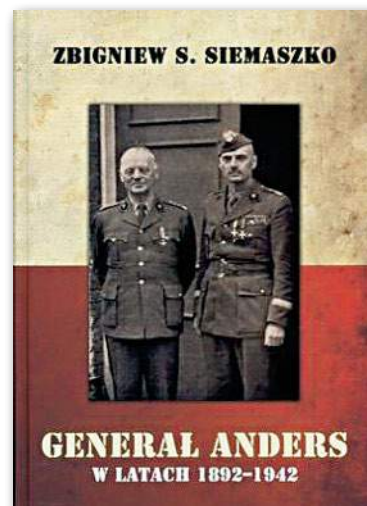
W początkowym okresie kierownictwo ZWZ hamowało zaczepne działania w kraju. Między innymi interweniowało w pierwszych miesiącach 1940 roku w sprawie zdemobilizowania oddziału mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”. Jednak rozsądek i umiar nie trwały długo. Z biegiem czasu ZWZ stawał się coraz bardziej masowy i coraz bardziej aktywny.

O dywersyjnej akcji „Wachlarz” prowadzonej przez AK na tyłach frontu wschodniego:

Była to akcja finansowana bezpośrednio przez władze angielskie, której zadaniem było odciążenie frontu sowieckiego. Pomimo że akcja ta miała niewiele wspólnego z polskimi interesami, władze polskie zaangażowały do niej najlepszych, najdzielniejszych żołnierzy. Akcja ta przyniosła minimalne skutki, natomiast spowodowała poważne straty.

O nasilającej się aktywności polskiego podziemia:

Powstało zaślepienie walką z Niemcami za wszelką cenę, które zaćmiło horyzonty i zniwelowało nawet tak podstawową zasadę każdej walki jak oszczędzanie



Wielkiej Brytanii. Był radiotelegrafistą w sztabie Naczelnego Wodza. Po wojnie i demobilizacji osiadł w Londynie, gdzie zrobił karierę w brytyjskich firmach zajmujących się elektroniką wojskową. Po godzinach oddawał się swojej pasji – badaniu historii drugiej wojny światowej.

Był stałym współpracownikiem „Zeszytów Historycznych” i paryskiej „Kultury”. Napisał wiele znakomitych, przełomowych książek i artykułów. Zbigniew S. Siemaszko był patriotą starej, wielonarodowej Rzeczypospolitej i wielkim realistą. W swoich książkach krytykował naiwną politykę Sikorskiego i Mikołajczyka. Akcję „Burza” i Powstanie Warszawskie uważał za koszmarną błąd.

Sprzeciwiał się „brązownictwu”, czyli upiększaniu i cenzurowaniu historii w imię źle pojętego patriotyzmu. Zbigniew S. Siemaszko stał na stanowisku, że obowiązkiem badacza jest pisanie prawdy. Prawdy, prawdy i tylko prawdy.

FOT. FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

■ *biologiczne narodu. Poszła w zapomnienie zasada, że wojna to zwykła kalkulacja strat i zysków. O zyskach zapomniano, a straty zaczęto liczyć dopiero po zakończeniu działań. W czasie II wojny światowej uszło uwagi wielu Polaków, że nie ten wygrywa wojnę, kto najwięcej w nią włożył, ale ten, kto jest najsilniejszy w momencie jej zakończenia.*

Rozmowa Zbigniewa S. Siemaszki z gen. Tadeuszem Pełczyńskim, zastępcą i prawą ręką „Bora” w Komendzie Głównej AK. Temat: akcja „Burza” na ziemiach wschodnich:

– Niektórzy w KG wierzyli.
– A czy pan generał osobiście wierzył?
– Nie, nie wierzyłem.
– Wobec tego jak to się stało, że pan generał popierał akcję „Burza”?
Tu skończyła się spokojna, rzeczowa rozmowa. Generał poczerwieniał, zaczął uderzać pięścią w stół i mówić podniesionym głosem:
– Naród polski nie mógł pozostać bezczynny, kiedy jedna okupacja zmieniała się na drugą!

O akcji „Burza” i nowej okupacji sowieckiej:

w życie ujawnienie się przed Czerwoną Armią, przeciwko czemu Rowecki wypowiadał się wielokrotnie. Oto KG AK, którą pomawiano wielokrotnie o powiązania sanacyjne, szukając porozumienia z ZSRS, postąpiła sprzecznie z tradycją piłsudczyków. Natomiast środowisko NSZ, wywodzące się z obozu narodowego, gdzie tendencje spoglądania z nadzieją w kierunku wschodnim zawsze istniały, odcięło się całkowicie od poszukiwania kompromisu z ZSRS.

O wypowiedzeniu posłuszeństwa przez Komendę Główną AK Naczelnemu Wodzowi gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, który był przeciwnikiem powstania:

Już nie Londyn, jak za życia Sikorskiego, ale Warszawa, a w szczególności Komenda Główna Armii Krajowej, stała się najważniejszym polskim ośrodkiem decyzji. Komenda ta wyzwoliła się od zwierzchności Naczelnego Wodza, gdyż dowództwo, które raz nie wykona otrzymanych zarządzeń i pozostanie nadal na swoim stanowisku bez żadnych konsekwencji, będzie odtąd wykonywać jedynie te zarządzenia, które będą szły po jego myśli, a inne zignoruje.

O gen. Tadeuszu Borze-Komorowskim:

Trudno oprzeć się wrażeniu, że dowodzenie AK było luźne i niezdiscyplinowane, co umożliwiło tego rodzaju incydenty jak ten [mowa o tolerowaniu niesubordynacji oficerów prących do wywołania powstania]. Takie wypadki nie byłyby tolerowane ani pod dowództwem Andersa, ani tym bardziej Maczka. Z pewnością za czasów Roweckiego nie byłyby one możliwe w Armii Krajowej. „Bór” miał zbyt miękką rękę.

O sowieckich czołgach, które rzekomo widziano na Pradze w przededniu wybuchu Powstania Warszawskiego:

Normalnie przed powzięciem decyzji o poważnych skutkach zbiera się wszelkie dane ze wszystkich możliwych źródeł, w celu ograniczenia czy też wyeliminowania ryzyka. A przynajmniej dąży się do potwierdzenia wiadomości nadchodzących jednym kanałem, przez dane pochodzące z innego kanału. Tymczasem „Bór” i Pełczyński podjęli decyzję na podstawie jednej informacji, pochodzącej z jednego źródła, od płk. Chruszcziela. To jest niezmiernie ryzykowna metoda dowodzenia.

O Powstaniu Warszawskim:

Od początku byłem przekonany, że powstanie było wielkim błędem tych, którzy bezgranicznie wierzyli w możliwość porozumienia z Sowiecami. W tym czasie byłem przekonany, że Sowieciom byli potrzebni jedynie tacy Polacy, którzy podporządkowali się im bezwarunkowo i byli gotowi wykonywać wszystkie sowieckie zarządzenia. Byłem wówczas przerażony lekkomyślnością wielu polskich przywódców, zarówno politycznych, jak i wojskowych, którzy nie rozumieli, że już przegrali, że z sowieckiego punktu widzenia byli (jak na przykład



Ruiny stolicy po Powstaniu Warszawskim FOT. DOMENA PUBLICZNA

– Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że nakazuje oddziałom na Kresach załatwienie spraw politycznych, których nie zdołał rozwiązać ani rząd w Londynie, ani reprezentacja polityczna kraju, ani też KG AK?

– Tak, zdawała sobie sprawę.
– Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że najbardziej patriotycznej młodzieży kresowej kazała walczyć i ginąć przy zdobywaniu polskiego terytorium dla Sowieców?
– Tak, zdawała sobie sprawę.
– Czy rzeczywiście zasadniczym celem „Burzy” było uzyskanie uznania polskiego podziemia przez Sowiety za reprezentację narodu?
– Tak było w rzeczywistości.
– Czy KG AK wierzyła, że to jest możliwe?

Wyjścia mogły być różne. Rozwiązanie oddziałów i rozpuszczenie żołnierzy do domów. Pozostawienie, lub nie, oddziałów kadrowych. Zachowanie bojówek w celu prowadzenia akcji samoobrony przeciwko wyjątkowo szkodliwym jednostkom lub komórkom sowieckich służb bezpieczeństwa. Wycofanie najbardziej zagrożonych na Zachód. Jednego nie wolno było robić. Nie wolno było zebrać, zmobilizować wojska i szeregowanych, policzonych i spisanych żołnierzy oddać w ręce sowieckie. A to właśnie zrobiono.

O różnicy między AK a NSZ:

NSZ przyjęły linię postępowania podobną do proponowanej przez Roweckiego. Natomiast spadkobiercy spuścizny po Roweckim, Armia Krajowa, wprowadzali

Mikołajczyk) jedynie wtyczkami anglosaskimi, które będą tolerowane do pewnego czasu.

O Powstaniu Warszawskim:

Anders już 3 sierpnia 1944 roku pisał do gen. Kopańskiego: „Osobiście uważam decyzję dowódcy Armii Krajowej za nieszczęście”. Trudno odmówić słuszności tej ocenie. Powstanie warszawskie nie mogło się udać. Widoki powodzenia w wypadku powstania warszawskiego, podobnie zresztą jak i akcji „Burza”, nie istniały, a skoro ich nie było, nie powinno było dojść ani do powstania, ani do „Burzy”.

O Powstaniu Warszawskim:

Decyzja wojskowa nieoparta na racjonalnym myśleniu i planowaniu, a na mitach, snach i emocjach, w nieunikniony sposób musi prowadzić do wielkich strat i tragedii. Oblicza się, że w Warszawie w 1944 roku zginęło około 200 000 ludzi, w tym około 18 000 żołnierzy AK. Straty te spowodowały, że naród, który spotkał się z władzą sowiecką, był okaleczony i w poważnym stopniu niezdolny do przeciwstawienia się sowieckiej infiltracji intelektualnej.

Nie ulega wątpliwości, że poległym należy oddać cześć. Ale nie byłoby wskazane stawianie ich poświęcenia za przykład do naśladowania przyszłym pokoleniem. Niewątpliwie to był heroizm, którego jednak naśladować nie należy. Dla dobra Ojczyzny trzeba żyć, a nie umierać.

O decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego:

Powstaje pytanie, dlaczego Komenda Główna AK powzięła tak nieszczęśliwą decyzję związane z rozpoczęciem walki w Warszawie? Jednym z powodów mogło być to, że wyżsi oficerowie w Komendzie Głównej AK już od kilku lat działali w konspiracji, będąc jednocześnie pod stałym zagrożeniem osobistym, co mogło wpłynąć negatywnie na ich odporność psychiczną.

O decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego:

I oto grupa przedwojennych dowódców średniego szczebla, która nie miała ani kwalifikacji, ani doświadczenia w decydowaniu na szczeblu państwowym, stanęła przed koniecznością powzięcia tego rodzaju decyzji. Warunki panujące w Warszawie – brak informacji i emocjonalne napięcie – nie sprzyjały jej podejmowaniu.

O sowieckim stosunku do Powstania Warszawskiego:

Z punktu widzenia ZSRS powstanie warszawskie było zjawiskiem pożądanym, do którego zarówno rozgłośnia moskiewska, jak i radiostacja im. Kościuszki zachęcały Polaków. Było ono pożądane nie tylko ze względu na wiązanie i zużywanie sił niemieckich, lecz także ze względu na zużywanie sił polskich, które w przeciwnym wypadku zwróciłyby się przeciw sowieckiej zacji po zajęciu Warszawy.

O naiwności dowództwa AK:

Dziwne, że w 1944 roku niektórzy członkowie Komendy Głównej AK liczyli na to, że Sowiety przyjdą na pomoc warszawskiej AK. Przecież polskie podziemie patriotyczne wcale nie było Sowiетom potrzebne. Wręcz przeciwnie, stanowiło poważną przeszkodę w opowaniu Polski, na czym Sowiетom zależało. Nadzieje na znalezienie kompromisu z Sowiетami oparte były na braku logicznego i konkretnego rozumowania.

O szafowaniu krwią żołnierską przed dowództwo AK:

Trudno się dziwić, że w oddziałach wojskowych, w których oficerowie sztabowi mieli tego



Józef Beck FOT. WIKIPEDIA

rodzaju podejście do „oszczędzania krwi”, straty wojenne doprowadziły do okaleczeń na skalę narodową. Dla porównania należałoby przypomnieć, że na froncie 2. Korpusu we Włoszech dowództwo propagowało hasło: nie bądź głupi, nie daj się zabić.

O płk. Janie Rzepeckim i jego koncepcji organizacji WiN:

W WiN-ie w pierwszym rządzie chodziło o stworzenie siły podziemnej i rozmawianie z władzami PRL z pozycji siły. Za cenę biernej postawy i wreszcie rozwiązania WiN-u uzyskanie razem z Mikołajczykiem udziału we władzy PRL. A gdy Rzepeckiego aresztowano, to wykupił się wraz ze swoim najbliższym otoczeniem, uzyskując jedynie minimalne względy dla szarych członków swojej organizacji.

O powojennej akcji Stanisława Mikołajczyka w Polsce:

Mikołajczyk wprowadził naród polski w błąd. Swoim przyjazdem do kraju stworzył pozory, jakoby w PRL po wojnie można było, legalnie, poprzez działalność polityczną osiągnąć jeszcze coś pozytywnego. Zgromadził dookoła siebie w ramach zalegalizowanego Stronnictwa Ludowego tych, którzy pomimo okupacji niemieckiej, klęski Powstania Warszawskiego, przegranej wojny i wkroczenia armii sowieckiej mieli jeszcze siłę i odwagę do jawnego działania dla dobra niezależnej Polski. Zostali oni spisani, zarejestrowani w biurach Stronnictwa, co niezmiernie ułatwiło potem UB wytopienie tych wszystkich, którzy zaufali Mikołajczykowi.



Tadeusz Komorowski „Bór” FOT. WIKIPEDIA

O polskich przywódcach podczas drugiej wojny światowej:

Naród, którego elita żyje w takiej sprzeczności z rzeczywistością i opiera swe rozumowanie i działanie na mitach i marzeniach, nie uniknie zapłacenia wysokiej ceny za własne urojenia.

Poglądy, które głosił Zbigniew S. Siemaszko, sprawiały, że często sypały się na niego gromy. On jednak twardo stał przy swoich przekonaniach. Wiedział bowiem, że słuszność jest po jego stronie. Był wielkim nonkonformistą. Człowiekiem niustraszonym.

Wraz ze śmiercią Zbigniewa S. Siemaszki powstała wielka wyrwa, której nikt nie będzie w stanie wypełnić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

XVII–XIX w. / Jak Anglosasi podbili Amerykę Południową



Indianin tańczący z zagładą



Maciej Rosalak

/ Nie tylko zarazy i kule, lecz także przewrotnie stosowane w USA prawo i złamanie odwiecznej kultury unicestwiły Indian

Po zwycięskiej wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych zostaje w 1783 r. podpisany traktat pokojowy z Wielką Brytanią. Nie tylko uznaje ona 13 zbuntowanych stanów północnoamerykańskich za osobne państwo, lecz także „zrzeka

się” na jego rzecz rozległych terenów na północnym zachodzie – od Appalachów do Missisipi. Ów obszar, ponad dwukrotnie większy niż obecne państwo polskie, zamieszkiwały od niepamiętnych czasów plemiona indiańskie, ale ich, rzecz jasna, nikt o zdanie nie pytał. W ciągu jednego pokolenia Amerykanie założą tu stany: Ohio, Michigan, Indiana, Illinois i Wisconsin.

Najkorzystniejszym zakupem ziemi w dziejach nazywa Stephen Ambrose („W poszukiwaniu granic Ameryki...”) transakcję zawartą w 1803 r. między Francją a USA. Wysłannik prezydenta Thomasa Jeffersona przedstawił Napoleonowi ofertę kupna Nowego Orleanu, a ten wyraził gotowość sprzedaży całej Luizjany, która obejmowała ogromny obszar na zachód od Missisipi aż do Gór Skalistych, na północ zaś do granic Ka-

nady. Za 15 mln dol. Stany Zjednoczone podwoiły dotychczasowe terytorium.

Aby je zbadać, w 1804 r. wysłano wyprawę kpt. Meriwethera Lewisa i por. Williama Clarka, która w 1805 r. dotarła do Pacyfiku. Podróżni przemierzili lasy, prerie i góry, poznali i opisali stany nabyte w 1803 r.: Missouri, Kansas, Nebraska, Iowa, obydwie Dakoty oraz Montanę. Umożliwili przejście przez USA ziem niewchodzących w obręb Luizjany: Idaho, Waszyngton i Oregon na północnym zachodzie.

Filantropi i wirusy

Wiele cennych uwag o parciu Amerykanów na zachód zawarł Alexis wicehrabia de Tocqueville (1805–1859) w swym dziele „O demokracji w Amery-



Kadr z filmu „Ostatni Mohikanin”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z powierzchni ziemi ani nawet zepchnąć jej poza granice prawa. Amerykanie ze Stanów Zjednoczonych osiągnęli i jedno, i drugie z nadzwyczajną łatwością, spokojnie, bez trudu, filantropijnie, nie przelewając krwi i pozornie nie naruszając żadnej podstawowej zasady moralności. Trudno byłoby nieść zagładę ludzkości, lepiej przestrzegając praw ludzkości.

Cóż, na wielkodusznie ustanowionym Terytorium Indiańskim sami Indianie też krótko cieszyli się spokojem. Wedle najbardziej ostrożnych szacunków z ok. 1 300 000 tysięcy Indian, którzy żyli w Ameryce Północnej przed kolonizacją anglosaską, po upływie ponad 350 lat jej trwania naszych czasów dożyło niespełna ćwierć miliona. Spośród identyfikowanych dziś ok. 200 plemion północnoamerykańskich Indian, liczących niegdyś od kilku do kilkudziesięciu tysięcy członków, pozostały śladowe resztki.

Podobnie jak w Ameryce Południowej i tu Indian kładły pokotem przywleczone przez białych zarazy. Już w 1633 r. w Plymouth wirus ospy przyprowadził o śmierć wszystkich okolicznych Indian. Trzy lata później zaraza spustoszyła ziemie Irokezów nad jeziorem Ontario. Kiedy w 1721 r. wszyscy mieszkańcy uciekli z Bostonu, ponieśli wirusa do pozostałych kolonii, racząc nim większość indiańskich plemion Wschodniego Wybrzeża. Niemal całkowicie wyginęły liczne plemiona zamieszkujące Florydę. Innymi chorobami zakaźnymi były najczęściej: tyfus, grypa i dyzenteria.

Do połowy XVIII w. zmarło w Nowej Anglii z powodu zaraźliwych chorób prawie 80 proc. populacji Indian. Rozprzestrzenianiu epidemii sprzyjała wymiana towarów, ale w 1763 r. oficer armii brytyjskiej, Jeffery Amherst, nakłonił płk. Henry'ego Bouqueta, by ten dostarczył walczącym pod wodzą Pontiac Indianom, atakującym ich w pobliżu Fort Pitt, koce i chusty używane wcześniej przez chorych i zakażone przenoszonymi przez nich wirusami ospy.

W 1801 r. prezydent Jefferson nakazał szczepienia całej ludności wolnych już Stanów Zjednoczonych – z Indianami włącznie! – przeciwko ospie. Stało się to już pięć lat po opatentowaniu przez Edwarda Jennera szczepionki, co dobrze świadczy o horyzontach myślowych i humanitaryzmie Jeffersona. Szczepienia Indian odbywały się jednak z wielkimi trudnościami. Podejrzewali oni (skąd ta

podejrzliwość?!) kolejny podstęp prowadzący do ich zagłady, a z kolei władze stanowe niechętnie stosowały się do tego rozporządzenia władzy federalnej (skąd ta niechęć do ratowania życia autochtonów?!).

Zaczeli purytanie...

Zbrojnymi pacyfikacjami biali potęgowali zabójcze działania patogenów. Zaczęło się już w 1637 r. w Nowej Anglii, kiedy purytańscy koloniści, podejrzewając Indian z plemienia Pequot o zabójstwo kapitana angielskiego statku, ruszyli na ich wioskę z ekspedycją karną. Koloniści zamierzali przy okazji



Wódz powstania Indian z początku XIX w. Tecumseh

FOT. WIKIPEDIA

ce”. Jako wysłannik władz francuskich przebywał on tu w 1831 r. Obszar na zachód od rzeki Missisipi przeznaczono właśnie ustawą z 1830 r. pod osadnictwo indiańskich plemion wysiedlanych przymusowo z południa i ze wschodu Stanów Zjednoczonych, by zrobić miejsce dla europejskich osadników. Nazwano go Terytorium Indiańskim. Sytuację Indian Francuz ujmując z sarkazmem:

Stosunek Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych do tubylców jest [...] przepojony najczystszy uwielbieniem form i legalności. Jeśli tylko Indianie pozostają w stanie dzikości, Amerykanie nie [...] zajmują ich ziem, dopóki ich nie nabeđą na mocy odpowiedniego kontraktu, a gdyby przypadek zdarzył, że jakieś plemię indiańskie nie może już żyć na swoim terytorium, wówczas po bratersku biorą je za rękę i wyprowadzają na śmierć poza granice kraju ojców. Hiszpanie dopuszczali się bezprzykładnych okrucieństw i okryli się wyczystą hańbą, a jednak nie zdolali wymazać rasy indiańskiej

zając atrakcyjne tereny zamieszkane przez Pequotów, a ich wszystkich wybić z pomocą plemienia Narragansett. Gdy Pequotowie uciekli z wioski, Anglicy ją spalili.

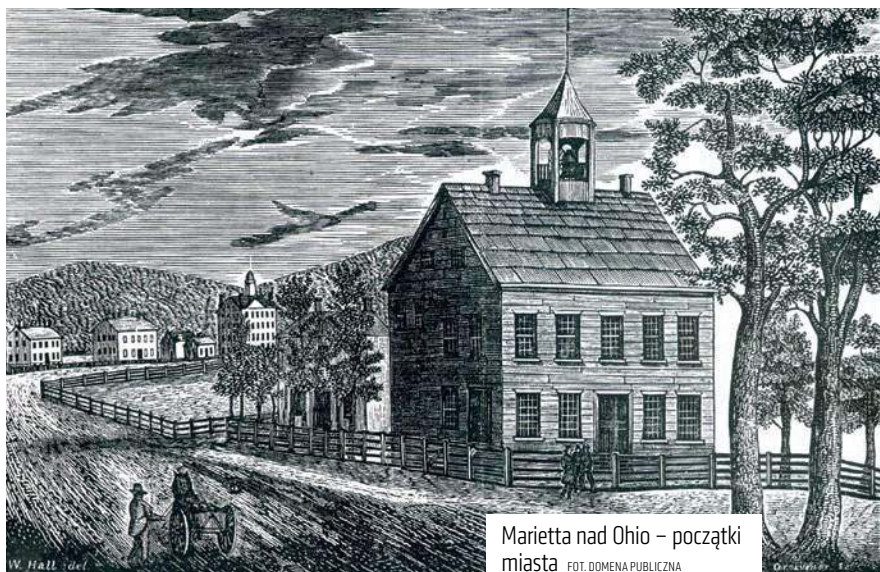
W odwecie Pequotowie zaatakowali fort Saybrook i zabili dziewięciu kolonistów. Podczas kolejnej karnej wyprawy Anglicy okrążyli i podpaliли 5 czerwca 1637 r. obwarowaną osadę Pequotów. Angielski oficer Underhill zanotował:

Wielu spłonęło w forcie, zarówno mężczyzn, jak i kobiet i dzieci. Inni, zmuszeni do jej opuszczenia, wychodzili w pojedynczych grupach po dwudziestu lub trzydziestu, które nasi żołnierze przywitali ostrzami szabli. Padali mężczyźni, kobiety, dzieci: a ci, którym udało się uciec od nas, wpadali w ręce Indian, którzy stali na tyłach za nami. Mówi się, że w forcie było około 400 dusz, a nawet pięciu z nich nie udało się uciec [...]. Czy chrześcijanie nie powinni mieć więcej litości i współczucia? Odwołuję was do wojny Dawida...

■ Czasami pismo stwierdza, że kobiety i dzieci muszą zginąć wraz z ich rodzicami... Słowo Boże oświeciło nas wystarczająco w kwestii naszego postępowania.

Profesor Michał J. Rozbicki, autor „Dziejów założenia Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki”, napisał:

W Massachusetts purytanie świętowali zwycięstwo, a jeden z ich dowódców wezwał do modłów za



Marietta nad Ohio – początki miasta FOT. DOMENA PUBLICZNA

„wysłanie tego dnia 600 dusz do piekła”. Gubernator Bradford przyznał, że był to wprowadzić „straszliwy widok, oglądać ich smażących się w płomieniach oraz strumienie krwi wygaszające ogień”, ale konkludował, iż była to „słodka ofiara dla zwycięstwa, za które dziękowaliśmy Bogu”.

Profesor Rozbicki pisze o konsekwencji, z jaką Anglicy nadal niszczyli plemię Pequotów. Między innymi:

otoczono duży ich obóz położony na bagnach w Connecticut, w którym zamieszkiwało blisko 80 wojowników oraz około 200 kobiet i dzieci. Na 30 mężczyzn, którzy się poddali, Anglicy dokonali egzekucji, a kobiety i dzieci zostały sprzedane jako niewolnicy. [...] Z wydarzeń tych obie strony wyciągnęły liczne wnioski. Anglicy zaakceptowali metodę eksterminacji jako najskuteczniejszą, nauczyli się także wykorzystywać antagonizmy między poszczególnymi plemionami indiańskimi do swoich celów, a przede wszystkim do zdobywania nowych terenów.

W oczach Lenapów z północnego wschodu, których Francuzi zwali Delawarami, konflikt z białymi najeźdźcami był szeregiem trwających niemal 80 lat starć. Zaczęło się od wojny Brytyjczyków z Francuzami i ze sprzymierzo-

nymi z obydwojoma stronami różnymi plemionami Indian w latach 1754–1763. Wtedy to krwawą klęską niedaleko Great Meadows w Pensylwanii zakończyła się 13 lipca 1755 r. ekspedycja gen. Edwarda Braddocka. Jej kapitalna scena znajduje się w „Ostatnim Mohikanie” J.F. Coopera oraz w filmie o tym tytule z 1992 r. Warto wiedzieć, że

adiutantem Braddocka był wtedy podpułkownik brytyjski George Washington (1732–1799)...

Potem czerwonoskórzy z dorzecza Ohio i Krainy Wielkich Jezior tworzyli ponad podziałami zbrojne konfederacje, aby oprzeć się białym. Taką pierwszą wojną ras stały się powstanie Pontiac (1763–1764) oraz trwająca w latach 1763–1774 tzw. wojna lorda Dunmore’a – konflikt wywołany nadawaniem przez niego w Wirginii praw osiedleńczych weteranom wojen indiańskich na ziemiach położonych na zachód od Appalachów.

David McCullough, autor książki „Pionierzy. Ludzie, którzy zbudowali Amerykę”, uchwycił moment, gdy pierwsi osadnicy – już obywatele USA – osiedlają się wzdłuż rzeki Ohio, zaczynając od założenia osady Marietta. Umożliwiła to spółka obywateli z Massachusetts – z pastorem i emerytowanym generałem na czele – która podpisała z władzami federalnymi kontrakt na zakup znacznych połaci tych ziem. McCullough na podstawie pamiętników, listów i oficjalnych dokumentów odtwarza historię

pionierów, na ogół ludzi pracowitych, bogobojnych i mężnych. W drugim pokoleniu stworzą już prawdziwie cywilizowaną krainę.

Czeka ich jednak jeszcze walka z okrutnymi Indianami, którym nie wiedzieć czemu coraz mniej podobają się coraz liczniejsi sąsiedzi, którzy zajmują ich ziemie i wybijają zwierzynę po lasach. I oto – również nie wiedzieć czemu – z pewną satysfakcją czytamy, jak to Mały Żółt wraz ze swymi wojownikami z plemienia Miami sprawił krwawą łażnię najpierw karnej ekspedycji Josiaha Harmara, a potem – wraz z Szaunisami Błękitnej Kurtki i ze wsparciem jeszcze ośmiu innych plemion – rozgromił w 1791 r. 1,5-tysięczną wyprawę US Army pod wodzą Arthura St. Claira. Cóż, parę lat później po bitwie pod Zaporą Pni musiał skapitulować.

Zakończenie wojny białych o niepodległość Stanów Zjednoczonych rozpoczęło więc wieloletnie zmagania „kochających wolność i demokrację” obywateli USA z Amerykanami-autochtonami. Już następne, coraz mniej liczne pokolenia Lenapów uczestniczyły w powstaniu konfederacji Tecumseha (1811), a wreszcie w przegranej za Czarnego Jastrzębia wojnie (1832). W potwornych warunkach zostały wysiedlone na wschód – za Missisipi.

Już w 1831 r. Tocqueville był koło Memphis świadkiem „humanitarnego przeniesienia” Indian z plemienia Czoktawów ze wschodu na zachód, za Missisipi. Dodajmy, że należeli oni do pokojowo nastawionych wobec kolonizatorów Pięciu Cywilizowanych Narodów z południowego wschodu (obok Czoktawów należeli do nich Czirokezi, Czikasawowie, Krikowie i Seminole). Oto świadectwo Francuza:

Na własne oczy widziałem cierpienia i nędzę, które staram się opisać, i byłem świadkiem zła, którego opisać nie potrafię. [...] Był środek zimy, mróz był wyjątkowo silny, śnieg okrył ziemię twardą skorupką, a rzeką płynęły ogromne kry. Indianie, którzy wędrowali razem z rodzinami, ciągnęli ze sobą rannych, chorych, nowo narodzone dzieci i umierających starców. Nie mieli ani namiotów, ani wozów, tylko trochę zapasów i broni. Widziałem, jak wsiadali na statek, by przepłynąć przez wielką rzekę, i ten pełen patosu widok na zawsze zostanie w mojej pamięci. Nie było słychać ni płaczu, ni skarg – wszyscy milczeli. Ich nieszczęścia były nienowe i Indianie wiedzieli, że są nieodwracalne. Wszyscy weszli już na statek i tylko psy zostały na brzegu. Zobaczywszy, że ich panowie oddalają się na zawsze,

zaczęły przeraźliwie wyć i wszystkie naraz rzuciły się do lodowatej wody Missisipi, by płynąć za statkiem.

Federalne władze USA – tak jak wcześniej kolonialne władze brytyjskie – zawierały z plemionami indiańskimi uroczyste traktaty „na wieczne czasy”, ale presja osadników i wydobywców kopalin powodowała, że te dokumenty miały wartość papieru, na którym je spisywano. Opornych i buntujących się poskramiano siłą. A Tecumseh, wódz plemienia Shawnee i powstania przeciw Amerykanom, pytał:

Gdzie są dzisiaj Indianie Pequot? Gdzie są Narragansett, Mohikanie, Pokanoket i wiele innych wielkich plemion naszego narodu? Zniknęły wskutek zachłanności, skąpstwa i opresji białego człowieka; zniknęły tak, jak znikła śnieg od letniego słońca.

Czy możemy pozwolić, by zniszczono nas bez walki; opuścić nasze domy, nasz kraj dany nam przez Wielkiego Ducha? Porzucić groby naszych zmarłych i wszystko, co jest nam drogą i święte? Będziemy krzyczeć: „Nigdy! nigdy!”

Oczami Tocqueville’a

Alexis de Tocqueville z dużą przenikliwością pisał o eksmisji Indian na nowe tereny:

Wprawdzie Unia zobowiązuje się, że pozwoli im tam zostać, ale przecież tereny, które teraz zajmują, również gwarantowano im niegdyś najuroczystszymi przysięgami. [...] W sposobie postępowania Unii jest mniej głupoty i przemocy niż w polityce realizowanej przez poszczególne stany; ale i jednym, i drugim brak woli. Wciąż rozszerzając to, co nazywają dobrodziejstwem swych ustaw o Indianach, stany liczą, że dzicy będą woleli pójść sobie precz, niż ustawom tym się podporządkować. A rząd centralny, przyrzekając tym nieszczęśnikom stałe schronienie na Zachodzie, jest świadom, że nie może go im zagwarantować. Właśnie tak swą tyraniją stany zmuszają dzikich do ucieczki, a Unia dzięki swym obietnicom i za pomocą swoich środków tę ucieczkę ułatwia. To tylko różne metody zmierzające do tego samego celu.

Poza pozornie tylko sprawiedliwym systemem prawno-administracyjnym Stanów Zjednoczonych francuski dyplomata dotyka istotnego problemu kulturowego. Przypomnijmy, że przed przybyciem białych, na wschodzie, w strefie lasów liściastych i Wielkich Jezior, wielu Indian prowadziło osiadły tryb życia, budując tzw. długie domy,



Alexis de Tocqueville FOT. DOMENA PUBLICZNA

a uprawę roli uzupełniając łowiectwem, rybołówstwem i zbieractwem. Na stepach Wielkich Równin dominowali koczownicy-łowcy żyjący w namiotach (wigwamach), wędrujący (od XVIII w. konno) za stadami bizonów, na które polowali, aby przeżyć. Bliżej gór spotykano na zachodzie plemiona prowadzące osiadły tryb życia, zbliżony do mieszkańców środkowej Ameryki.

Kultura plemion indiańskich przejawiała się w wierzeniach, obrzędach, tradycji, zdobieniu wyrobów codziennego użytku i broni, sposobie budowy siedlisk. Jak pisał w „Złotej gałęzi” George James Frazer: „Kultura jest to kubek, którym pije się życie”... Od zbicia tego „kubka” – umyślnego czy nawet nieumyślnego, przez sam kontakt z kolonizatorami – zaczynała się najczęściej degrengolada, upadek i w końcu zanik całych plemion. Nadchodził czas, gdy tubylcy nie potrafili już obyć się bez ubiorów, broni, żywności i alkoholu, za co biali handlarze żądali na ogół skór i futer, a biali osadnicy także ziemi. Gdy Indianie nie mieli już nic na wymianę, brali potrzebne im towary siłą, a opornych, zgodnie ze zwyczajem przodków, zabijali i skalpowali. Przybysze brali krwawy odwet, w czym pomagały im regularne wojska. Ci z Indian, którzy przeżyli, zmuszani byli odchodzić na tereny innych plemion lub wyznaczonych im rezerwatów.

Zanik indiańskiej kultury oznaczał zanik ich tożsamości, co przyspieszało fizyczne unicestwienie. To właśnie zjawisko jako pierwszy tak wyraźnie dostrzegł i ujął w słowa Tocqueville:

Ostabiając u Indian przywiązanie do ojczyzny, rozpraszając ich plemiona, zacierając tradycje, zrywając łańcuch wspomnień, przeobrażając wszystkie dawne

przyswajania, powiększając zaś z drugiej strony potrzeby, tyrania Europejczyków uczyniła ich ludźmi bardziej zagubionymi i mniej cywilizowanymi, niż byli poprzednio. [...] Wszelako Europejczycy nie zdołali całkowicie zmienić charakteru Indian i chociaż w każdej chwili mogli ich zniszczyć, nie mogli ani ich sobie podporządkować, ani ogłodzić. [...] [Indianin] znajduje upodobanie w swojej barbarzyńskiej niezależności i woli zginąć, niż zrezygnować z najmniejszej nawet jej części. [...] żyjąc na swobodzie wśród lasów, był biedny, lecz nie czuł się od nikogo gorszy. [...] Jego dawne życie było ruchliwe, pełne nieszczytów i niebezpieczeństw, lecz jednocześnie emocji i rzeczy wielkich, teraz musi się zgodzić na egzystencję monotonną, nędzną i podłą. [...] Niezależność, jaką się cieszył wśród sobie równych, kontrastuje z niewolniczą pozycją, jaką zajmuje w społeczeństwie cywilizowanym.

Tocqueville pisał „O demokracji w Ameryce” w latach 1835–1840, ćwierć wieku przed wojną secesyjną i zdobyciem tzw. Dzikiego Zachodu. Wtedy to dochodził będzie do krwawych bitew US Army z plemionami prerii, którym z dziką premedytacją wybijano tysiące bizonów i których konsekwentnie pozbawiano terenów łowieckich. Do historii przeszła słynna klęska gen. George’a Custer’a z Dakotami 25 czerwca 1876 r. pod Little Big Horn, ale końcem wszystkich batalii stało się przygniatające zwycięstwo białych.

Towarzyszyły temu okrutne rzezie wiosek indiańskich, z kobietami, dziećmi i ze starcami, dokonywane przez US Army – od Nebraski 3 września 1855 r. do masakry nad strumieniem Wounded Knee w grudniu 1890 r. O tej masakrze stary Indianin – Czarna Chmura – powiedział:

Kiedy patrzę teraz w przeszłość z tego wysokiego wzgórza mojej starości, ciągle widzę zmasakrowane kobiety i dzieci, leżące jedne na drugich albo rozrzucone nad krętym wąwozem. [...] I widzę, że coś jeszcze umarło wtedy, w krwawym błocie i zostało pogrzebane przez śnieżną zamieć. Umarło tam ludzkie marzenie. A było to piękne marzenie... Pień narodu został złamany i porozrzucony. Nie ma już rdzenia, a święte drzewo jest martwe.

Dodajmy jeszcze, że na początku XX w. odrzucono wniosek o utworzenie indiańskiego stanu Sequovah, złożony przez samych Indian z Pięciu Cywilizowanych Narodów. Większość indiańskich Amerykanów otrzymała amerykańskie obywatelstwo (nie zawsze z pełnymi prawami wyborczymi) dopiero w 1924 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Mirosław Szumiło

/ Sto lat temu polscy politycy zaprzepaścili zwycięstwo polskich żołnierzy nad bolszewikami

Bitwa Warszawska w 1920 r. uratowała nie tylko Polskę, lecz także Europę przed barbarzyńskim bolszewizmem. Słusznie została nazwana „osiemnastą decydującą bitwą w dziejach świata”. Jednakże zwycięstwo to zostało w ogromnej mierze zaprzepaszczone podczas negocjacji z bolszewikami w Rydze. Zawarty tam rozejm, a następnie pokój ryski dla Polski były w istocie klęską.

Pomimo wygranych bitew Polska nie osiągnęła strategicznych celów wojny. Trafnie to ujął prof. Norman Davies, stwierdzając: „W kategoriach obiektywnych trudno mówić o jakimś zwycięstwie. Żaden z celów nieprzyjacielskich stron nie został osiągnięty. Bolszewicy nie wyrwali się z blokady, nie sprowokowali wymarzonej rewolucji europejskiej [...]. Polacy ani nie ustanowili Federacji Kresowej, ani nie odbudowali państwa od morza do morza. Efektem wojny polsko-bolszewickiej nie był więc kompromis, ale impas”.

Aby należycie ocenić skutki rozejmu w Rydze, trzeba przypomnieć, jakie były polskie cele wojny wytyczone przez Józefa Piłsudskiego. Naczelny Wódz był człowiekiem z natury skrytym, trzymającym w tajemnicy swoje zamiary i koncepcje. Toteż oficjalny plan wojny z bolszewikami po prostu nie istniał. Faktyczne strategiczne cele Piłsudskiego możemy jednak wywnioskować z jego różnych wypowiedzi oraz tajnego raportu Naczelnego Dowództwa WP z 19 lutego 1920 r.

Dokument ten był oficjalnie traktowany jako stanowisko polskiego dowództwa wobec ewentualnych rozmów pokojowych z bolszewikami. Sprawy wojskowe były tu ściśle powiązane z politycznym planem Piłsudskiego.



1921 r. / Traktat ryski

Kłeska zwycięzców

Głównym celem wojny było zatem maksymalne osłabienie Rosji poprzez rozczłonkowanie jej na możliwie największą liczbę państw niepodległych jako rozwiązanie „najkorzystniejsze dla przyszłej egzystencji Państwa Polskie-

go”. Za „narody, które wojskowo dowiodły już, iż potrafią stworzyć własną państwowość” Naczelne Dowództwo WP uznało: Finlandię, Łotwę, Estonię, Ukrainę Naddnieprzańską, Gruzję, Armenię i Azerbejdżan.



osiągnięta linia Dźwiny i Dniepru. W dokumencie Naczelnego Dowództwa WP stwierdzono: „Granica ta jest pod każdym względem odpowiadająca wymaganiom strategicznym i stawia Państwo Polskie w stosunku do Rosji w możliwości podjęcia akcji wojennej na najważniejszy z dotychczasowych węzłów kolejowych Rosji Europejskiej – Moskwę”.

Minimum i maksimum

Wiosną 1920 r. Piłsudski starał się niewątpliwie zrealizować powyższy plan maksimum. Według niego kluczem do zwycięstwa było opanowanie Ukrainy, ponieważ „po pierwsze, Moskwa bez Ukrainy będzie zagrożona głodem; po drugie, jeśli zawiesimy nad nimi groźbę zorganizowania się niepodległej Ukrainy, to tej groźby oni nie będą mogli zaryzykować i będą musieli pójść na wałną rozprawę”. Celem operacyjnym „wyprawy kijowskiej” było możliwie szybkie sformowanie armii ukraińskiej, która przejmie na siebie obronę Ukrainy i pozwoli tym samym przerzucić główne siły polskie na północ. Po zdobyciu Kijowa Piłsudski zamierzał bowiem stoczyć decydującą bitwę z głównymi siłami Michaiła Tuchaczewskiego na Białorusi, aby osiągnąć linię Dźwiny i Dniepru.

Dalej na wschód Piłsudski nie zamierzał iść, ale wszystko wskazuje na to, że w końcowej fazie wojny chciał wprowadzić do samodzielnej akcji złożony głównie z Rosjan oddział gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza pod polityczną egidą Borysa Sawinkowa i Rosyjskiego Komitetu Politycznego. Po porażce białych i bolszewików mieli oni stworzyć nową, demokratyczną „trzecią Rosję”. Jak sugeruje prof. Andrzej Nowak, szczytem marzeń Naczelnika Państwa była następująca sytuacja: „Petlura w Kijowie, Sawinkow w Moskwie, a Piłsudski w Wilnie jako stolicy zjednoczonego na nowo terytorium Wielkiego Księstwa, odbudowującego swą historyczną unię z Polską”.

W opracowaniach dotyczących wojny polsko-bolszewickiej pomija się najczęściej to, że 17 maja 1920 r. miała się rozpocząć natarcie polskiej 4. Armii w pasie między Berezyną a Dnieprem w kierunku na Mohylew. W drugiej fazie operacji przewidywano uderzenie na Witebsk

i Orszę. W ten sposób miała być osiągnięta postulowana granica biegnąca wzdłuż Dźwiny i Dniepru. Niestety, 14 maja bolszewicki Front Zachodni Michaiła Tuchaczewskiego uderzył jako pierwszy na północnym odcinku frontu pod Połockiem i plan Piłsudskiego legł w gruzach. Gdy ofensywę tę zdołano z trudem powstrzymać, załamał się front ukraiński po przedarciu się na polskie tyły 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. Wojsko Polskie znalazło się w defensywie i cofało się stopniowo aż na przedpola Warszawy.



Stanisław Grabski FOT.WIKIPEDIA

W wyniku klęski w Bitwie Warszawskiej oraz przegranych bitew pod Komarowem i nad Niemnem Armia Czerwona poniosła straty sięgające ponad 100 tys. poległych i wziętych do niewoli. Na przełomie września i października 1920 r. Wojsko Polskie, wspierane przez oddziały sojusznicze, parło do przodu na wszystkich odcinkach frontu, a bolszewicy cofali się w nieładzie. Niestety, działania wojenne zostały brutalnie przerwane przez rozejm zawarty w Rydze, a wysiłek oddziałów WP w dużej mierze obrócony wniwecz.

Rozmowy pokojowe w Rydze toczyły się od 21 września 1920 r. w bardzo szybkim tempie. 12 października podpisano rozejm, a działania wojenne zostały przerwane 18 października. W tym momencie sprzymierzone oddziały polskie i ukraińskie na południowym odcinku frontu osiągnęły linię sięgającą do 150 km na wschód od Zbrucza. Pokrywała się ona z grubsza z „planem minimum” wytyczonym w lutym 1920 r., czyli linią, z której wyruszyła „wyprawa kijowska”. Na

W kwestii granicy z Rosją Sowiecką przewidywano dwa warianty: minimum i maksimum. W planie minimum granica miała się pokrywać z ówczesną linią frontu zajętej przez Wojsko Polskie. Na odcinku północnym (białoruskim) biegła wzdłuż rzek: Dźwina, Uła i Berezyna do Bobrujska, a dalej na południe do Prypeci. Na odcinku ukraińskim pozostawiała po polskiej stronie miasta Zwiahel i Lubar oraz część wschodniego Podola z Kamieńcem Podolskim i Płoskirowem.

„Plan maksimum” przewidywał powstanie sprzymierzonego państwa ukraińskiego, którego zachodnia granica pokrywała się mniej więcej z przyszłą granicą II Rzeczypospolitej, ustaloną w Rydze. Natomiast na północy miała być

■ północy zwycięskie Wojsko Polskie zajęło Mińsk i Stuck, a do osiągnięcia planu minimum, czyli linii rzeki Berezyny, brakowało od 60 do 100 km.

Grabarze Dąbski & Grabski

W tych okolicznościach wydawało się oczywiste, że ów plan minimum, nakreślony jeszcze w lutym 1920 r., powinien stanowić minimum polskich żądań w Rydze. Tymczasem polska delegacja w pełni zaakceptowała granicę przebiegającą znacznie bardziej na zachód. Wojsko Polskie musiało oddać w ręce wroga świeżo

Rozejm w Rydze był kuriozum na skalę światową. Strona przegrywająca, czyli bolszewicka, osiągnęła wszystkie swoje cele negocjacyjne, podczas gdy zwycięska Polska poniosła totalną porażkę, zaprzeczając sukcesy militarne i dopuszczając się zdrady swojego sojusznika. Główna przyczyna takiego fatalnego dla nas obrotu sprawy tkwi w składzie obu delegacji pokojowych.

Delegacja sowiecka składała się zaledwie z czterech osób pod przywództwem doświadczonego i zdolnego dyplomaty Adolfa Joffego. Realizowała cel wyznaczony przez Lenina – osiągnąć możliwie szybko „rzeczywistą gwarancję pokoju z Polską”. Kierownictwo bolszewickie za swojego najgroźniejszego wroga uznało

nictw sejmowych, kierujący się swoim wąskim interesem partyjnym. Dążyli za wszelką cenę do szybkiego zakończenia wojny i kompletnie nie rozumieli dalekosiężnych koncepcji Piłsudskiego. Przewodniczący delegacji Jan Dąbski z PSL „Piast” był zarozumiałym i mocno ograniczonym działaczem partyjnym. Joffe ogrywał Dąbskiego jak dziecko i z łatwością osiągnął swój cel – 5 października 1920 r. ustalono wstępne warunki rozejmu, bardzo korzystne dla strony bolszewickiej.

Sowieciom ogromnie zależało na czasie, aby móc przerzucić wojska z frontu polskiego na południe i przed zimą pokonać Wrangla. Dlatego byli gotowi na daleko idące ustępstwa w postaci oddania Polsce ziem białoruskich. Tym samym opisany powyżej plan minimum mógł być osiągnięty bez kontynuowania wojny. Polscy delegaci podjęli jednak haniebną decyzję o wyrzeczeniu się Mińska i Białorusi na rzecz bolszewików.

Przekonał ich do tego przedstawiciel endecji Stanisław Grabski. Argumentował to koniecznością zmniejszenia odsetka mniejszości narodowych w państwie polskim. Ponadto nie chciał drażnić „rosyjskich uczuć narodowych”. Paradoksem historii jest to, że odrzucony przez endekę Grabskiego plan minimum pokrywał się z tzw. linią Dmowskiego, wytyczoną przez lidera obozu narodowego podczas konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r. W ten sposób endecy lekką ręką wydali na pastwę bolszewików nie tylko ludność białoruską, lecz także kilkaset tysięcy kresowych Polaków.



Delegacje polska i sowiecka w Rydze. FOT. WIKIPEDIA

zdobyte tereny, pozostawiając na pastwę bolszewików miejscową ludność.

Polscy negocjatorzy w Rydze uznali też bez mrugnięcia okiem pełnomocnictwa przedstawiciela marionetkowej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, co oznaczało automatycznie zerwanie sojuszu z Ukraińską Republiką Ludową, zawartego w kwietniu 1920 r. Artykuł drugi podpisanego układu zobowiązywał obie strony do niepopierania organizacji „mających na celu walkę zbrojną z drugą układającą się stroną”. Tym samym Polska pozostawiała też na pastwę losu złożone głównie z Białorusinów i Rosjan oddziały gen. Bułak-Bałachowicza oraz oddziały rosyjskie gen. Peremykina.

bowiem nacierających z Krymu i południa Ukrainy białych Rosjan gen. Piotra Wrangla. Kontynuowanie wojny na dwóch frontach słusznie uznano za niemożliwe, toteż należało zawrzeć rozejm z Polską. Joffe doskonale przygotował się do swojego zadania. Posiadał szczegółowe charakterystyki członków polskiej delegacji i pozyskaną agenturalnie wiedzę o konfliktach wewnętrznych wśród nich, z czego zrobił znakomity użytek.

Sowieci ze zdziwieniem skonstatawali, że polska delegacja składa się z samych amatorów, bez jakiegokolwiek doświadczenia w prowadzeniu negocjacji pokojowych. Większość z 10 członków tej delegacji tworzyli przedstawiciele stron-

Jeszcze kilka tygodni...

Kontynuacja polskiej ofensywy jesienią 1920 r. w połączeniu z alternatywną strategią przeciągania negocjacji ryskich i stawiania daleko idących żądań mogła również doprowadzić do realizacji wymarzonego dla Piłsudskiego planu maksimum. Armia bolszewicka była bowiem w rozsypce, a droga na Kijów stała praktycznie otworem. Świadczą o tym dobitnie rezultaty zagonu kawalerijskiego na Korosteń, który przeprowadziła w dniach 8–12 października grupa jazdy gen. Juliusza Rómmla. W trakcie tej akcji

zniszczyła dwie dywizje nieprzyjaciela i wzięła do niewoli ok. 8 tys. jeńców. Rómmel, widząc demoralizację wroga, zaproponował głęboki rajd na Kijów, odrzucony jednak przez dowództwo 6. Armii. Odległość z Korostenia do Kijowa wynosi 140 km.

Duże wsparcie dla Wojska Polskiego i sprzymierzonej armii Ukraińskiej Republiki Ludowej mogła stanowić antybolszewicka partyzantka na Ukrainie, licząca jesienią 1920 r. ok. 40 tys. ludzi. Znaczne obszary między Kijowem a Morzem Czarnym były w praktyce kontrolowane przez powstańców. Na przedpolu Krymu rozwijały swoją ofensywę rosyjskie oddziały gen. Wrangla, opanowując cały obszar między Dnieprem a Morzem Azowskim i podchodząc pod Jekaterynosław (późniejszy Dniepropietrowsk). Wrangel zamierzał sforsować Dniepr, aby spotkać się z Polakami i Ukraińcami na linii Czerkasy-Chersoń.

Na Polesiu do dalszej walki przystąpiła także licząca 18 tys. ludzi Rosyjska Ludowa Armia Ochotnicza, dowodzona przez gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Składała się ona w istocie z Rosjan, Białorusinów, Polaków, Ukraińców i przedstawicieli innych narodowości. W połowie listopada samodzielnie zdobyła Mozyrz, Owruż i Rzeczyce, lecz potem musiała ulec przeważającemu siłom przeciwnika.

W polskiej historiografii często jest bezmyślnie powtarzana propagandowa teza historyków sowieckich o rzekomo liczącej 4,5 mln żołnierzy Armii Czerwonej w 1920 r. Tymczasem według wiarygodnych danych, przywoływanych przez prof. Waldemara Rezmera, siły zbrojne Rosji bolszewickiej latem 1920 r. liczyły 518 tys. żołnierzy. Były one rozproszone na kilku frontach, w tym na Kaukazie i Dalekim Wschodzie oraz w głębi Rosji, gdzie wybuchały powstania chłopskie. Armia Czerwona odczuwała ogromne braki w zaopatrzeniu w żywność, amunicję i broń. W tych okolicznościach kontynuowanie przez Polskę wojny przez kilka tygodni dawało szansę na przycięnięcie bolszewików do muru i podniesienie na nowo sprawy ukraińskiej. Obrazowo wyraził to Tadeusz Hołówko, stwierdzając: „Zdradziliśmy

Ukraińców, którzy wiernie dotrzymali nam braterstwa w dniach tragicznych. A tylko dwa tygodnie dalszej wojny i wojska Petlury byłyby w Kijowie, i Joffe zgodziłby się prowadzić rokowania wspólnie z nami i delegatami Petlury, uznaliby niepodległą Ukrainę, gdyż chodziłoby mu wówczas o ratowanie samego bytu bolszewików”.

Rajd na Korosteń, zdobycze Bałachowicza i fatalny stan, w jakim znajdowała się Armia Czerwona w tym czasie, pozwalały stwierdzić, że już na początku listopada możliwe było dotarcie do linii Berezyny i Dniepru. Wyczerpanie wojsk zmusiłoby prawdopodobnie obie strony

w Kronsztadzie, a wiosną szerzył się głód (ok. 5 mln ofiar).

„Wy tej Polski nie utrzymacie...”

O rezygnacji z realizacji tej koncepcji zdecydowała nie tylko polska delegacja w Rydze, złożona głównie z przeciwników Piłsudskiego, lecz także postawa samego Naczelnego Wodza. Według relacji Leona Wasilewskiego nie wierzył on w trwały pokój z bolszewikami, spodziewając się nowej ofensywy sowieckiej wiosną 1921 r. Stąd uzgodnienia w Rydze traktował jako tymczasowe. Faktyczny brak reakcji Piłsudskiego na warunki rozejmu zawartego w Rydze wskazuje jednak na to, że po porażce wyprawy kijowskiej wiosną 1920 r. zrezygnował on z podjęcia po raz drugi próby realizacji swojej koncepcji politycznej. Prawdopodobnie nie wierzył już w powodzenie takiego przedsięwzięcia.

W grudniu 1920 r. w rozmowie z oficerami polskimi na Wileńszczyźnie Piłsudski tak tłumaczył odejście od realizacji idei federacyjnej: „Powinniśmy obecnie ponownie zająć Kijów i Mińsk, aby móc połączyć federacją czy też unią z Polską całą Ukrainę, Białoruś i Litwę. [...] Polska tego nie chce, obce są jej idee jagiellońskie, a ponadto Polska jest bardzo wyczerpana długą wojną, wojsko nasze jest mocno przemęczone [...] Nie, nie możemy tego zadania podjąć”.

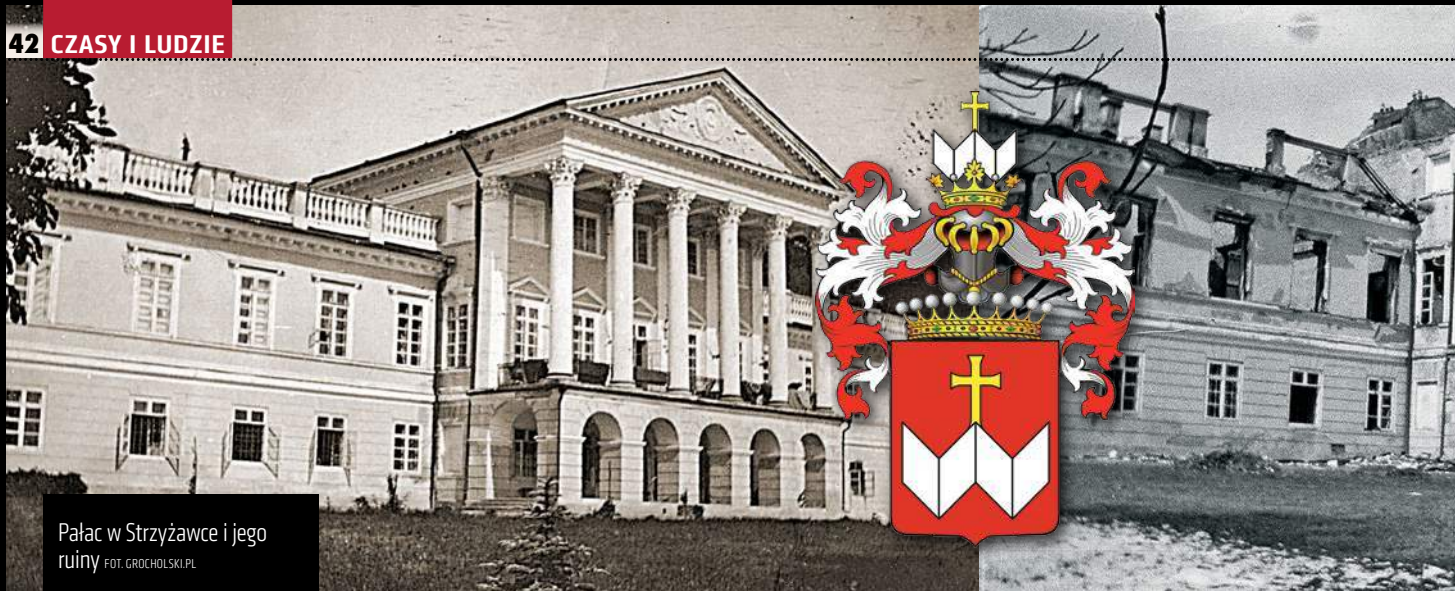
W późniejszych latach Piłsudski doskonale zdawał sobie sprawę, że rezygnacja z realizacji jego koncepcji strategicznej i postanowienia rozejmu w Rydze przyniosą fatalne skutki w przyszłości. Zimą przełomu lat 1924 i 1925, rozmawiając w Sulejówku z płk. Januszem Głuchowskim, marszałek powiedział: „Wy tej Polski nie utrzymacie. Ta burza, która nadciąga, jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś szczęśliwym, złotym okresie dziejów... ja przegrałem swoje życie. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN, profesorem UMCS w Lublinie.



do przerwy zimowej. Wznawiając wojnę wiosną 1921 r., połączone siły polsko-ukraińskie (nawet nie uwzględniając białych Rosjan gen. Wrangla) miałyby duże szanse z powodzeniem stawić czoło Armii Czerwonej. W tym czasie Rosja Sowiecka znalazła się bowiem w najcięższym kryzysie od początku swego istnienia, a władza bolszewików była wręcz bliska upadku. W efekcie polityki komunizmu wojennego w całym kraju szerzyły się bunt chłopskie. 28 lutego 1921 r. wybuchł bunt marynarzy



Pałac w Strzyżawce i jego ruiny
FOT. GROCHOLSKI.PL

1918 r. / Pogromy polskich dworów na Rusi

Koniec świata ziemian



Piotr Zychowicz

/ Tragedia rodziny Grocholskich. Szlacheckie gniazdo zostało zniszczone przez bolszewików

Tak musiał wyglądać Rzym po przejściu barbarzyńców. Oglądając te fotografie, trudno nie czuć smutku i goryczy. Owoc ciężkiej pracy wielu pokoleń, prastare rodowe gniazdo zostało unicestwione w ciągu jednej nocy. W wielkiej erupcji agresji, chciwości i bezmyślnego wandalizmu. Zniszczenie dla samego zniszczenia.

Na pierwszej fotografii widnieje przepiękny klasycystyczny pałac. Smukłe białe kolumny podtrzymują trójkątny fronton. Regularne łuki portyku, równe rzędy wysokich okien. Arcydzieło architektury zbudowane w epoce, gdy cesarzem Francuzów był jeszcze Napoleon Bonaparte.

Na drugiej fotografii – ten sam budynek. A raczej to, co z niego zostało. Kolumny osmalone od ognia, fronton

zwalony. Powybijane okna wiszą na strzępach framug. Wnętrze i dach – wypalone. Na trawniku wokół budynku walają się resztki rozbitych mebli, ubrań i książek.

To pałac w Strzyżawce pod Winnicą należący do hrabiowskiej rodziny Grocholskich. 18 stycznia 1918 r. majątek został napadnięty, splądrowany i puszczony z dymem przez chłopstwo podburzone przez bolszewików. Te ponure wydarzenia opisała w swych „Wspomnieniach bolesnych” Zofia Grocholska.

Pogrom

Na dziedziniec strzyżawiecki wpadło trzech konnych bolszewików, zajęli wprost do stajni, aby się rozjeżdżać – pisała. – Chłopi, sadząc, że już będą bolszewicy zabierać konie i krowy, rzucili się „ratować”, co się da dla siebie. Trudno opisać, co się działo. Ryk, pisk, kwik świń, wrzask drobiu zabieranego przez chłopów. Małe chłopaki rozbijali szyby w oranżerii i wynosili z dziewczętami rośliny.

Pałac napełniać się zaczął zwołna ludźmi nieznanymi. Widząc, że źle się dzieje, wzięłam figurę gipsową Dzieciątkła Jezus z Pragi, która zawsze stała w pokoju dzieci moich, oddałam ją do przechowania jednej z dziewcząt u mnie służących. Tymczasem łotr jakiś wydarł jej z rąk statuetkę i rzucając na ziemię, zawołał:

– Bodaj polskim Bogom oczy powyłaziły!

Trudno opisać wrażenie, jakiego doznałam, widząc tę hołotę spacerującą po pokojach, biorącą co komu się podobało. Ukłękłam w alkowie przy łóżku moim i „Pod

Twoją Obronę” odmówiłam. Poszłam jeszcze do pokoju mego męża i zęgnalam te kąty kochane.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Tłum plądrujący pałac znajdował się w gorączce. Łamano i rozbijano meble, bito lustra i okna. Ciężkie sprzęty wyrzucano z piętra na dziedziniec. W każdej chwili mogło dojść do tragedii. W wielu innych dworach na Rusi w trakcie pogromów chłopcy i bolszewicy zarzynali ziemian.

Hrabina, wraz z córką Zofią, opuściły pośpiesznie dom i skryły się na pobliskim probostwie. Po drodze zatrzymał się stary chłop Hrehor. Zdjął czapkę, pocałował panią w rękę i rzekł smutno:

– Jak to przykro, że pani hrabina z własnego domu uciekać musi, niech Pan Bóg pocieszy i da powrócić. Ci ludzie jakoby oszaleli.

Z kolei pewna baba wiejska szła w stronę swojej chałupy, niosąc na głowie... stół zrabowany z pałacu.

– Ach, czemuż im taką krzywdę robić – biadoliła przy tym i stękała. – Oni zawsze dobrzy i sprawiedliwi byli, nikomu krzywdy nie czynili...

Nie przeszkadzało jej to w dźwiganiu do domu ukradzionego mebla.

Jak widać, w trakcie pogromu ludzie zachowywali się różnie. Jedni przyzwyczajeni, drudzy – wprost przeciwnie. Grocholscy, dzięki pomocy pewnego



Zofia Grocholska z synami

FOT. GROCHOLSKI.PL

„pocziwego Żydka”, który udostępnił im swoją furmankę, uciekli pod osłoną nocy do pobliskiej Winnicy. Wielonarodowego miasteczka położonego nad wijącym się malowniczo brzegiem Bohu. Obecnie jest to liczące 370 tys. miasto. Znanie z fabryki czekolady należącej do byłego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki. Wróćmy jednak do tragicznego stycznia roku 1918.

Gdy hrabina Grocholska jechała w stronę Winnicy, na czarnym niebie ujrzała dwie wielkie, jaskrawe łuny. Jedna pochodziła ze Strzyżawki, druga z pobliskiego pałacu w Pietniczanach. Były to również dobra Grocholskich i tam także trwał pogrom.

Dwa piękne pałace były trawione przez ogień. Kilkusetletnia praca i obecność na Podolu znakomitej rodziny dobiegały końca.

Kiedy się ściemniło, a lampy już były wykradzione – pisała Zofia Grocholska – rabusie oświecali sobie pokoje płonącymi dziennikami, które, dopalając, rzucali na ziemię na stosy rozrzuconych książek, dzienników – wszystko momentalnie się zajmowało. Strasznie ciężko i smutno, dom nasz drogi, gdzie tyle szczęścia i błogosławieństwa Bożego doznaliśmy, zrabowany i został tylko zgłiszczka.

Kolejny cios przyszedł nad ranem. Okazało się, że w trakcie pogromu łupieżcy wdarli się także do rodowej kaplicy na „Skale”. Pokruszyli kryptę, wywlekli z nich trupy, które sprofanowali i ograbili...

Austriacy

Rodzina Grocholskich zamieszkała w Winnicy, gdzie starała się jakoś wiązać

koniec z końcem. Wkrótce znalazła się jednak w kolejnym niebezpieczeństwie. W marcu 1918 r. z Odessy przyjechał ważny komisarz Nikołaj Murałow, który zaplanował „wytępienie Polaków”...

Na szczęście w międzyczasie bolszewicy podpisali z państwami centralnymi traktat brzeski. Zgodnie z jego postanowieniami Podole znalazło się pod zarządem Wiednia. Czerwoni komisarze uciekli jak niepyśzni, a ich miejsce zajęli Austriacy. Ziemiaństwo, którzy przetrwali falę pogromów, byli ocaleni!

Austro-Węgry były starą, dobrą monarchią, która stała na straży tradycyjnego ładu. Respektowała święte prawo własności, miała poszanowanie dla herbów i rodzin szlacheckich. Austriacy po przybyciu na Podole z miejsca przystąpili więc do przywracania porządku.

Skonfiskowali chłopom broń. Część prowodyrów pogromów rozstrzelali, innych wychłostali, aby zmusić ich do zwrotu zagrabionych z dworów i pałaców przedmiotów. W Strzyżawce obyło się bez egzekucji, grabieżcy sami potulnie oddawali swoje łupy.

Chłopi – wspominała autorka wspomnień – podrzucali w nocy do ogrodu pałacowego szafy, komody, krzesła albo też, bojąc się, by ich nie karano, wrzucali meble do Bohu i można było widzieć dużo mebli pływających rzeką ze Strzyżawki do Winnicy. Zwracali krowy, mówiąc, że je dla nas przechowywali, a nawet wiejskie baby przychodziły z pretensjami do mnie, byśmy im zapłacili za utrzymanie kilkumiesięczne krow. Dziwnie było słuchać tych bredni.

Żona brata autorki – hrabiego Andrzeja Zamoyskiego – napisała list do cesarza Austrii Karola, który był jej siostrzeńcem. A także do hiszpańskiego króla Alfonsa. Dzięki ich interwencji władze austriackie

zorganizowały zrujnowanym polskim ziemianom z Podola wyjazd do Królestwa Polskiego.

Hrabina Grocholska zdecydowała się jednak pozostać. Jej syn, Henryk, próbował zabezpieczyć spalony pałac w Strzyżawce prowizorycznym dachem. I w ten sposób uchronić go przed kolejnymi zniszczeniami. Wydawało się, że zamęt rewolucji dobiegł końca i nastaną spokojniejsze czasy odbudowy, gojenia ran.

Nic bardziej mylnego. Niestety wkrótce znowu zaczęły się kłopoty! Państwa centralne załamały się i z hukiem przegrały wielką wojnę. Winnica zaś przeszła pod rządy petlurówców, czyli Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL). Chociaż formacja ta walczyła o niepodległość Ukrainy, to w kwestii wielkiej własności rolnej licytowała się na radykalizm z bolszewikami.

Petlurówcy opowiadali się za zagrabieniem ziemi „polskich panów” i oddaniem ich w ręce ukraińskich włościan. Po ich przybyciu do Winnicy zaczęły się aresztowania i kolejne szykany.

Rządy Ukraińskiej Republiki Ludowej okazały się efemerydą. Wkrótce do Winnicy zaczęło znowu zbliżać się to, co najgorsze. Czerwoni. Hrabina Grocholska zapamiętała scenę wyjazdu pracowników niemieckiej ambasady, którzy ewakuowali się do swojej ojczyzny.

Powiedzieli mi, że dobrze zrobić, wyjeżdżając zaraz, bo bolszewicy na pewno zajmą całe Podole. Wyrwał mi się okrzyk:

– Kiedyż już na koniec porządek i spokój tu zapanuje?

Na to major powiada, wskazując na pierś własną:

– Wenn wir werden hier kommen! (Kiedy my tutaj przyjdziemy!)

Tegoż samego wieczoru major zaproponował przynieść nam mapy z naznaczonym przez siebie frontem bolszewickim. Przyniósł i rozłożył mapę na stole w jadalnym pokoju. Tłumaczył nam, jak bolszewicy postępują, i zakończył:

– Teraz nie powinno być ani Francuzów, ani Niemców, ani Polaków, ani Anglików, ale wszyscy razem stworzyć powinni jedną olbrzymią armię i wybić bolszewików do ostatniej nogi, wtedy dopiero spokój będzie. Ale tak jak jest, przepraszam za wyrażenie zbyt śmiało, my stąd wyjeżdżać musimy, bo nie możemy i nie chcemy mieć do czynienia z tymi świniami!!!

Sympatyczny niemiecki oficer oczywiście miał rację. Wszystkie wolne narody świata powinny zjednoczyć się przeciwko bolszewizmowi, aby wypalić ogniem i żelazem tę zarazę. Ani Niemcy, ■

■ ani Francuzi, ani Anglicy specjalnie do walki z Leninem się jednak nie palili.

Znowu bolszewicy!

Spełnił się najgorszy możliwy scenariusz. Po okresie rządów Austriaków i Ukraińców w marcu 1919 r. Winnica znowu wpadła w łapy bolszewików. Tym razem czerwoni byli jeszcze bardziej agresywni. Jeszcze Ukraińcy nie zdążyli wycofać się z miasta, a już rozpoczęły się grabieże.

Opryszków było piętnastu, wszyscy Żydzi i trzech chłopów, z których dwóch zamaskowanych – wspominała pani Zofia. – Zaczęło się płądrowanie mieszkania.

Łupieżcy ukradli całą posiadaną przez domowników gotówkę, z palców kobiet pościągali pierścionki i obrączki. Nożami popruli poduszki i kołdry w poszukiwaniu precjozów. Wszystko to odbywało się w akompaniamencie wulgarnych wyzwisk rzucanych przez wymachujących naganami bolszewików. Zgroza.

Wszystko leżało na ziemi – pisała hrabina Grocholska. – Książki, suknie, bielizna, rozerwane poślanie z łóżka. Wały tego wszystkiego leżały na podłodze. Opryszek jednym błyskawicznym ruchem zarzucił mi ręce w tył i zawiązał tak, że palce zaczepione były o łokcie. Tak skępowaną wprowadzili mnie do pokoju służbowego, gdzie zobaczyłam wszystkie osoby siedzące rzędem na kanapie z powiązanymi rękami.

Kosołki żyd wpadł do pokoju i groźąc rewolwerem, aby nikt się nie ważył przed upływem godziny ruszyć z miejsca, bo piekielna maszyna podłożona wybuchnie i cały dom z nami wyleci w powietrze.

Bolszewicy uciekli. A zanim pani Grocholska została uwolniona z pęt, ręce z powodu braku cyrkulacji krwi poczerniały jej „jak u Murzyna”. W taki to właśnie sposób wyglądała rewolucja. Niczym nie różniła się od zwykłego napadu rabunkowego dokonanego przez szajkę kryminalistów.

Gdy 18 marca do Winnicy wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, rozpoczął się czerwony terror. Wraz z jednostkami wojskowymi zjawily się zbiry z Czeki. Niestety, fatalnie zachowywała się część żydowskich mieszkańców miasta (wyznawcy judaizmu stanowili 60 proc. mieszkańców Winnicy).

Żydzi głowy zewsząd wychylali i widząc czerwone kokardy, witali bolszewików radosnymi okrzykami „Hurra! Hurra!” i przyłączali się do tej hołoty zwanej

Czerwoną Armią. Małe Żydki biegali przed bolszewikami i palcem wskazywali różne osoby, mówiąc:

– I ten służył w petlurowskim wojsku, a ten w polskim wojsku.

Natychmiast bez sądu rozstrzeliwali na ulicy. Rozbiegli się bolszewicy po domach.

Mimo że mieszkanie Grocholskich zostało już splądrowane, kolejne fale bolszewików rozkradały resztki pozostawione przez poprzedników. Trwało to 10 dni. Sowietci nałożyli na Grocholskich i inne ziemiańskie rodziny haracz, jeden z synów hrabiny został aresztowany.

Czerwoni wzięli się do rozprawy z „burżujami i obszarnikami”. W okolicach Winnicy większość ziemi należała zaś do polskich rodzin szlacheckich. Polacy stanowili również sporą część elity miasta – kupców, lekarzy, adwokatów, urzędników.

Kaci z Czeki wzięli więc Polaków na cel. Doszło do fali aresztowań. Niestety byli przetrzymywani w straszliwych warunkach w kazamatach Czeki. Bito ich tam i torturowano. Znęcano się nad nimi duchowo i fizycznie.

Pastwiono się strasznie – pisała hrabina – wyrwijając paznokcie lub pod paznokcie wbijając gwoździe, wykluwając oczy, przebijając uszy, wyrwijając języki przez gardło, owijając drutem kalczastym całe poranione już ciało nieszczęśliwego. Obnażano aresztowanego i pchano na deskę przybitą do muru, a nabita gęsto ostrymi gwoździami jak szczyotka. Krzyżowano, żywcem grzebano. Nie ma młok, których by ci z piekła rodem barbarzyńcy nie wymyślili.

Bolszewicy wiele zbrodni popełnili pod wpływem alkoholu i kokainy, którą zrabowali ze wszystkich winnickich aptek.

Nocami, w lesie w pobliżu Winnicy, rozpoczęły się egzekucje. Czekiści rozstrzelali wielu młodych ziemian. Los ten spotkał między innymi zaprzyjaźnionego z Grocholskimi Ludwika Mańkowskiego.

Bolszewicy starali się „obszarników” upokarzać. Hrabina opisuje przypadek zanieczyszczenia fekaliami domu znacznej polskiej rodziny, a następnie zmuszenia domowników do ich sprzątnięcia. Gdy służąca rzuciła się do pomocy swojemu państwu, czerwoni sterroryzowali ją rewolwerem: – Nie ujmuj się za burżujami!

Nie było na co czekać. Zofia Grocholska – w przebraniu wiejskiej kobiety – uciekała z miasta. Pomogła jej w tym wierna wiejska kobieta, która, gdy hrabinie udało się wydostać z Winnicy, miała oczy pełne łez.

– Sława, sława Tobie Hospody. Sława Tobie Boże – mówiła. – Pani grafyni, jak ja bojała się, Boże łaskawcy, ja dumałam, szczo wże nikoły nie dojdem. Sława Bohu wy żywi i zdrowi.

Zofia Grocholska ukryła się na wsi, ale wkrótce pod Winnicę znowu podeszli petlurowcy i okolice miasta zamieniły się w strefę wojny. Grocholscy zdecydowali się na ryzykowną ucieczkę na Zachód, na tereny zajęte przez polskie wojska. We wrześniu 1919 r. udało im się wyrwać z matni.

Za sobą Grocholscy pozostawili ruiny Strzyżawki, Pietniczan i innych rodowych majątków. Swoje folwarki, stajnie, fabryki, mogiły przodków. Za sobą pozostawili wszystko. Całe dotychczasowe życie.

Reszta dni i lat – pisała Zofia Grocholska – cud ten uczyni i powrócimy do naszych Kresów, do pracy, do kątów naszych ojców i dziadów, gdzie oni krew są przelewali, gdzie my, ich potomkowie, przelewać krew naszą winniśmy.

Nie wrócili już nigdy. Mimo że Wojsko Polskie w 1920 r. pokonało bolszewików i wyzwoliło Winnicę, władze w Warszawie lekką ręką oddały Podole Sowietom! Na mocy haniebnego traktatu ryskiego olbrzymi kawał Rzeczypospolitej został wydany na pastwę czerwonych oprawców.

Winnica, Kamieniec Podolski, Żytomierz, Mińsk – wymieniać by tak można długo. Wraz z ziemią bolszewikom oddano ludzi. Skończyło się to wielką tragedią. W latach 1937–1938 w ramach operacji polskiej NKWD wymordowało miejscowych Polaków.

W 1943 r. niemieckie władze okupacyjne odkryły pod Winnicą masowe groby ofiar sowieckiego terroru. Na miejsce przyjechała międzynarodowa komisja. Z masowych grobów wydobyto ok. 10 tys. ciał. Wiele z nich należało do Polaków. Takie były konsekwencje zdrady ryskiej...

Kilkusetletnia obecność Polaków na Podolu – której symbolem były dwory i pałace naszej szlachty – dobiegła końca.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ZOFIA Z ZAMOYSKICH GROCHOLSKA
„WSPOMNIENIA BOLESNE 1917-1919”

WYD. HENRYK GROCHOLSKI



Kadr z filmu „Richard Jewell” Clint Eastwooda

FOT. MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

1996 r. / Skandal podczas igrzysk olimpijskich w Atlancie

FBI na fałszywym tropie



Jakub Ostromecki

/ Człowieka, który uratował życie setek ludzi, trzy miesiące bezpodstawnie gnębiły FBI oraz media

– *Jaki dzień jest najgorszy?*
– *Gdy przychodzisz do roboty i nazywają cię zamachowcem. Kiedy się gapią...*

Dialog ten to część reportażu z 1998 r. autorstwa Sarah Corbett, dziennikarki magazynu „Esquire”. Jego bohaterem był Richard Jewell, wówczas policjant w miasteczku Lutherville położonym niedaleko Atlanty. W 1996 r. Jewell był pracownikiem ochrony podczas letnich igrzysk olimpijskich w Atlancie. To on wykrył ładunek wybuchowy podłożony w miejscu, gdzie odbywał

się plenerowy koncert. Dzięki jego spostrzegawczości udało się uratować życie setek osób. Jednak pochopność i pośpiech FBI do spółki z medialną żądzą sensacji spowodowały, że w trzy dni Jewell z bohatera stał się głównym podejrzanym. Przez trzy miesiące wytrzymywał nagonkę mediów, aż w końcu prokuratura oświadczyła łaskawie, że „przeciwko Panu Jewellowi nie toczy się żadne postępowanie i ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie”. Prawdziwego sprawcę zamachu schwytano dopiero w 2003 r. W 2019 r. Clint Eastwood zekranizował historię ochroniarza w filmie „Richard Jewell”.

Bohater z nadwagą

Eastwood zbudował swoją opowieść z wielkim pietyzmem. Aktor Paul Walter Hauser mógłby być rodzonym bratem Jewella. Wiele scen nakręcono tak, jakby Eastwood w lecie 1996 r. śledził każdy krok swojego bohatera. Widzimy koszmarną dietę korpulentnego i wąsatego Amerykanina oraz jego

nadgorliwość w czasie, gdy był strażnikiem w przeróżnych instytucjach. Reżyser nie omieszczał wspomnień, że w dniu zamachu bohatera ochroniarz rzeczywiście dostał biegunki, a kilka dni potem jego matka faktycznie przygotowała lasagne z okazji odwiedzin, jak się okazało, „kolegi” z policji. Kilka dni później załamywała ręce, gdy agenci FBI pomazali markerami jej pojemniki na żywność. Zgromadzeni niczym hieny dziennikarze, ze swoimi ogromnymi mikrofonami parabolicznymi i teleobiektywami, za pomocą których chcieli inwigilować każdy aspekt życia Jewella, wyglądają jak wyjęci żywcem z lat 90.

Wiernie, choć nie do końca pod względem fizycznego podobieństwa, prezentuje się prawnik broniący Jewella – Watson Bryant. Sekretarka przekonuje go do podjęcia się obrony Jewella, wypowiadając z rosyjskim akcentem mocne i prawdziwe słowa: „W kraju, z którego pochodzę, człowiek uznany przez prasę za winnego na pewno jest niewinny”. Nie jest to sprytny zabieg polegający na rozbudzeniu antykomunistycznych resentymentów i skojarzeń. ■

■ Bryant faktycznie miał sekretarkę będącą rosyjską emigrantką, którą zresztą poślubił po wydarzeniach z 1996 r. Z Eastwoodem łączy go podobne poglądy – obaj są libertarianami.

Kim był Richard Jewell? Jednym z milionów białych dryfujących gdzieś pomiędzy klasą niższą a średnią. Tak jak większość jego rówieśników na Południu był baptystą. Rozpoczął naukę w college'u, ale jako że ojczym pewnego dnia zniknął, musiał ją porzucić. Ukończył Akademię Policijną z niezłymi wynikami, ale wkrótce przytył i choć świetnie strzelał oraz znał na pamięć procedury, uznano, że nie nadaje się do służby. Pracował jako sklepikarz i pomocnik biurowy w Urzędzie Wspierania Małych Przedsiębiorstw. To tam



Richard Jewell FOT.THEREADERWIKI.COM

poznał prawnika Watsona Bryanta. Został w końcu ochroniarzem w sklepie, gdzie z powodzeniem chwycił drobnych złodziejaszków. Jego wymarzona praca była teraz w zasięgu ręki. Wkrótce był już policjantem w jednym z hrabstw pod Atlantą.

Eastwood musiał pominąć kilka faktów z tego okresu życia Jewella, choć dla wyjątkowo uprzedzonego i po prostu słabego śledczego mogły one stanowić jakieś punkty zaczepienia w budowaniu obrazu niespełnionego bohatera, który sam sprowokował wybuch bomby. Gdy Jewell pracował jako ochroniarz w apartamentowcu, udając policjanta, niemal doprowadził do zatrzymania pary, która hałasowała w jacuzzi. Pracę w policji musiał porzucić po tym, jak rozbił radiowóz i groziło mu zwolnienie dyscyplinarne. Właśnie w ten sposób trafił do Atlanty, gdzie znów został ochroniarzem, tym

razem na organizowanych właśnie igrzyskach. Zamierzał znaleźć nowe kontakty i z powrotem trafić do służby. Uczęszczał na przeróżne kursy i obracał się w środowisku mundurowych, którym cytował z pamięci fragmenty regulaminów czy kodeksu postępowania karnego. Współpracownicy zapamiętali, że robił to jednak w sposób pozbawiony pychy czy zarozumiałstwa. W filmie w dość nerwowym momencie rzuca do swoich kolegów z policji: „Na szkoleniu pirotechnicznym mówili nam, że jak facet sprawdzający podejrzany ładunek robi się błąd, to znaczy, że jest naprawdę źle”.

Zamach

Feralnego dnia o godz. 18 Jewell rozpoczął swoją 12-godzinną zmianę – do pracy przyszedł jak zwykle pół godziny przed czasem. Była godz. 0.30, gdy zobaczył, że za wieżą akustyków grupka chłopaków raczy się piwem, wyciągając je z zielonego plecaka. Interweniował, ale imprezowicze natychmiast uciekli. Pod jedną z ławek ustawionych przy wieży zobaczył jednak drugi plecak wyglądający identycznie jak ten, z którego młodzi wyciągali złoty trunek. Jewell wezwał policję i natychmiast kazał akustykom i oświetleniowcom uciekać z wieży. Wkrótce przybyli też saperzy, którzy zamiast budweisera odkryli ładunki wybuchowe. Eastwood przytacza te wydarzenia, drobiazgowo cytując nawet słowa wypowiedziane przez saperów po odkryciu bomby. Wkrótce nastąpił potężny wybuch – mógł zabić setki osób. Skończyło się na jednej, bezpośredniej ofierze śmiertelnej.

James Tery, prokurator stanowy z Maine, poproszony o komentarz do śledztwa, które FBI wszczęło zaraz po zamachu, stwierdził: „Im większa sprawa, tym niższe standardy. Presja na organy ścigania jest przepotężna”. Niestety FBI zadziało dokładnie w myśl tej sentencji. Opierając się na zgromadzonych danych z wcześniejszych zamachów, już kilka godzin po wybuchu bomby miało gotowy profil terrorysty: „Biały mężczyzna po trzydziestce, samotny, niespełniony żołnierz lub policjant”. Jewell pasował jak ulał. Choć nigdy nie postawiono mu zarzutów ani nie toczyło się przeciwko niemu

śledztwo, faktycznie stał się głównym podejrzanym. Odległość między budką, skąd dzwoniono na policję, a miejscem koncertu była zbyt duża, toteż FBI doszło do konkluzji, że skoro Jewell nie mógł być w tych dwóch miejscach jednocześnie, to musiał mieć współników.

FBI opierało się na wątpliwych poszlakach. Podobno ktoś widział Jewella, jak kilka dni wcześniej na swojej działce testował materiały wybuchowe. Okazało się jednak, że palił śmieci, a wśród nich znalazł się przypadkowo zużyty dezodorant. Podejrzane okazały się też jego kursy pirotechniczne – przechodziło je jednak wielu policjantów. Miał też rzec w dniu zamachu: „Dziś będzie tu niezły bajzel”. Podczas przesłuchania świadków wyszło jednak, że miał na myśli korki w Atlancie. W mieszkaniu nie znaleziono oczywiście ani grama materiałów wybuchowych.

Najgorsze jednak było to, że informacja o zastosowanych wobec niego czynnościach wraz z jego personaliami „wyciekła” do prasy. Który z funkcjonariuszy zawinił – nie wiadomo do dziś. Dość powiedzieć, że Jewell stał się obiektem trwającej trzy miesiące ohydnej nagonki medialnej. Opowieść w stylu od „bohatera do zera” sprzedaje się bowiem znakomicie. Brały w niej udział bardzo znane osoby. Słynny komik Jay Leno nazwał go „Unadofusem”, co w wolnym tłumaczeniu może znaczyć „Janusz terroryzmu”. Stwierdził też: „Dlaczego igrzyska olimpijskie dają zawsze szansę zaistnieć głupim tłuściochom?”, porównując w ten sposób Bogu ducha winnego Jewella do sprawcy ataku na jedną z łyżwiarek, do którego doszło zaraz przed zimową olimpiadą w Lillehammer w 1994 r. Po kilku miesiącach, gdy FBI odczepiło się od Jewella, komik stwierdził niezbyt empatycznie: „Śmiałyśmy się z faceta, podczas gdy FBI nic na niego nie miało”.

Po trzech miesiącach od zamachu Jewell wydał oświadczenie: „FBI, chcąc pokazać światu, jak szybko jest w stanie dopaść sprawcę, podeptało moje prawa obywatelskie. Ścigając się o to, kto pierwszy pokaże widzom bohatera zamachowca, media kompletnie nie interesowały się moimi uczuciami jako istoty ludzkiej. Ścigając się o osobiste korzyści, FBI i media nieomal zniszczyły mnie i moją matkę”. Jewellowi należało się odszkodowanie. Jego prawnicy zarzucili pozwami

FBI oraz gigantów medialnych takich jak NBC News, CNN, „New York Post” i oczywiście „The Atlanta Journal-Constitution”. „Ludzie mają prawo wiedzieć” – bronili się dziennikarze, powołując się na formułkę wywodzącą się z amerykańskiej konstytucji.

Lin Wood, specjalista od pozwów o ochronę dóbr osobistych, ostrzegał ich zatem: „Nazwijcie go podejrzanym. Opublikujcie to w gazecie. Za taką rzecz na pewno nie będziecie pozwani. Stanie się to jednak, jeśli będziecie rozgłaszać, iż to bandzior, zwyrodnialec. Że pasuje do profilu typowego zamachowca. Że zawsze szukał uwagi. I że jest jak Wayne Williams skazany za morderstwa dzieci – to właśnie powiedziała »Atlanta Journal-Constitution« o tym człowieku”. Ostatecznie większość spraw zakończyła się po latach ugodą. Media zapłaciły Jewellowi grubo ponad milion dolarów – większość tej sumy pożarły jednak stawki prawników i podatki. „Atlanta Journal-Constitution” udało się jednak uniknąć odpowiedzialności – po wielu latach sąd wydał wyrok korzystny dla gazety, twierdząc, że relacjonowała jedynie prace FBI.

Jak po latach przedstawiciele mediów komentowali postawę swoich kolegów po fachu? John Seigenthaler, znany działacz na rzecz przestrzegania pierwszej poprawki do konstytucji gwarantującej wolność słowa, stwierdził szczerze: „Biorąc pod uwagę rozmiary tragedii i zagrożenie zamachami, gdyby FBI podało mi wtedy imię podejrzanego, to opisałbym go. Ale teraz bym płakał ze wstydu”. Innego zdania był były rzecznik Departamentu Sprawiedliwości Carl Stem: „Całe to załamywanie rąk przez dziennikarzy jest niepotrzebne. System zadziałał. Ostatecznie nie ma w USA człowieka, który nie miałby pozytywnego obrazu Richarda Jewella i wiedzy o tym, co mu wyrządzono. Jewell miał przecież nieograniczony dostęp do mediów”.

Ciało za informacje

Wierność w przedstawianiu faktów ma jednak w kinie swoje granice, wyznaczone przez względy czysto komercyjne. W myśl tej zasady wiele

postaci maluje się kreską grubszą, niż robi to samo życie. Z kilku postaci konstruuje się zaś jednego superbohatera. Jewella broni zatem w filmie samopas Watson Bryant. W prawdziwym świecie samotne wilki zwyciężają jednak bardzo rzadko. Watson rzeczywiście zainicjował proces obrony swojego dawnego kolegi, ale był cały czas świadomy swoich ograniczeń. Zajmował się przecież na co dzień kwestiami umów kupna i wynajmu nieruchomości. Powołał więc zespół, w którego skład weszli karnista Jack Martin i wspomniany już wyżej Lin Wood. Watson nie był tak potężny, jak przedstawiono go w filmie. Jewell, nie mogąc się do niego dodzwonić, podpisał bowiem protokół przesłuchania podczas zainscenizowanego przez FBI „wywiadu instruktażowego”. Dopiero późniejsza interwencja prawnika spowodowała anulowanie owego dokumentu.

Największe kontrowersje wzbudziło przedstawienie nieżyjącej już Kathy Scruggs. Była to pierwsza dziennikarka, która puściła w świat informację o tym, że Jewellem interesuje się FBI.

Scruggs, jak przyznawali we wspomnieniach jej przyjaciele, była postacią dość osobliwą. Za kołnierza nie wylewała. Lubiła ubierać się prowokująco i klęła jak szewc. W młodości doznała jakiejś kontuzji pleców, toteż brała sporo środków przeciwbólowych. Te z kolei spowodowały u niej nadwagę i sięganie po kolejne medykamenty. Scruggs miała jednak niesamowitą zdolność do pojawiania się w miejscu zbrodni, zanim dotarła tam policja. Postać dziennikarki dzięki aktorce Olivii Wilde stała się dużo bardziej pociągająca, niż była w rzeczywistości, choć zgodnie z wymogami scenariu-

sza jest to seksapil nieco gadzi i pełen wyrachowania.

Przyjaciele Scruggs byli wściekli na Eastwooda za to, że przypisał jej dość tani sposób zdobywania informacji. Eastwoodowska Scruggs zmysłowo zaleca się do agenta FBI, chcąc się dowiedzieć, czy resort znalazł już podejrzanego. Finał flirtu sugeruje, że para przejdzie zaraz od słów do czynów, przy czym Scruggs nie obchodzi, czy da upust swojej chuci w hotelowym pokoju czy w samochodzie. Przyjaciele dziennikarki zaprzeczają, aby posunęła się do czegoś takiego. Innego zdania są jednak Ken Alexander i Kevin Salwen, autorzy książki „Suspect” poświęconej Jewellowi. Pierwszy z autorów,

jako ówczesny szef prokuratury okręgowej w Atlancie, był osobą dobrze poinformowaną. Stwierdził, że Scruggs „spała ze swoimi źródłami”. W gronie jej kochanków znalazło się wszak kilku policjantów. Czy chodzi akurat o agenta Johnsa z FBI – nie wiadomo, ponieważ ów również już nie żyje.

Jak wyglądało życie Jewella po ustaniu medialnej nagonki? Zrzucił kilkanaście kilo-

gramów. Trafił do Lutherville, gdzie znów mógł włożyć policyjny mundur. Nosił go już do śmierci. Nie był wcale narwanym, nadgorliwym gliną. Wspominana na początku dziennikarka opisywała, jak unikając użycia środków ostatecznych, uciszał z powodzeniem domowe awantury. Zakończyła swój reportaż typową sceną z życia policjantów z małego miasteczka. Kończąc służbę, Jewell zatrzymał się jeszcze przy ledwie zipiącym kamperze, pytając kierowcę, czy wszystko w porządku, i zastanawiając się wraz z nim, czy owa para wydobywająca się spod maski to tylko chłodnica czy coś gorszego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





Wspomnienie / Roman Dzwonkowski (1930–2021)

Kresowa misja niezwykłego księdza



Mikołaj Iwanow

/ Już w latach 70. jako pierwszy odważył się mówić głośno o tragedii Polaków na Wschodzie...

Chrześcijaństwo i komunizm – dwa zjawiska, dwie ideologie proponujące swym wyznawcom wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie prawie tajemnice ludzkiego

życia i dzieje współczesnego świata. Są to dwa światopoglądy zwalczające się nawzajem i walczące o dusze i umysły ludzi na całym świecie. W historii ludzkości były momenty, kiedy ta walka przybierała formy skrajne, gdy komuniści stosowali w walce z Kościołem metody ludobójcze, dążąc do całkowitego zniszczenia wiary chrześcijańskiej i jej wyznawców. W 1932 r. w Związku Sowieckim partia bolszewicka zatwierdziła plan tzw. pięciolatki ateistycznej, przewidującej całkowitą ateizację społeczeństwa w ciągu pięciu lat do 1938 r. Cel ten osiągnięto jedynie w odniesieniu do jednego wyznania chrześcijańskiego – katolicyzmu.

Z ponad pół tysiąca parafii katolickich, istniejących na terenie tego kraju w roku 1921, w roku 1939 pozostałe otwarte jedy-

nie dwie: w Moskwie i Leningradzie, na użytek dyplomatów państw zachodnich. Teoretycznie Kościół katolicki, zrzeszający przed realizacją „pięciolatki ateistycznej” ponad 1,5 mln wiernych, przestał istnieć. Jak się okazało, było to zwycięstwo pozorne. Wiara pozostała w sercach i duszach ludzi. Mimo zamknięcia i zburzenia kościołów, rozstrzelania i uwięzienia wszystkich prawie księży, mordowania i represjonowania wiernych wiara przetrwała lata prześladowań i się odrodziła. Jak mogło to się stać? W jaki niewiarygodny prawie sposób katolicyzm zdołał wygrać bitwę z komunizmem za Bugiem?

Przez wiele lat temat ten był prawie nieznanym światowej opinii publicznej. Nawet w Polsce, związanej z katolikami za Bugiem licznymi więziami rodzinnymi-



Ksiądz Roman Dzwonkowski i herb zakonu
Pallotyńów FOT. IPN, WIKIPEDIA

mi, historycznymi i narodowościowymi, prawie nikt nic nie wiedział o gehennie rodaków w Związku Sowieckim. Dla oficjalnego establishmentu PRL rodacy za nową wschodnią granicą RP po prostu nie istnieli. Człowiekiem, który już w latach 70. jako pierwszy odważył się mówić głośno o tragedii Polaków na Wschodzie, był ks. Roman Dzwonkowski.

Jego pierwsze artykuły na ten temat pojawiły się na paryskich łamach „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”. W obawie przed prześladowaniem ze strony władz PRL pisał pod pseudonimami: Józef Mirski, Paweł Lida i Czesław Tynna. Pierwszy, dość obszerny tekst ukazał się w „Kulturze” w 1973 r. Później, w 1975 r., opublikowało go w skrócie w języku francuskim czasopismo pt. „Solidaires. Annales de la Propagation de la Foi”. Edition commune avec „Peuples du Monde”. Kilka tekstów z fotografiami ukazało się także w czasopiśmie „Chrétiens de l’Est”, wydawanym przez francuski oddział międzynarodowej organizacji katolickiej Aide à l’Église en détresse (Pomoc Kościołowi w Potrzebie).

Fenomen polskości

Po raz pierwszy ks. Roman Dzwonkowski odwiedził Związek Sowiecki

w 1970 r. Granicę na Bugu udało mu się przekroczyć dzięki prywatnemu zaproszeniu znajomej z Osmian. Podróżując, musiał ukrywać swój stan duchowny. Rejon (powiat) oszmiański to jeden z niewielu rejonów we współczesnej Białorusi, z przeważającą ludnością katolicką, w większości polską.

To, co zobaczył na Oszmianszczyźnie, zrobiło na nim niesamowite wrażenie. Mimo wieloletnich okrutnych prześladowań, zamknięcia większości kościołów i nękania księży wiara katolicka była żywa. Działyły potajemnie niedzielne szkółki uczące katechizmu, kółka różańcowe. Księża odprawiali msze w prywatnych domach i mieszkaniach, chrzcili dzieci, w ukryciu kształcili kandydatów na studia seminaryjne. Prześladowania ze strony władz nie zniszczyły Kościoła, wręcz go wzmocniły. Zszedł on częściowo do podziemia, ale stał się bardziej trwały, zahartowany w walce o obronę wiary.

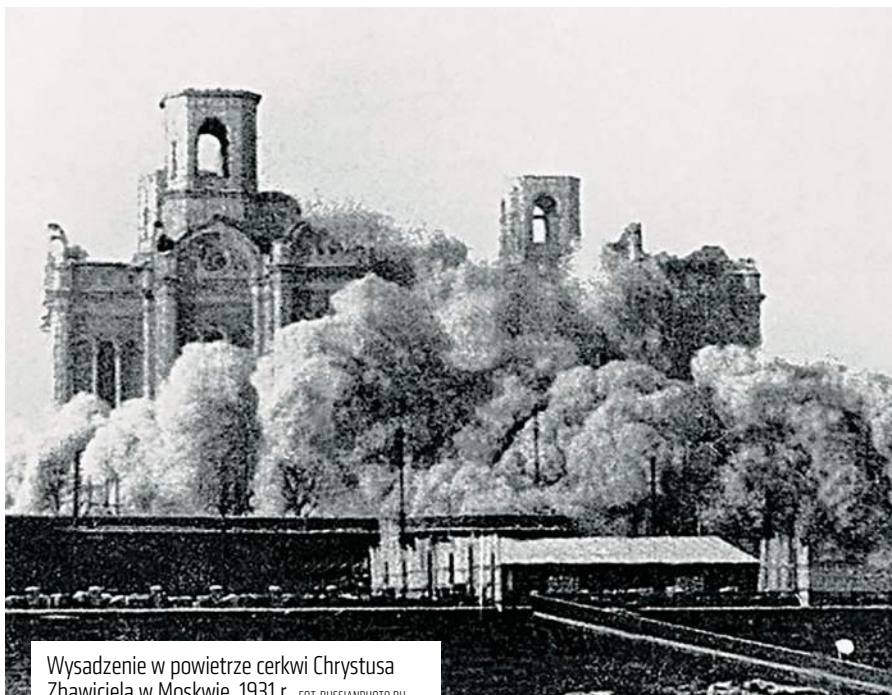
Od tej pory ks. Roman Dzwonkowski został stałym bywalcem na terenach dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, zabranych w różnych okresach przez wschodniego sąsiada. W odróżnieniu od pierwszej zapoznawczej wizyty w Kraju Rad były to już jednak podróże człowieka duchownego, zaangażowanego w niesienie różnorodnej pomocy katolikom Litwy, Białorusi, Ukrainy i innych regionów tego ogromnego kraju. Były to podróże służbowe zlecone przez Stolicę Apostolską. Jak wspominał po latach ks. prof. Roman Dzwonkowski: „Polecono mi przez mojego ordynariusza składać każdorazowo obszernie relacje z podróży. Następnie tego rodzaju relacje składałem. Pewnego razu powiedział mi, że moje relacje bez żadnych pośredników trafiają na biurko Ojca Świętego”.

Kościół katolicki w Związku Sowieckim w połowie lat 70. składał się umownie z dwóch części: jawny Kościół i ukryty (nielegalny). Z tym drugim Kościołem, jak wspominał Roman Dzwon-

kowski, „zetknąłem się na początku mojego pierwszego pobytu na Wschodzie w domach ukrytych sióstr. Odtąd uczestniczyłem w nim przez kilkanaście lat, do czasów pierestrojki. Byli »podpolni« księża pracujący tylko w konspiracji i księża pracujący jawnie, ale dorywczo także i w »podpoliu« – ukryte wspólnoty zakonne, żeńskie i męskie, ukryta katechizacja dzieci i młodzieży, ukryty Żywy Różaniec, ukryte bractwa tercjarne, szczególnie śledzone przez KGB jako groźne dla ustroju, nabożeństwa majowe i październikowe w domach prywatnych oraz inne formy ukrytego życia religijnego”.

Ksiądz prof. Roman Dzwonkowski został swoistym posłańcem polskiego Kościoła katolickiego za Bugiem. Prawie każdy z miejscowych katolików, który do niego się zwracał, otrzymywał pomoc. Odprawiał on msze święte razem z miejscowymi księżmi, zastępował ich w razie potrzeby, spowiadał, przywoził z Polski modlitewniki i literaturę religijną, okazywał potrzebującym pomoc materialną, uczył dzieci katechezy, wykonywał mnóstwo innych obowiązków kapłańskich. Roman Dzwonkowski wspominał: „W 1988 r. na Wszystkich Świętych byłem u ks. Antoniego Dzieńmianko, który jest obecnie biskupem diecezji pińskiej. W Dzień Zaduszny, późnym popołudniem, odprawialiśmy Mszę św. w parafii Nieciecz, w kościele, który został zamknięty w latach 50. i niedawno został odzyskany przez wiernych. Był pełen ludzi. Nie było elektrycznego światła, paliło się kilka świec, było prawie ciemno i panował niezwykle nastrój. Na ambonie, na którą wszedłem, by wygłosić homilię, było z pół centymetra kurzu. Po raz pierwszy od wielu lat, już wieczerem, odbyła się o procesja na cmentarz i modlitwy za zmarłych przy kwaterze grobów żołnierzy AK, poległych w bitwie z partyzantką sowiecką. Widać było wzruszenie ludzi biorących w niej udział. Niemal każde miasteczko na Wileńszczyźnie ma ciekawą i dramatyczną kartę w dawnych i najnowszych dziejach tych ziem”.

Ekumeniczne podróże ks. prof. Romana Dzwonkowskiego po Związku Sowieckim okazały się nie tak problematyczne, jak mogło się wydawać wielu przybyszom z Zachodu. Wręcz dziecinnie proste. Jego oficjalne



Wysadzenie w powietrze cerkwi Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, 1931 r. FOT. RUSSIANPHOTO.RU

■ zaproszenie od zaprzyjaźnionych katolików pozwalało na pobyt jedynie miesięczny i tylko w miejscowości, do której był zaproszony. Nikt jednak nie przestrzegał skrupulatnie tych ograniczeń. Dlatego ksiądz już w czasie drugiej wizyty zdecydował się złamać te przepisy.

„Najlepiej było lecieć samolotem – wspominał – ponieważ w ZSRS była wtedy doskonała komunikacja lotnicza. Zobaczyłem, że w wileńskim Aeroflocie do kas biletowych stoi zawsze kolejka kilkunastu osób, a kasjerki zadają tylko dwa pytania: »Waszaja familia?« (nazwisko) oraz »Kuda?« (dokąd), a po odpowiedzi i po zapłaceniu za bilet zgrabnie go nożyczkami wycinają. Ja, jako moją rodzinę, to znaczy nazwisko, podałem tylko imię, bo wydawało mi się, że ono będzie swojsko brzmiało. Kilka dni przedtem, w cerkwi św. Trójcy blisko Ostrej Bramy, na nagrobku prawosławnego biskupa zobaczyłem imię »Roman« i to była inspiracja dla tej odpowiedzi”.

Zwyczajnie na kresy ciągnie tych Polaków, którzy pochodzą z tych stron. Ksiądz prof. Roman Dzwonkowski pochodzi z Mazowsza. Jego zainteresowanie kresami tłumaczy się czymś innym. Był on zafascynowany romantyczną historią tych ziem, otwartością i gościnnością kresowiaków, ich specyficznym

przywiązaniem do wiary katolickiej. Katolicyzm i polskość za Bugiem to zjawiska niepodzielne. Wielowiekowa niezwykła odporność katolików na prześladowania najpierw ze strony caratu, a później ze strony bolszewików pozwoliła im przetrwać w warunkach gwałtownej ateizacji kraju.

Oto jak sam Roman Dzwonkowski opisywał swoje zetknięcie z fenomenem polskości kresowej: „Urodziłem się i wychowałem na Mazowszu między Ostrowią Mazowiecką a Ostrołęką, a więc na ziemiach jednej narodowości, jednego języka, jednej wiary i jednej kultury. Tymczasem na Wileńszczyźnie zobaczyłem coś przeciwnego. Spotykałem Polaków, Litwinów, polskich Tatałów, Białorusinów i Rosjan mówiących na co dzień trzema językami, w zależności od rozmówcy: polskim, rosyjskim i »prostym«, to znaczy miejscową gwarą białoruską. Mówili nią ludzie na wsi, ale nie tylko, bo wszyscy go znali i był bardzo wygodny”.

Pietrowa tożsamość

Wiele specyficznych kwestii wiary katolickiej na Wschodzie było dla niego

zupełną nowością. Dotyczy to przede wszystkim sprawy przynależności narodowej. Czy można być Polakiem katolikiem i nie mówić po polsku? Czy może katolik czuć się jednocześnie Polakiem i Białorusinem? Po latach Roman Dzwonkowski tak opowiadał o swych doświadczeniach w tych kwestiach:

„Doszedłem do wniosku, że tam nie należy stawiać pytania: Czy jest pan/pani Polakiem/Polką, ponieważ niekiedy może być ono krępujące. Są tam bowiem ludzie o dwukierunkowej tożsamości narodowej, jak to się naukowo mówi, rodzinnie i uczuciowo powiązani z dwoma narodowościami i kulturami, np. polską i białoruską, i z nimi się utożsamiają. Pierwsza Księga »Pana Tadeusza«, który jest naszym narodowym poematem, rozpoczyna się od słów – »Litwo, ojczyzno moja«. To pokazuje, że Adam Mickiewicz czuł się Litwinem. Ale jednocześnie, na wyższym poziomie, czuł się Polakiem. W jego czasach pojęcie narodowości na Kresach Wschodnich było inne niż obecnie i miało piętrowy charakter. Dziś w Polsce rzadko kto o tym wie, że tam byli i są Polacy różnych kultur. Bywa i inna kwestia. Ksiądz Józef Borodziula (1893–1983), z dawnej archidiecezji mohylewskiej, u którego zatrzymywałem się, bywając w Rydze, powiedział mi: Ja się czuję Białorusinem polskiej kultury. Innym razem, było to nad jeziorem w Trokach koło Wilna, od mojego przygodnego rozmówcy usłyszałem zdanie: Ja jestem Litwinem polskiej kultury. To było dla mnie czymś zupełnie nowym i dawało do myślenia. Uświadomiłem sobie, że to znak wielkiej siły, jaką jest pochodzenie narodowe. Można od swojego narodu odejść i nie znać jego języka, ale w pewnym momencie świadomość korzeni w nim wraca i budzi się poczucie przynależności do niego. Kiedyś młoda Polka powiedziała mi w Grodnie: Ja nie mówię po polsku, ale moje serce jest polskie”.

Na Białorusi trasy jego podróży pokrywają prawie cały kraj. Najpierw potajemnie z ukrytym entuzjazmem, a w dobie tzw. pieriestrojki otwarcie i radośnie witali go katolicy Mińska, Grodna, Lidy, Oszmian, Baranowicz, Głębokiego, Bieniakoń, Postaw, Ostrowca, Nowej Myszy i wielu, wielu innych miast oraz miasteczek, gdzie katolicyzm odrodził się jak Feniks.

Na Ukrainie ks. prof. Roman Dzwonkowski odwiedzał głównie rejony w diecezjach kamieniecko-podolskiej i żytomiersko-kijowskiej, gdzie skoncentrowane są główne skupiska ludności polskiej stanowiącej obecnie główną siłę Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego na Ukrainie. To są tereny, gdzie przed drugą wojną światową istniał powołany przez bolszewików polski autonomiczny rejon narodowościowy im. Juliana Marchlewskiego, tzw. Marchlewsczyzna sowiecka. Nie wszyscy wiedzą, że na przedwojennych terenach obecnej archidiecezji lwowskiej i łuckiej, włączonych po wojnie do ZSRS, takich skupisk już nie ma ani nie będzie.

O jednej z takich podróży pisał: „W 1977 r. po raz pierwszy nielegalnie znalazłem się w Gródku Podolskim, który, z racji przewagi w nim ludności polskiej, nazywano kiedyś »małą Warszawą«. To Winnickaja obłast”, czyli winnickie województwo, a obecnie diecezja kamieniecko-podolska. Dwa tamtejsze kościoły zostały wysadzone w powietrze w 1935 r. Została tylko niewielka kaplica na cmentarzu, którą po wojnie wierni obronili, pilnując jej dzień i noc. Była uroczystość Wniebowzięcia NMP i wokół niej, pod wysokimi drzewami, modliło się około tysiąca osób. Tworzyły one jakby wielką świątynię”.

Ksiądz profesor

Ksiądz prof. Roman Dzwonkowski był pierwszym poważnym badaczem i obecnie największym w Polsce i na świecie znawcą historii Kościoła katolickiego na terytorium byłego Związku Sowieckiego. Spod jego pióra wyszły dziesiątki prac, poświęcone trudnym losom katolików w Związku Sowieckim. Przytoczmy jedynie kilka z nich: „Polacy na dawnych Kresach Wschodnich. Z problematyki narodowościowej i religijnej” (Lublin 1994); „Kościół katolicki w ZSSR 1917–1939. Zarys historii” (Lublin 1997); „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917–1939. Martyrologium” (Lublin 1998); „Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939–1988” (Lublin 2003); „Religia i Kościół katolicki w ZSRS oraz w kra-

jach i na ziemiach okupowanych 1917–1991. Kronika” (Lublin 2010); „Polacy w Kościele katolickim na Wschodzie 1939–2011” (Toruń 2011).

Był wielkim przyjacielem Białorusinów, Ukraińców, Litwinów, ale także Rosjan-katolików, dlatego w swych podróżach odwiedzał również liczne miasta rosyjskie. Z szacunkiem traktował zwolenników teorii „katolizacji Rosji” opisaną w połowie XIX w. przez wybitnego filozofa rosyjskiego Władimira Sołowjowa. Uważał on, że zbawienie Rosji może nastąpić jedynie na drodze przyjęcia przez państwo i naród katolicyzmu. Według Sołowjowa wielkie zjednoczenie chrześcijan wyznania wschodniego i zachodniego powinno rozpocząć nową erę w historii ludzkości, erę powszechnej miłości bliźniego i dobrobytu. Watykan (papież Pius XI) ze zrozumieniem odnosił się do Sołowjowa, który pod koniec życia przeszedł na katolicyzm.

W Rzymie w 1929 r. nawet zostało stworzone Collegium Russicum, specjalny departament zajmujący się problematyką realizacji teorii Sołowjowa. Niektórzy wychowankowie Collegium Russicum (Walter Cisek, Wiktor Nowikow, Teodor Romża, Piotr Leoni i inni) nawet próbowali nielegalnie przedostać się do Związku Sowieckiego i tam pracować w celu przeciwstawienia się ateistycznej polityce

państwa sowieckiego. Z bolszewikami jednak Watykanowi wygrać się nie udało. Ich bezwzględna, okrutna polityka ateistyczna nie zostawiała żadnej możliwości jakiegokolwiek kompromisu. Wszyscy emisariusze Watykanu zostali schwytani przez NKWD, niektórzy stracili życie w sowieckich więzieniach, inni spędzili wiele lat w GUŁagu.

Ksiądz prof. Roman Dzwonkowski był członkiem Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Od 1989 r. – członkiem Komitetu Badań Polonii PAN, a także PAU. Od 1992 r. należał do Rady Krajowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Był również członkiem Rady Fundacji „Rodacy – 37”. W 2000 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, a w 2010 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. 30 grudnia prezydent Andrzej Duda odznaczył ks. prof. Romana Dzwonkowskiego Krzyżem Komandorskim z gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, ale była to już nagroda pośmiertna.

30 grudnia 2020 r. ten niezwykły człowiek, twórca bardzo ważnej gałęzi współczesnej wiedzy naukowej, odszedł. Wszystkie zaszczyty, którymi został uhonorowany za życia, jedynie w małym stopniu odzwierciedlają tę unikatową rolę, jaką odegrał w katolickim odrodzeniu na Wschodzie. Jego dokonania naukowe i społeczne stanowią niezwykły, ofiarny czyn, który będzie mu pomnikiem duchowym i wiecznym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1882–1937

/ Prywatne życie wielkiego kompozytora

Miłości Karola Szymanowskiego

FOT. MAC



Sławomir Koper

/ Uchodził za stuprocentowego homoseksualistę, ale w młodości romansował z kobietami

Jako młodzieniec miał romanse z przedstawicielkami płci odmiennej, a nawet uchodził za groźnego uwodziciela. Pokłócił się też z Arturem Rubinsteinem, gdy obaj starali się w Wiedniu o względy 14-letniej (!) Dagmar Godowskiej i nie mógł wybaczyć pianiście, gdy ten ją uwiódł. Jednak wyjazdy w latach 1910–1914 do Włoch, a szczególnie pobyt na Sycylii, spowodowały, że ostatecznie określił swoją seksualność.

Artur Rubinstein (panowie zdążyli się pogodzić) zauważył zmianę w postawie przyjaciela. Kiedy spotkali się w Paryżu, Szymanowski nie ukrywał fascynacji urodą męskiego ciała:

„Karol zachwycał się Sycylią, zwłaszcza Taorminą.

– Widziałem tam – mówił – kilku kąpiących się młodych chłopców, którzy mogliby pozować do postaci Antinousa. Nie mogłem oderwać od nich oczu.

Był teraz zdecydowanym homoseksualistą”.

„Ephebos” i Borys

W twórczości instrumentalno-wokalne kompozytora trudno jednak znaleźć echa upodobań homoseksualnych. Jedyne w operze „Król Roger” pobrzmiewają ślady tego rodzaju fascynacji. Ale jak mogło być inaczej, jeżeli autorem libretta był Jarosław Iwaszkiewicz?

W zamęcie rewolucji bolszewickiej, w 1919 r. kompozytor poznał w Kijowie 15-letniego Borysa Kochnę. Chłopiec marzył o „Baletach rosyjskich” Diaghilewa, chciał zostać tancerzem i choreografem. Pisał również wiersze, a jego osobowość i uroda wywarły ogromny wpływ na kompozytora.

Szymanowski zapoznał go z muzyką baletową Strawińskiego, prezentując jej

aranżacje fortepianowe na cztery ręce. Zakochał się w młodzieńcu, odnosząc wrażenie, że uczucie to jest odwzajemniane.

„Ale, Arturze, nie uwierzysz – zwierzał się Rubinsteinowi – w Kijowie [...] spotkało mnie największe szczęście – żyłem w niebie. Poznałem młodego człowieka niezwyklej urody, poetę o głosie brzmiącym jak muzyka i on, Arturze, kochał mnie. Tylko naszej miłości zawdzięczam, że mogłem napisać tyle muzyki”.

Uczucie potwierdzał także Iwaszkiewicz, który wspominał, że widział w pokoju kompozytora „olbrzymią fotografię Borysa z chryzantemą w butonierce”.

Różnica wieku pomiędzy kochankami wynosiła 22 lata, co wówczas nie było niczym wyjątkowym. Ówczesni homoseksualiści realizowali w dużej mierze model znany z antycznej Grecji, gdzie ideałem był związek młodzieńca z dojrzałym partnerem. Nie istniały jeszcze współczesne wzory wspólnego mieszkania i życia dwóch mężczyzn, nie było nawet języka, którym można byłoby o takich związkach opowiadać. Słowo „homoseksualizm” było wówczas terminem medycznym, o pejoratywnym znaczeniu,

stać często posługiwano się ogólnikami, eufemizmami czy sugestiami.

W tym czasie Karol napisał dwutomową powieść „Ephebos”, o zdecydowanie homoseksualnym przesłaniu. Była to „próba wyrzucenia z siebie czarnej otchłani nieskończonego szeregu dni, tygodni, miesięcy spędzonych wśród najstraszliwszych okoliczności zewnętrznych; wywołanie z pamięci magicznej wizji Italii – ojczyzny wszystkich marzycieli”. Chciał, aby „światło prawdy przenikało tam, gdzie dotychczas panowały tylko mroczne cienie”. Nie ukrywał, że w powieści wyraził „być może wszystko, co mam do powiedzenia w tej materii, która jest dla mnie bardzo ważna i bardzo piękna”.

„Ephebos” nigdy nie został opublikowany, a jego rękopis spłonął we wrześniu 1939 r. W dokumentach Borysa Kochny zachowało się jednak rosyjskie tłumaczenie centralnego rozdziału zatytułowanego „Sympozjon” (przekładu dokonał osobiście Szymanowski). Rozdział ma charakter dyskusji między zwolennikami miłości heteroseksualnej a rzecznikami homoseksualizmu. Jeden z uczestników spotkania zauważył, porównując ciało kobiety i młodzieńca – pierwszeństwo należy do mężczyzny, albowiem „łono kobiety zaburza linie brzucha i piersi, a biodra są zbyt szerokie”. Koronnym argumentem stała się lista wielkich homoseksualistów w dziejach i rola, jaką odegrali. W gronie władców pominięty został jednak Henryk Walezy – Szymanowski nie był zwolennikiem pederastii w zniewieściałym wydaniu.

Fragment „Ephebosa” został udostępniony Polskiemu Radiu dwa lata po śmierci kompozytora. I chociaż wybrany przez Iwaszkiewicza wyjątek był bardzo dyskretny, to audycja spotkała się z ostrą opinią rodziny kompozytora.

Diagilew rywalem

Szymanowski i Kochno rozstali się w 1919 r., a rodzina kompozytora opuściła Ukrainę i udała się do Polski. Karol nie zapomniał jednak o swoim młodocianym partnerze i miał nadzieję na kontynuację związku. Rok później Kochno wraz z matką przedostał się do Paryża, gdzie

spełniło się jego marzenie – poznał Sergiusza Diagilewa.

Kochankami słynnego impresaria byli najwybitniejsi tancerze jego zespołu, tacy jak Niżyński czy Massine. Ze swoimi upodobaniami obnosił się ostentacyjnie, twierdził, że ma niepokromiony apetyt seksualny, zwierzał się, że „musi się kochać co najmniej trzy razy dziennie”, gdyż jest to dla niego „absolutnie konieczne”. W specyficzny sposób określił obowiązki Borysa, stwierdzając, że „sekretarz musi wiedzieć, jak sprawić, by był niezbędny”. Inna sprawa, że od tej chwili dla Kochno liczył się tylko twórca „Baletów rosyjskich”.



„Diagilew zaprosił Karola i mnie – wspominał Rubinstein – na obiad do Continentalu. Przybyliśmy punktualnie; poprosiliśmy recepcjonistę, żeby zatelefonował do pokoju Diagilewa i zawiadomił go, że jesteśmy, po czym usiedliśmy w hallu, czekając. W kilka minut później ujrzelśmy, że wielki człowiek pojawił się na schodach drugiego piętra i zaczął schodzić do nas powoli w towarzystwie młodego mężczyzny. Szymanowski, który dotychczas czekał obojętnie, nagle zmienił się i wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać ataku serca. Przestraszyłem się. W ułamku sekundy jego twarz znów jednak przybrała normalny wyraz, choć oczy miały tragiczne. Diagilew powołał nas łaskawie i przedstawił młodzieńca jako swojego nowego współpracownika. Karol mruknął coś i poszliśmy na obiad”.

Diagilewowi towarzyszył Kochno, a trudną sytuację ocaliło pojawienie się Strawińskiego. Wciągnął Diagilewa w swoje kompozytorskie plany, a że był jednym z głównych twórców muzyki dla „Baletów rosyjskich”, impresario zajął się jego osobą. Szymanowskiemu udało się jeszcze kilka razy spotkać z Kochną, ale był to już koniec ich znajomości.

Diagilew miał po Kochnie jeszcze wielu kochanków, ale Borys pozostał jego przyjacielem i współpracownikiem. Wkład Kochny w „Balety rosyjskie” był znaczący; szczególnie jako autora librett do kilku przedstawień, które odniosły wielki sukces. Diagilew zaczął uważać sekretarza za kontynuatora swojego dzieła, a kiedy po jego śmierci zespół się rozpadł, Borys zarządzał Ballets de Monte-Carlo, Les Ballets oraz Ballets des Champs-Élysées. Pozostawił po sobie również książkę o „Baletach rosyjskich” i partycypował w przygotowaniu kilku wystaw związanych z działalnością Diagilewa, na które zawsze udostępniał eksponaty ze swojej własnej kolekcji. Zmarł w 1990 r.

Miłości miałem dużo...

Szymanowski przez całe swoje życie nie narzekał na brak zainteresowania ze strony przedstawicieli obojga płci. Zachowane fotografie przedstawiają mężczyznę o dyskusyjnej urodzie – może po prostu nie był fotogeniczny. Zresztą każda epoka posiada swój ideał urody, a uczesanie, ubiór czy zarost potrafią wiele zmienić. Uroda fizyczna nie determinuje atrakcyjności, liczy się również inteligencja i osobowość. Relacje współczesnych zgodnie podkreślają elegancję kompozytora, a przede wszystkim jego urok osobisty:

„Wszyscy wiedzą – wspominała Anna Iwaszkiewicz – bo mówi o tym każdy, kto znał Karola Szymanowskiego, że był to człowiek o niezwykłym wprost uroku osobistym, ale cóż znaczą te słowa dla tego, kto wymawiając je, nie ma jednocześnie w pamięci lekko przyciszonego głosu, subtelnego uśmiechu misternie zarysowanych ust, intensywnego spojrzenia wąskich, bardzo długich, szafirowych oczu patrzących spod trochę zbyt ciężkich brwi, oczu, które miały skłonność

do zapatrzenia się w przestrzeń i o których nie zawahałabym się powiedzieć, że tak właśnie wyobrażał sobie można oczu genialnego artysty. Rozmowa z Karolem była zawsze tak zajmująca, nie tylko dlatego, że posiadał zupełnie nieprzeciętną inteligencję i kulturę, ale i dlatego, że jego zainteresowania były niezwykle wszechstronne.

Podobną opinię wyrażała Irena Krzywicka, uważając, że był „przystojny, o nieopisanym wdzięku”. Roztaczał nie tylko „rzadki czar osobisty, ale był mądry, interesujący w rozmowie. Nigdy żadnego banału, wielkie poczucie humoru i taka jakaś serdeczność w stosunku do ludzi”. Kompozytor przejawiał „wielkie wyrafinowanie i wielką inteligencję”, a to w połączeniu z talentem dawało nieprawdopodobną mieszankę.

Sam zainteresowany stwierdził kiedyś w rozmowie z Jarosławem Iwaszkiewiczem, że „jedno, co jest coś warte w życiu, to miłość... a tego miałem, dzięki Bogu, dużo!”.

Szymanowski był człowiekiem niezwykle dyskretnym i dlatego teraz, po latach trudno odtworzyć dzieje jego życia erotycznego i uczuciowego. Wiadomo jednak, że Kochno nie był jego jedynym kochankiem. W liście do Zofii Kochańskiej w 1931 r. wspominał, że jego aktualna „żona” jest „wschodzącą gwiazdką filmową”, która teraz „musiała pojechać na parę miesięcy na zdjęcia”.

Tą „gwiazdką filmową” był Witold Conti (Witold Konrad Kozikowski). W 1930 r. zadebiutował w „Janku Muzykancie” Ryszarda Ordyńskiego, co przyniosło mu znaczną popularność. W drugiej połowie lat 30. zdobył uznanie publiczności, był uważany za jednego z najprzystojniejszych amantów filmowych. W 1938 r. ożenił się z Zofią Haliną Marguliesówną, córką dyrektora generalnego zakładów amunicyjnych Pocisk. We wrześniu 1939 r. wraz z żoną i synkiem Conti wyjechał do Wilna, potem przedostał się do Francji. Zginął w 1944 r. podczas bombardowania Nicei w wieku 36 lat.

Prawdopodobnie to o nim pisała w swoim „Dzienniku” Anna Iwaszkiewicz: „[...] z początku byłam trochę zirytowana, bo przywiózł ze sobą zrytego obecnego chłopaka, jak mi mówił beczelnie [...] – swoją żonę, oczywiście bez pytania się mnie, prawdopodobnie dlatego, że czuł, że bym się na to nie



Serge Lifar i Karol Szymanowski, Warszawa 1935 r. FOT. NAC

zgodziła. Chłopak jest ładny, ale głupi, a co jeszcze, wygląda, jakby nie zdawał sobie wcale sprawy, kim jest właściwie Karol i jaki zaszczyt go spotyka (jeśli już w ogóle jego rola może być zaszczytna), że Karol tak się nim zajął”.

Znane są nazwiska kilku mężczyzn, którzy byli partnerami Szymanowskiego. W wynajmowanym przez niego pokoju w hotelu Bristol czy w zakopiańskiej Atmie regularnie zamieszkiwali jego kochankowie, z reguły pochodzący z inteligencji czy sfer artystycznych. Do jednego ze swoich partnerów pisał Szymanowski tuż po poznaniu się (w 1934 r.): „To, co w naszej tak króciutkiej znajomości nawiązało się pomiędzy nami, jest dla mnie pełne najistotniejszej wartości. Nie chciałbym za nic, żeby się przerwało – pragnąłbym, by Pan o tym wiedział”.

„Nałka”

Nieco humorystycznym akcentem życia intymnego Szymanowskiego były natomiast jego kontakty z Zofią Nałkowską. Słynna pisarka uważana była przez niektórych za erotomanę, a jej kolejną ofiarą miał być Szymanowski. Jak wspomina Stefan Kisielewski, Nałkowska długo nie mogła zrozumieć, dlaczego kompozytor pozostawał obojętny na jej zabiegi. Jednak plotki o planowanym małżeństwie już się rozeszły i Karol uspokajał Zofię Kochańską:

„Uśmiełem się z plotki o p. N[ałkow-skiej]. Oczywiście nic podobnego. Mądra, utalentowana i miła osoba, z którą miłą wielką przyjaźń – oto wszystko. Te plotki kursują i tu. Z rozmysłu nie bardzo im przeciwdziałam. Rozumiesz, Zosieńko? Tymczasem bowiem naprawdę się »ożeniłem«, we właściwej mnie sferze,

ale jak wiesz, teraz małżeństwa nietrwałe, może do Waszego przyjazdu już będzie rozwód! Ale dość o tych głupstwach. O sobie nie będę Ci dużo pisał!”.

Zofia Nałkowska wytrwale starała się o względy Karola. Wzbudziła tym zazdrość siostrzenicy Szymanowskiego, zamieszkującej z nim w zakopiańskiej Atmie: „[...] zjawiała się przez parę sezonów w Zakopanem i często spotykała się z Wujciem [Szymanowskim – przyp. S.K.], który mówił »to wielka pisarka«. I szedł z nią do Trzaski albo do Morskiego Oka. Nie lubiłam pani Nałkowskiej. Była strasznie wspaniała, dostojna, duża. Kupowała mi cukierki miętowe, których nie cierpiałam, i nie życzyła sobie, abym im towarzyszyła do Morskiego Oka ani na Harendę, gdzie królowała ciepła i serdeczna pani Marusia Kasprowiczowa. O pani Marusi myślałam zawsze, że jest trochę jakby z bajki, podczas gdy pani Nałkowska była bardzo realna”.

Irena Krzywicka obserwowała znajomość Nałkowskiej z Szymanowskim i miała na ten temat własne zdanie:

„Zadawano sobie w naszych kołach pytanie: czy jawna miłość Nałki (tak ją nazywali przyjaciele) jest wzajemna, no i czy po prostu śpią ze sobą. Niestety, z tego, co wiem o Karolu, jego niewątpliwie pociąg do Zofii zatrzymywał się w pewnym punkcie, bo Szymanowski był naprawdę wrażliwy tylko na uroki chłopców. Musiała to być ciężka sprawa dla Nałkowskiej: obcować blisko z tak uroczym mężczyzną i – nic? Choć znów niektórzy przysięgali, że zrobił dla niej wyjątek. Kto to może wiedzieć. W każdym razie jest faktem, że tych dwoje niezwykle ludzi przeżyło razem piękne chwile, jeżeli nie miłość, to przyjaźni zabarwionej miłością”.

Szymanowski do końca życia pozostał jednak zadeklarowanym pederastą i nawet Zofia Nałkowska nie potrafiła tego zmienić. Podobnie jak zresztą Irenie Krzywickiej nie udało się uwieść i „nawrócić” na heteroseksualizm Iwaszkiewicz...
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: A. Rubinstein, „Moje młode lata, moje długie życie”; J. Iwaszkiewicz, „Dzienniki”; J. Iwaszkiewicz, „Książka moich wspomnień”; K. Tomasik, „Wielcy i niezapomniani: Karol Szymanowski. Życie miłosne i erotyczne kompozytora”, http://www.innastrona.pl/kult_ludzie_szymanow-ski2.phtml; K. Dąbrowska, „Karol z Atmy”; I. Krzywicka, „Wyznania gorszyścielki”.

Aż do XIX w. / Straszliwy rozbój na wybrzeżach Europy i Ameryki



Rabusie rozbitych statków.
Grafika angielska z XIX w.

FOT. GETTY IMAGES

Wreckers, czyli śmierć na plaży



Piotr Semka

**Cale gangi
naprowadzały statki
fałszywymi światłami
na skały, by rabować
i zabijać**

Angielskie określenie „wreckers” nie ma dobrego odpowiednika w języku polskim. Słowniki podają zwykle tłumaczenie: „rabusie nadmorscy”. Niekiedy używane jest określenie „rozbijacze”. Brak adekwatnego słowa może wynikać z naszej dość ubogiej tradycji morskiej. Przykładowo Niemcy znają słowo „die Strandräuber” – „zbójcy z plaży”. W kul-

turze anglosaskiej gangi naprowadzające fałszywymi światłami statki na skały, by ukraść ich towary, to ważni bohaterowie morskich legend i opowieści.

„Do wszystkich diabłów, Mary, zabijałem ludzi tymi oto rękami, wdeptywałem ich w wodę, tłukłem ich kamieniami i nic to dla mnie nie było – spałem potem jak dziecko” – tak zaczyna swoją pijacką spowiedź Joss Merlyn, rozbijacz z Kornwalii w powieści „Jamaica Inn” (polskie wydanie 1976, „Oberża na pustkowiu”) pióra Daphne du Maurier.

Była raz kobieta, słuchaj, Mary, czepiała się tratwy. Miała dziecko na rękę, rozpuszczone mokre włosy kleiły się jej do pleców. Statek był blisko na skałach, rozumiesz, a morze gładkie jak lustro, wszyscy byli żywi, cała gromada, ilu ich było. Woda miejscami nie sięgała wyżej niż do pasa. Wołała do mnie o ratunek, a ja kamieniem rozwalę jej twarz [...]. Patrzyłem, jak tonę w wodzie wysokiej na cztery stopy. Mieliśmy wtedy pietra, że ktoś z nich wydostanie się na brzeg. [...] Tonęli na naszych

oczach jak ta kobieta z dzieckiem, chociaż woda nie sięgała im nawet do ramion. Tonęli, bośmy ich walili kamieniami, tonęli, bo nie mogli ustać na nogach...

Wyrzuty sumienia dręczące powiesciową postać Jeffa Merlyna dobrze oddają legendy o bestialstwie tej specjalnej odmiany rabusiów. Cieszyli się wyjątkowo złą sławą, nawet na tle innych rodzajów gangów. Urzędnicy królewscy w Wielkiej Brytanii rozprawiali się z nimi bez długich procedur. Wyrok był jeden – stryczek.

Ich proceder szokował wyjątkowo. Dla ludzi morza – którzy i tak dużo ryzykowali w związku z morskim żywiołem – ludzie-hieny sprowadzający statki na skały byli zwyrodnialcami. Dla władców wrecking stanowił zagrożenie dla żeglugi przynoszącej ogromne zyski państwu. Tylko okoliczni chłopcy nie patrzyli na rabunek zbyt krzywo. Zrabowane towary, takie jak beczki brandy czy bele sukna, wieśniacy kupowali potem za pół ceny ■

■ od paserów, udając, że nie wiedzą, skąd takie „okazje” pochodzą.

Skąły w służbie zła

To właśnie do pełnych skalistych wybrzeży Kornwalii oraz Devonu najsilniej przylgnęła na Wyspach Brytyjskich zła sława krainy rabusiów wybrzeża. Jak to często bywa, do bezwzględności pchała ludzi nędza. Kornwalia – pełna jałowych, kamienistych pól i torfowisk – była jednym z najuboższych zakątków Anglii. Statki rozbijały się tu od wieków wskutek złej pogody i błędów nawigacyjnych.

Kroniki odnotowują, że 29 listopada 1382 r. u wybrzeży kornwalijskich, w zatoce Mount's Bay rozbił się statek zapisany na kartach kornwalijskich kronik pod nazwą „Saint Marie de Marceau”. Portugalski kapitan został po-

na szubienicy na wzgórzu Saint Stephen Down powieszono w Launceston znanego rabusia wybrzeża, 80-letniego Williama Pearse'a.

Statki pławiono nie tylko na południu. Złą sławę wyspy wreckersów miała Pentland Firth na północy Szkocji.

Innym miejscem, gdzie dochodziło do częstych katastrof morskich i szabur wraków, były plaże Goodwin Sands w południowo-wschodniej Anglii.

Niekiedy ci sami ludzie, którzy żyli z dostarczania statkom zapasów wody i żywności, w razie katastrof zamieniali się w szabrowników rabujących zniszczone statki. Ostatnim miejscem w Wielkiej Brytanii, gdzie jeszcze na początku XX w. odnotowano rabunek wraków, była cieśnina Wirral

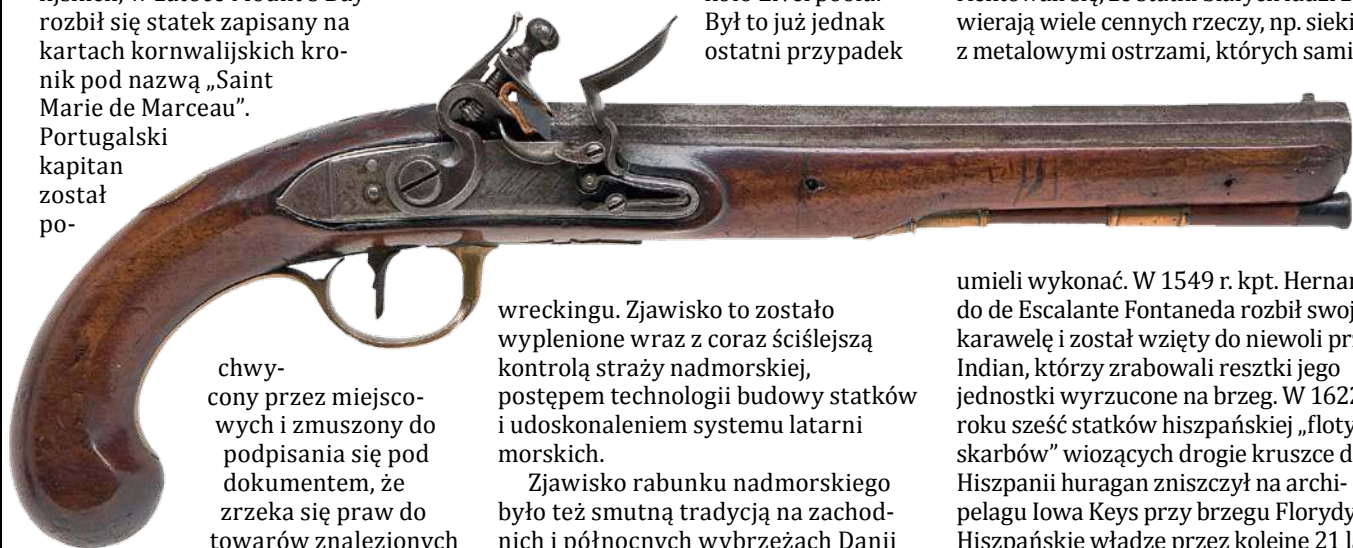
koło Liverpoolu. Był to już jednak ostatni przypadek

– kruszce, kamienie szlachetne, korzenie, rum z Karaibów i trzcinę cukrową.

Szalejące na Morzu Karaibskim huragany pochłaniały setki statków rocznie i dawały szansę na cenne łupy bandytom z wybrzeży.

Najcenniejszym łupem były karawele hiszpańskie pełne srebra i złota wypływające z Hawany na Kubie. Ich najstraszniejszym wrogiem były nagłe zmiany pogody wywołane wpływem Golsztromu. Powodowały one roztrzaskiwanie się statków o podwodne rafy koralowe u wybrzeży Florydy. Równie łatwo jednostki pływające ginęły w okolicy Bermudów.

W roli rabusiów grabiących ładunki, załogi i pasażerów początkowo występowali tutaj miejscowi Indianie. Szybko zorientowali się, że statki białych ludzi zawierają wiele cennych rzeczy, np. siekiery z metalowymi ostrzami, których sami nie



chwycony przez miejscowych i zmuszony do podpisania się pod dokumentem, że zrzeka się praw do towarów znalezionych na pokładzie wraku.

Często rękę na dobrach z rozbitych statków kładli jednak miejscowi rycerze, szczególnie gdy statek nie płynął do angielskich portów, tylko zmierzał ku Francji lub Holandii. Wszystko zależało od tego, kto był szybszy. W 1696 r. rozbity na kornwalijskich skałach holenderski statek został błyskawicznie rozebrany na drewno przez miejscową ludność.

W 1735 r. wydano pierwsze prawo przeciw rozpalamiu fałszywych światel mogących sprowadzić statki na skały, ale było ono słabo egzekwowane. Potem determinacja władz wzrosła. W 1753 r. parlament w Londynie uchwalił Wreck Act, który nakazywał konstablom królewskim zdecydowaną walkę z procederem rabowania rozbitych statków. 12 października 1769 r.

wreckingu. Zjawisko to zostało wypienione wraz z coraz ściślejszą kontrolą straży nadmorskiej, postępem technologii budowy statków i udoskonaleniem systemu latarni morskich.

Zjawisko rabunku nadmorskiego było też smutną tradycją na zachodnich i północnych wybrzeżach Danii – kolejnego wybrzeża, na które morze chętnie wyrzucało statki. Mimo starań straży królewskiej rabusie wykorzystywali spory ruch morski między Morzem Północnym a Bałtykiem i zagarniali haracz w postaci ładunków tonących statków. Chociaż przyznać wypada, że Duńczycy byli też pionierami nowoczesnego systemu sygnalizacji lądowej pomagającej w nawigacji.

Nowy świat, nowe możliwości

Odkrycie obu Ameryk spowodowało stały morski ruch wahałowy statków wiozących ze Starego Kontynentu towary przemysłowe, a w drugą stronę

umieli wykonać. W 1549 r. kpt. Hernando de Escalante Fontaneda rozbił swoją karawelę i został wzięty do niewoli przez Indian, którzy zrabowali resztki jego jednostki wyrzucone na brzeg. W 1622 r. roku sześć statków hiszpańskiej „floty skarbów” wiozących drogą kruszce do Hiszpanii huragan zniszczył na archipelagu Iowa Keys przy brzegu Florydy. Hiszpańskie władze przez kolejne 21 lat próbowały wydobyć skarby przy pomocy nurków, ale bez efektu.

Złą sławę rabusiów czyhających na załogi rozbijających się statków zyskali potem biali koloniści na wyspach Bahama – innym wybrzeżu, na które huragany gnały hiszpańskie galery ze złotem.

Rafy koralowe były najgorsze. Rejestracja katastrof zaczęła się stosunkowo późno, bo w 1845 r., gdy Floryda została osobnym stanem. Według tych obliczeń między 1848 a 1859 r. ponad 618 statków rozbiło się o rafę koralową u wybrzeży Florydy. Straty były tak duże, że skłoniły kupców w drugiej połowie XIX w. do współfinansowania linii kolejowej na Florydzie.

Każda katastrofa statków przyciągała rabusiów, a każdy uratowany traktowany był jako niepotrzebny świadek, chyba

że można było go wymienić za słony okup. Od końca XIX w. kontrola policji zarówno na Florydzie, jak i na Bahamach staje się tak skuteczna, że rozbijacze zostają wypchnięci z wybrzeży.

Doskonalono też system latarni morskich. Im sygnały z państwowych latarni były silniejsze, tym trudniej było rabusiom udawać ich światło.

Innym rejonem cieszącym się złą sławą były skaliste wyspy północnej kanadyjskiej Nowej Funlandii. Mieszkańcy takich wysp jak Hatteras, Ocracoke i Portsmouth czyhali na statki, które sztormy niszczyły w Zatoce św. Wawrzyńca. W Nowej Szkocji sława gniazda wreckersów otaczała wyspę Sable. Aby wykorzystać ten proceder, w 1801 r. na wyspie Sable stworzono jedną z pierwszych baz ratownictwa morskiego.

Palką i siekierką

Świat wybrzeżowych rabusiów mocno inspirował literatów z wyobraźnią. Opowiadano o nich w karczmach i tawernach portowych. Ich istnienie nadawało ludziom parającym się fachem marynarskim rangę herosów, którzy zawsze szczęśliwie wychodzili cało. „The Wreckers” to tytuł opery Ethel Mary Smyth, której akcja dzieje się – jakżeby inaczej – u wybrzeża Kornwalii. O rabusiach wybrzeżowych pisał też Juliusz Verne w powieści „Latarnia na końcu świata”, w której opisuje boje z piratami.

Pisarz Compton Mackenzie w jednej z powieści – „Whisky Galore” – opisuje nielegalny handel whisky z rozbitych statków, którym parają się mieszkańcy szkockiej wyspy na północy kraju. W tyle nie zostawiali też filmowcy. Powieść „Jamaica Inn” doczekała się ekranizacji w latach 1939, 1983 i 2014. W 1942 r. film „Zdradzieckie skały” opowiadał o wreckersach z wybrzeży XIX-wiecznej Florydy. Gra komputerowa „HMS Dolores” opowiada o dwóch gangach wreckersów rywalizujących o skarby rozbitego statku.

Dzisiaj wrecking ma już minimalne znaczenie, choć wyrzucenie statku na wybrzeże upadłych państw Afryki może zakończyć się rabunkiem. Katastrof morskich jest jednak o wiele mniej. Bardziej groźne jest piractwo, które odrodziło się np. u wybrzeży Somalii. Ślady tego procederu zawarte w źródłach histo-

rycznych nie przestają jednak skłaniać do smutnej zadumy. Jak łatwo chciwość każe ludziom stłumić współczucie dla ofiar morskich katastrof...

„Po chwili, kiedy oswoiła się z półmrokiem, dostrzegła ich, stłoczonych przy poszarpanej, zębatej skale, która przecinała plażę: milczącą garstkę mężczyzn, wpatrujących się w mrok. Samo ich milczenie, tak przedtem rozwrzeszczanych i hałaśliwych, sprawiło, że wydawali się bardziej jeszcze groźni, pełne napięcia pozy i głowy zwrócone bacznie w kierunku morza stanowiły widok przerażający i brzemienny grozą.

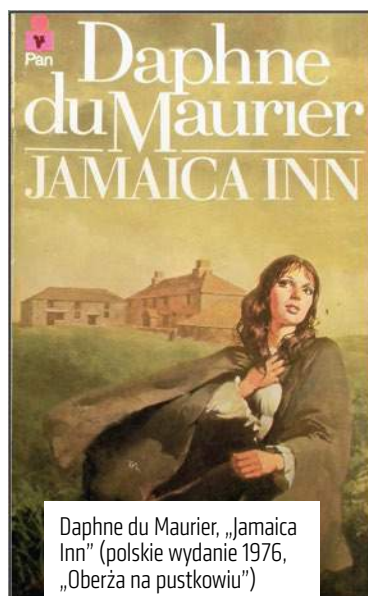
Szarpali zmiażdżone palce, zrywając pierścienie... (fragment „Jamaica Inn”)

Gdyby krzyczeli i śpiewali, nawoływali się wzajem i wypełniali zgłębkiem okolicę, gdyby z głośnym chrzęstem deptali ciężkimi buciorami żwir, pozostawałoby to w zgodzie z ich normalnym sposobem bycia i z tym, czego Maria się po nich spodziewała. Było jednak coś złowieszczonego w tym milczeniu, które kazało przypuszczać, że krytyczna chwila zbliża się. [...] Mary dostrzegła teraz niewyraźny zarys kadłuba, czarne reje rozpościerały się nad nim jak palce, białe spienione fale wyrastały spod dzioba i z sykiem znów się cofały. Światło na maszcie sunęło do pochodni przy skale, przycięgane nieodpartą siłą jak ćmy do światła. [...] Morze z sykiem cofnęło się z plaży, a wtenczas wielki grzywacz górujący nad współtowarzyszami, z grzmiącym łoskotem runął na przechylony żaglowiec. Czarny kształt, który tak niedawno był statkiem,

przewrócił się wolno na bok, niby wielki, płaski żółt. Maszty i reje zwisły jak poszarpane nitki. Na śliskiej, pochyłej powierzchni żółtawia widać było czarne kropki, uczone rozszczepiających się desek, a gdy rozchobotana masa pod nim, przecinając powietrze, pękła na dwoje, poczęły spadać jedno po drugim w spienioną toń [...]. Mężczyźni, którzy przez tyle godzin czekali w bezruchu na zimnie, przerwali teraz milczenie. Jak szaleńcy biegali tam i sam po brzegu, wyjąc, wrzeszcząc, zatracając wszelki pozór ludzki. Zanurzali się po pas w nadbiegających falach, niepomni niebezpieczeństwa, byleby chwycić mokre łupy, niesione przytłumem. Niczym zwierzęta bili się o połamane deski i belki; kilku zrzuciło ubranie i mimo grudniowego zimna biegło nago, żeby tym łatwiej przedzierać się przez fale i sięgać po przedmioty, kołyszające się na powierzchni. Skrzeczeli i kłócili się jak małpy, wyrwali sobie wzajem. Jeden w kącie przy skale rozpałił ognisko, które mimo nieustającej mżawki buchnęło jasnym płomieniem. Łupy przynoszone przez morze wyciągano na brzeg i składano przy ognisku na stos. Płomienie zalały plażę upiornym światłem, rozbijając ciemność żółtymi blaskami i tworząc długie pierścienie na plaży, gdzie tam i z powrotem uwijali się mężczyźni w nieprzytomnym, ohydny zapale.

Kiedy pierwsze ciało wyrzucone zostało na brzeg, zwiotczało i szczęśliwie już bez życia, stłoczyli się przy nim, obmacując szczątki chciwymi łapskami, obierając je ze wszystkiego, szarpając nawet zmiażdżone palce w poszukiwaniu pierścieni, porzucili je tam, gdzie upadły, wśród odłamków i wodorostów pozostawionych przez falę. Mary nie wiedziała, jak postępowali dawniej, dziś jednak w działaniu ich nie było żadnej metody. Rabowali na chybił trafił, każdy dla siebie, szaleni, pijani, oszołomieni tą niezaplanowaną gratką – zgraja psów, żerująca przy swoim panu”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Daphne du Maurier, „Jamaica Inn” (polskie wydanie 1976, „Oberża na pustkowiu”)

Kornel Makuszyński
(z prawej) i Jan Kiepura
FOT. NAC

1884-1953

Najukochańszy pisarz Polaków,
a już na pewno ich dzieci

Czerwone majtki Koziołka Matolka



Krzysztof Masłoń

**/ Makuszyński
w komunistycznej
Polsce stał się celem dla
partyjniaków. Uznawali
go za pisarza
reakcyjnego. Odwilży
nie doczekał. Przeżył
Stalina zaledwie o pięć
miesięcy**

Urodzony w Stryju, po nauce w rodzinnym mieście i we Lwowie, gdzie też skończył studia, szlify dziennikarskie zdobywał w redakcji „Słowa Polskiego”. Tam też dał się poznać czytelnikom jako recenzent teatralny, błyskawicznie zdobywając uznanie i ogromną popularność. Jeszcze przed pierwszą wojną światową został kierownikiem literackim Teatru Miejskiego we Lwowie. „Nazwisko” wyrobił sobie zatem w zaborze austriackim pod panowaniem cesarza Franciszka Józefa I.

Po wybuchu wielkiej wojny – jako obywatel Austro-Węgier akurat przebywający na Żmudzi – został internowany

i wywieziony do Rosji. Z czasem udało mu się wrócić w bliższe strony, ale i tak większą część wojny spędził w Kijowie, gdzie zajmował się też teatrem, prezując Związkowi Literatów i Dziennikarzy Polskich.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przeniósł się Kornel Makuszyński ze Lwowa do Warszawy, gdzie szybko zdobył nowych czytelników tekstami publikowanymi w „Rzeczpospolitej” i innych pismach. Dobrze przyjmowano też pierwsze jego książki, szczególnie wydane w 1925 r. wspomnieniowe „Bezgrzeszne lata”. Stopniowo stawał się jednym z najlepiej rozpoznawalnych i najbardziej lubianych polskich pisarzy. Czytelników rozbrajały jego humor, serdeczność, wiara w triumf dobra nad złem. Ufność tę musiały nadwerżnąć trudne lata drugiej wojny i okupacji hitlerowskiej, a następnie „wyzwolenie” Polski.

Pogodny i ustepliwy

Mimo pozorów artystycznego „cygana” i birbanta był człowiekiem szalenie pracowitym, co potwierdza sążnista bibliografia jego książek i artykułów prasowych. Nie był jednak pieściochem ani środowiska literackiego, ani krytyków. W 1927 r. wziętego pisarza zaatakował adept sztuki poetyckiej, Jan Zahradnik, publikując broszurę „Kornel Makuszyński we wkleśłym zwierciadle”. Autorowi „Pereł i wieprzy” (1915) zarzucił wtórność, bezstylowość, powielanie tych samych schematów. „Makuszyński, ten ulubiony Makuszyński, sam siebie robi, sam siebie podrabia, imituje – więc to jest już podwójny Makuszyński, zatem podwójnie musiał się podobać” – pisał, przestrzegając zarazem, że „popularność jest lichwiarką i pobiera wysokie odsetki na krótkoterminowe spłaty”.

Wkrótce miał mu za złe niemal wszystko: uprawianie poezji i prozy, pisanie o teatrze, a nawet felietonistykę, w której – grzmiał Zahradnik – „poszedł po linii taniego, choć suto popłatnego humoru”. Sukces pisarza rzekomo rozlewniwił, a duchowe wygodnictwo zdeprawowało. „W koniunkturze powodzenia ztraca się świetny talent Makuszyńskiego” – biadał młody poeta, w końcu jednak

owego talentu twórcy „Bezgrzesznych lat” nie odmawiając. Makuszyńskiego zabolowało jedynie – wspominała po latach jego żona – „że Zahradnik zarzucił mu pisanie dla zysków pieniężnych i obrał chowywał jego dochody”.

Napisał Makuszyński ponad 500 felietonów teatralnych. „Nikt za naszych czasów tak nie kochał teatru i tak go nie znał jak Kornel” – oceniał Jan Lechoń. A zwykli czytelnicy jakoś nie chcieli zaakceptować diagnozy Zahradnika, jakoby ich ulubiony autor, pisząc o teatrze, nudził. Z całą pewnością Makuszyński na ogół chwalił przedstawienia, a szczególnie grę aktorów, po części pewnie dlatego, że z niejednym z nich się znał, a więzy przyjaźni łączyły go z Ludwikiem Solskim, ze Stefanem Jaraczem, z Antonim Fertnerem czy Kazimierzem Junoszą-Stępowskim. Uwielbiał teatr tradycyjny, nieufny był wobec wszelkich nowinek i awangard, co jednak nie przeszkodziło mu wystąpić w obronie eksperymentalnego Teatru im. Bogusławskiego, gdy chciał go zamknąć warszawski magistrat.

Zabierał głos także w kwestiach oraz sporach politycznych i to nierzadko dystansując się od stron, z którymi – mogłoby się zdawać – było mu najbliżej. I tak w 1928 r. podpisał list protestacyjny po zatrzymaniu przez prokuraturę łódzką pisarza-komunisty Witolda Wandurskiego, współautora – obok Broniewskiego i Standego – „Trzech salw”, tomu poezji proletariackiej. Protest pomógł i już niebawem Wandurski mógł wyjechać do ukochanej ojczyzny światowego proletariatu, gdzie w 1934 r. rozstrzelano go jako szpiega i kontrrewolucjonistę.

A Makuszyński protestować też będzie w 1931 r., po aresztowaniu i uwięzieniu w twierdzy w Brześciu nad Bugiem posłów lewicy i partii chłopskich, gdzie byli brutalnie traktowani.

Makuszyńskiego lubili prawie wszyscy, a przekonywali się do niego ci nawet, którzy wcześniej – tak jak Nałkowska – psy na nim wieszali. „Nie miał właściwie wrogów – stwierdza w książce »Makuszyński. O jednym takim, któremu

ukradziono słońce« Mariusz Urbanek – oczywiście poza krytykami w prasie, ale to akurat należało do obowiązującego w II Rzeczypospolitej rytuału i rzadko przekładało się na stosunki prywatne. A jeśli nawet wrogów miał, to oni się do tego nie przyznawali, bo po prostu nie wypadało być w sporze z pełnym przyjaźni dla wszystkich Kornelem. Nawet jeśli ktoś politycznie różnił się od niego tak bardzo jak choćby skamandryci, którzy w dodatku z wyższością patrzyli na pozbawione agresji humoreski i bezpretensjonalne powieści Makuszyń-

strojenie głupich min i w ogóle głupotę, a to niestosowny ubiór (czerwone majtki!), a nawet... pijaństwo, jako że w trakcie jednej z przygód pogawędkę z Twardowskim toczy przy butelce. Ciekawe, że zarówno butelka ta, jak i kieliszek widniejący na innym rysunku zniknęły z PRL-owskich wydań książeczki.

Sukces „Koziołka Matołka” powtórzyły trzy lata później bliźniacze „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki”. Nakłady tych uroczych, rymowanych komiksów (bo przecież nimi były w istocie) już przed wojną szły w setki tysięcy. Po woj-

nie Gebethner zdążył jeszcze jeden raz wznowić „Koziołka...”, następnie jednak okazał się on niecenzuralny i takim pozostawał do roku 1956, gdy trzy lata po śmierci Kornela Makuszyńskiego Wydawnictwo Literackie mogło wreszcie wydać te „120 przygód...”. Z tym że na okładce koziołek nie siedział już na księżycu, ale na rakiecie kosmicznej. Z głów żołnierzy zniknęły rogatywki, a orłom na słupach granicznych zabrano koronę. Pojawił się też Pałac Kultury i Nauki w Warszawie i choć w następnych wydaniach książeczki powrócił księżyc, to dar na-

rodu sowieckiego i osobiście towarzysza Stalina pozostał.

Tak czy inaczej nakłady „Matołka...” oraz „Fiki-Miki...” szły odtąd w miliony, a zawirowanie nastąpiło jedynie po 13 grudnia 1981 r. „W dniu, w którym wprowadzono stan wojenny – pisze Mariusz Urbanek – w kioskach wciąż można było kupić wydaną dwa lata wcześniej serię pocztówek z przygodami Matołka. Szybko jednak ktoś czujny zorientował się, że na jednej z kartek znalazł się kadr z trzeciego tomu, wcześniej niewinny, ale w nowej sytuacji wyglądający na polityczną prowokację. Na kartce był Matołek w wojskowym mundurze, z karabinem (manlicher wzór 1910) w dłoni, na drzewie siedziała zaś ni mniej, ni więcej tylko wielka, czarna wrona (ponoć naprawdę miała to być sroka). Aluzja do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli WRON-y, była aż nadto oczywista. Kartkę błyskawicznie wycofano z kiosków (wróciła do sprzedaży dopiero w roku 1986), a jeśli ktoś chciał, to



skiego. Owszem, pisał Słonimski, był jak król Midas, wszystko pod jego piórem zamieniało się w złoto, nie zawsze jednak najwyższej próby. »Nie sposób było nie lubić Kornela ani wejść z nim w konflikty. Był bezgranicznie pogodny i ustepliwy« – wspominał. Każdy był dla niego w równym stopniu »jedynym, kochanym, złotym wariatem«, nawet Pan Bóg: »Złoty, kochany wariat, który stworzył ten cały złoty, zwariowany świat«.

Orły i wrony

Najsłynniejszy polski koziołek przyszedł na świat w 1931 r. Wymyślił go rysownik Marian Walentynowicz, pomysł entuzjastycznie podchwycił wydawca Stanisław Gebethner, Makuszyńskiemu pozostało tylko napisać tekst, z którego to zadania wywiązał się znakomicie. Matołek od razu podbił serca dzieci i ich rodziców, jak zwykle krzywili się jedynie krytycy, zarzucając tytułowej postaci „120 przygód Koziołka Matołka” a to

■ mógł dopatrzeć się w tym wydarzeniu chichotu (może raczej wroniego skrzeku) historii albo profetycznych talentów Walentynowicza. W przedwojennych wydaniach »Przygód...« wrona była bowiem zupełnie apolitycznym wróbelkiem”.

Właściwie trudno rzec, kiedy powstały najlepsze książki Kornela Makuszyńskiego i które nimi były i są, bo przecież ta literatura znajduje się wciąż w obiegu czytelnicznym, choć oczywiście nie tak powszechnym jak przed laty. Dość powszechnie za najbardziej udane uważa się „Awanturę o Basię” i „Szatana z siódmej klasy”, obie powieści z roku 1937, obie doskonale znane, także z adaptacji

Lwowa” (1935), wreszcie dla „najwspanialszej zdobyczy polskiego trudu”, jak nazywał budowę Gdyni, której poświęcił „Wielką bramę” (1936).

Zakopiański urodzaj

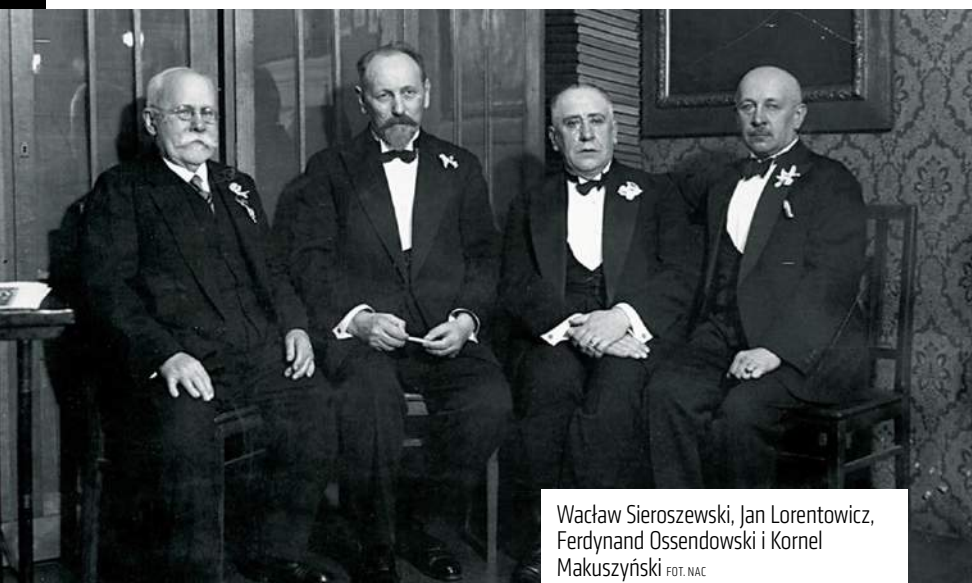
Pierwsza żona Makuszyńskiego – Emilia Bażeńska, z którą wziął ślub w 1908 r. – zmarła na gruźlicę w 1926 r. Po roku pisarz ożenił się po raz wtóry, ze śpiewaczką operową Janiną Gluzińską, córką profesora medycyny Uniwersytetu

mu się od dawna, ale w środowisku nie brakowało zawistników, którzy kręcili nosem na jego felietony, książki dla dzieci, jako te rzekomo mniej ważne, a już na pewno zazdrościli mu zarobków.

Doczekał się jednak, ale na swoje nieszczęście zajął miejsce oskarżonego akurat o plagiat Wincentego Rytmowskiego. Ten z miejsca w akademii zrezygnował niechętnie, a na ustąpienie zdecydował się dopiero ponaglany naciskami prasy. W satyrycznej „Musze” ukazał się wówczas rysunek przedstawiający Makuszyńskiego zdmuchującego z fotela „bakcyle plagiatu”. Rzymowski dobrze to zapamiętał i choć jego następcą w Polskiej Akademii Literatury nie miał ze sprawą o udowodniony zresztą plagiat nic wspólnego, potraktował ją jako osobistą i gdy po wojnie został ministrem kultury – zemścił się.

Makuszyński stał się w komunistycznej Polsce łatwym celem dla partyjnych hunwebinów. Pisał przecież o Orleńtach Lwowskich, o Gdyni, piosenki o ułanach, nawet jego Koziołek Matołek nie był ani w calu postępowy, bez względu na kolor majtek. W 1951 r. na plenum Zarządu Głównego ZLP w Szczecinie Wanda Grodzieńska i jej mąż Seweryn Pollak oburzali się, że głupie wierszyki o Koziołku odwracają uwagę dzieci od – uwaga – ważnych problemów społecznych. Dość było tego, by książki Makuszyńskiego usuwać z bibliotek, a na wznowienia nie wydawać zgody. Po cichu zaś zarzucono autorowi „Awantury o Basię” inną, mocno, powiedziałbym, trefną książkę, a mianowicie „Fatalną szpilkę” z 1925 r. uznaną za antysemicką.

Powieść była nie tyle antysemicka, ile głupiutka. Żydów przed wojną polscy pisarze nazywali Żydkami – choćby Maria Dąbrowska – autor „Fatalnej szpilki” nie był żadnym wyjątkiem. Swoją drogą, wymieniany już Jan Zahradnik zwracał uwagę, że ten pisarz potrafi tak zbałamucić czytelników, że i kobiety, i Żydzi, choć kpi z nich, nie obrażają się i masowo wykupują jego książki. Na pewno Makuszyńskiemu bliżej było do narodowej demokracji niż do sanacji, miał światopogląd narodowy, był Polakiem i katolikiem, pisywał głównie do endeckich gazet (ale, bywało, i do „Wiadomości Literackich”), jednak w żadnym wypadku żydożercą nazwać go niepodobna. Chociaż nawet, co zaakcentował Mariusz Urbanek, pierwsze zdanie nieukończony i, naturalnie, nie-



Wacław Sieroszewski, Jan Lorentowicz, Ferdynand Ossendowski i Kornel Makuszyński FOT.NAC

filmowych. „Szatan...” miał mieć ciąg dalszy, ale pisarz „Drugich wakacji Szatana”, które powstawały w czasie okupacji, nie ukończył.

Zanim jednak książki te umocniły i tak już wyjątkową pozycję Makuszyńskiego jako najukochańszego autora Polaków, a już na pewno ich dzieci, pisarz oddał hołd wolnej ojczyźnie, sławiąc jej osiągnięcia. Już wcześniej popełnił poemat „Pieśń o Ojczyźnie”, nagrodzony Państwową Nagrodą Literacką, słusznie jednak oceniany jako nadto retoryczny. Teraz jednak podsumował dorobek odrodzonej Polski w prozie, znajdując nowe, poważniejsze tony dla opowieści o lotnictwie II Rzeczypospolitej w „Skrzydlatym chłopcu” (1933), dla peanu na cześć umiłowanych Lwowa i jego młodziutkich obrońców w zakazanym w PRL „Uśmiechu

Lwowskiego. Nie miał swoich dzieci, ale mógłby powiedzieć, że swoją miłością obdarował wszystkie dziewczynki i wszystkich chłopców. I nic nie sprawiało mu takiej radości jak dowody ich uznania, zwłaszcza w latach powojennych, gdy żyjąc w Zakopanem, czuł się dyskryminowany i zapomniany.

A z Zakopanem, które zresztą obśmiewał wcześniej w swoich felietonach, ściśle związał się w latach 30. W 1931 r. otrzymał tytuł honorowego obywatela miasta, a potem również honorowe członkostwo Związku Górali. Cztery lata później państwo Makuszyńscy wynajęli tam na stałe mieszkanie w willi Opolanka. W tym samym czasie kupili w Warszawie mieszkanie w nowo wybudowanej kamienicy na Mokotowie. W 1937 r. Kornel Makuszyński został wreszcie członkiem Polskiej Akademii Literatury, co należało

wydanej drugiej części „Szatana z siódmej klasy” zaczynało się tak: „W roku 1937, w którym nadzwyczajnie obrodziły muchy, jabłka i Żydzi w Zakopanem...”.

Wykpiwany i czczony

Na książkach Makuszyńskiego poznali się filmowcy, i to bardzo wcześniej. Już w 1913 r. po jego nowelę „Dwie przygody najmilszego ze złodziei” sięgnął Zygmunt Wesołowski, reżyserując komedię „Najmilszy ze złodziei”, oczywiście czarno-białą, krótkometrażową i niemą. Film przyjęto chłodno, a taśma z nim się nie zachowała. Gorzej, że nie przetrwał również realizowany w 1939 r. przez Konrada Toma (z Mieczysławą Ćwiklińską, Janem Kurnakowiczem, Józefem Węgrzynem i Józefem Urwidem oraz muzyką Henryka Warsę), nieukończony „Szatan z siódmej klasy”. Znamy tylko powojenne adaptacje filmowe tej powieści: Marii Kaniowskiej z 1960 r. i Kazimierza Tarnasa z roku 2006. Ten ostatni przeniósł na ekran również inne znane książki Kornela Makuszyńskiego: „Szaleństwa panny Ewy” (1984), „Pannę z mokrą głową” (1994) i „Awanturę o Basię” (1995). Tę ostatnią wyreżyserowała także 35 lat wcześniej Maria Kaniewska.

Zestaw filmów nakręconych według książek Makuszyńskiego uzupełniają: „Spotkania” Stanisława Lenartowicza z 1957 r., których druga z czterech części oparta jest na „Zuchwałej panience”, następnie „O dwóch takich, co ukradli księżyc” Jana Batorego z braćmi Kaczyńskimi w rolach tytułowych (1962) i serialowa wersja animowana tego samego utworu z lat 1984–1989, pamiętna z udziału w niej zespołu Lady Pank wykonującego m.in. przebój „Marchewkowe pole”, serial animowany „Dziwne przygody Koziołka Matołka” z lat 1969–1971 oraz „Przyjaciel wesołego diabła” Jerzego Łukaszewicza z 1988 r.

Nie wszystkie tytuły jego utworów cokolwiek dziś mówią, te jednak, które wytrzymały próbę czasu, stały się klasyką. Zresztą... celnie rzecz ujął Jan Lechoń, pisząc po śmierci Kornela Makuszyńskiego: „Więcej wykpiwany niż czczony – zostawił jednak po sobie nie tylko kartę w historii pisarstwa, jako na swój czas nowator, ale i parę kart w samej

literaturze – bajki dla dzieci, niektóre wiersze i zwłaszcza felietony o teatrze”.

Prawdopodobnie przesadził jedynie Lechoń ze znaczeniem teatraliów Makuszyńskiego, ale jego książki dla dzieci i, co warto podkreślić, dla młodzieży, niech będzie, że młodszej młodzieży, wciąż wyznaczają pułap nieosiągalny przez legion następców twórcy „Szatana z siódmej klasy”, czytano go równie chętnie wtedy, gdy jego akcja toczyła się na Wileńszczyźnie, jak później, gdy ze względów cenzuralnych trzeba ją było zmieścić w nowych granicach Polski. Z oczywistych powodów nie mógł po wojnie ukazać się „Uśmiech Lwowa”, ale wkrótce komunistyczną anatemią dotknięta została „Wielka brama”, a następnie i inne książki pisarza skazanego na niebyt.

W innym świecie

Zdążył jeszcze wydać Makuszyński napisaną tuż przed wojną, a niedawno zaadaptowaną na potrzeby Teatru Telewizji i wyreżyserowaną przez Annę Wierzbicką powieść „List z tamtego świata”. To, co pisał w Warszawie w czasie okupacji, stracił najpierw we wrześniu 1939 r. bomba trafiła w dom przy ul. Grotgiera, gdzie mieszkał z żoną, po odbudowie kamienicy mieszkał w niej jeszcze do powstania, kiedy doznał utraty po raz wtóry, a to nie-liczne, co ocalało, padło ofiarą złodziei buszujących w ruinach wypędzonego miasta. Państwo Makuszyńscy po powstaniu (napisał wtedy „Śpiew Czerniakowa”, który ukazał się w powstańczej

gazetce) i zwolnieniu z obozu przejściowego w Pruszkowie w listopadzie 1944 r. dotarli do Zakopanego. I tam dożył pisarz ostatnich dni, przez cały czas zmagając się z nieustannymi zakusami na jego mieszkanie, cukrzyką i finansowym niedostatkiem. Pomagali mu przyjaciele i wierni czytelnicy z Ameryki. Gorzko żartował, że gdyby nie Kazimierz Wierzyński, który przesyłał mu paczki z żywnością i niezbędną insuliną, musiałby handlować starzyzną. Książki, które próbował pisać, nie mogły się ukazać, a niebawem nie miał już z kim o nich rozmawiać, bo wydawnictwo Gebethnera i Wolffa przestało istnieć.

Próbował dostosować się do wymogów nowych czasów, bez skutku jednak. A na znaczące skróty i zmiany w niektórych starych książkach, na których wznowienie decydenci skłonni byłiby wyrazić łaskawą zgodę, nie przyzwalał. Choćby i z żalem, bo szkoda mu było pieniędzy, których tak bardzo potrzebował, a do których – co tu dużo mówić – miał czas się przyzwyczaić.

Powoli dojrzewających w kraju zmian i postalinowskiej odwilży się nie doczekał. Samego Stalina przeżył o pięć miesięcy, zmarł 31 lipca 1953 r. We wspomnieniu wydrukowanym w emigracyjnym „Orle Białym” Ferdynand Goetel napisał, że zmarły „do niebieskich wrót zapuka może w pelerynie cygana, może w harcerskim stroju, może we fraku akademickim, nigdy w czapce błazna i bluzie kajdaniarza”. W kraju o śmierci ukochanego pisarza polskich dzieci poinformowano w lakonicznych notkach. Pochowany został na starym cmentarzu zakopiańskim na Pęksowym Brzyzku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Stanisław Cat-Mackiewicz FOT. NAC

Książka miesiąca / Listy

Gorzki koniec „Cata”

Awięc stało się. Słynne listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała K. Pawlikowskiego zostały wydane drukiem. Czytałem je swego czasu w oryginale i byłem przekonany, że nigdy to nie nastąpi. Podobnego zdania był zresztą sam Pawlikowski.

„Nawet po upływie pięćdziesięciu lat i po śmierci wszystkich wspomnianych w nich ludzi – pisał – nie znalazłby się wydawca, który by się zgodził ogłosić te listy w całości: nie mówiąc o wyrazach niecenzuralnych i kawałach nieprzyzwoitych. Czy może być mowa o ogłaszaniu listów, w których szanownym i poważnym ludziom wymyśla się od durniów i kanalii?”.

A jednak taki odważny wydawca się znalazł! Listy Mackiewicza do Pawlikowskiego zostały właśnie wydane przez Ośrodek Karta. Brawo! Jest to bez wątpienia niepowtarzalny dokument historyczny. Zapewniam, że czegoś podobnego jeszcze Państwo nie czytali.

Anegdota, fakty historyczne, dyskusje na temat filozofii i polityki splatają się tu z prozą życia codziennego. Nie, to jednak nie jest dobre wyrażenie. Życie Cata bez wątplenia nie było prozaiczne.

Listy pochodzą z lat 1946–1966. Mackiewicz w tym czasie był czołowym emigracyjnym publicystą. W 1954 r. został premierem rządu na wychodźstwie. Dwa lata później zdecydował się porzucić Londyn i zamieszkać w PRL. Z Pawlikowskim korespondował do końca.

W swoich listach, „Cat”, nie przebiegając w słowach, łączył adwersarzy i przeciwników politycznych. A także opisuje swoje bujne życie erotyczne. Z najdrobniejszych, naturalistycznymi szczegółami. Właśnie to sprawiało, że sądziłem, iż listy nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ta książka u wrażliwszego czytelnika wywoływać będzie rumieńce wstydu. Dla mnie była przede wszystkim bezbrzeżnie smutna. Bez przeczytania listów trudno zrozumieć, dlaczego Mackiewicz – zdeklarowany antykomunista

– zdecydował się dogadać z czerwonymi i zamieszkać w PRL.

Wynikało to nie tylko z jego przekonań (utrata wiary w sens emigracji), lecz także z tragicznej sytuacji osobistej. Mackiewicz w Londynie żył w nędzy. Dosłownie. Nie był w stanie utrzymać się z honorariów w emigracyjnych pismach, niedojadał, ustawicznie musiał pożyczać pieniądze.

Drugim osobistym powodem była tragiczna, szalona miłość, która doprowadzała „Cata” na krawędź obłędu. Można powiedzieć, że uciekł za żelazną kurtynę przed kobietą. A potem... starał się tę samą kobietę sprowadzić do Warszawy.

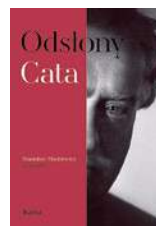
Przyjazd do PRL na początku wydawał się rozwiązaniem wszystkich problemów. „Cat” jednak nie byłby sobą, gdyby nie skonfliktował się z władzami. Zaczął pisać do paryskiej „Kultury”, podpisał List 34. W efekcie znowu znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Pawlikowski musiał przysyłać mu pieniądze i lekarstwa. Ostatnie lata Mackiewicza naznaczone były chorobą i cierpieniem.

„Potwornie jest z moim zdrowiem, potwornie z samopoczuciem, potwornie z pieniędzmi, potwornie z życiem” – pisał w 1964 r. Mackiewicz w listach wielokrotnie wspominał o samobójstwie. Jeżeli nie palnął sobie w głowę, to tylko dlatego, żeby nie dawać satysfakcji swoim wrogom. Tych bowiem – jako człowiek wybitny – miał wielu.

Żałuję, że w zbiorze znalazły się tylko listy Mackiewicza do Pawlikowskiego. A nie ma listów Pawlikowskiego do Mackiewicza. Czy się nie zachowały? Jako wielki miłośnik twórczości autora „Wojny i sezonu” przeczytałbym je równie chętnie.

Na koniec uwaga krytyczna. Otóż w listach zostały wprowadzone skróty. Jak czytamy w nocie edytorskiej, chodziło m.in. o fragmenty, które „mogłyby poważnie naruszyć chronione prawem dobra osób trzecich”. Uważam, że ta decyzja redaktorów to błąd. Listy powinny być zostać wydrukowane w całości. ©©

Piotr Zychowicz



„ODŚLONY »CATA«”
(WYBÓR.
NATALIA AMBROZIAK)

OŚRODEK KARTA

Zajmująco o dziejach Czech

Petr Jokeš w sposób niezwykle przejrzysty i zajmujący pisze o dziejach naszego południowego sąsiada, aż do czasów współczesnych. Na polskim tronie zasiadał czeski król Wacław II, na czeskim – Władysław Jagiellończyk, mieliśmy z Czechami zatarg o Śląsk Cieszyński, ale autor nie koncentruje się na stosunkach polsko-czeskich. Opowiada o drodze Czechów przez wieki, uwypuklając najważniejsze dla ich historii i tożsamości narodowej wydarzenia.

Nie można, będąc w Pradze, nie przejść się po moście Karola. Być może powinien nazywać się raczej mostem Jana z Pomuka, księdza, który padł ofiarą konfliktu Wacława IV z arcybiskupem praskim i po torturach został zrzucony z mostu do Wełtawy. Znany jest ten święty jako Jan Nepomucen. Autor wyjaśnia, że to aluzja do jego milczenia dotyczącego tajemnicy spowiedzi, gdyż czeskie „ani nemuknout” znaczy „nic nie powiedzieć”.

Ogromnie ważny był w dziejach Czech XV-wieczny ruch husytów, a ich przegrana pod Lipanami uważana jest przez Czechów za katastrofę narodową, taką jak układ monachijski. Był to jednak kres wyniszczającej kraj 15-letniej wojny, a zarazem początek nowoczesnej tolerancji religijnej.

Stolica nad Wełtawą nabrała blasku za Rudolfa II, uważanego przez Czechów za najbardziej popularnego Habsburga na tronie. Za jego czasów – jak pisze Jokeš

– Praga stała się kosmopolitycznym centrum, pełnym ludzi nauki i kultury, a król był ich wybitnym mecenasem.

Dramatyczny moment dla narodowej tożsamości stanowiła bitwa na Białej Górze (nie pod Białą Górą, jak zaznacza autor) w 1620 r. Nie była to, wbrew stereotypowi, wojna czeskich protestantów z niemieckimi katolikami. Przegrana tych pierwszych spowodowała emigrację czeskich elit i upadek języka czeskiego.

Kazimierz Badeni, Polak z Galicji, jako premier Austrii wydał w 1897 r. rozporządzenie zrównujące w prawach język czeski z niemieckim. Wywołało to furję niemieckich nacjonalistów; spowodowała ona dymisję Badeniego i odwołanie jego rozporządzenia.

Autor pisze o kulisach zamachu na Heydricha – niemieckiego wielkorządcę Czech podczas drugiej wojny światowej. Był to plan czeskich polityków na emigracji, zaniepokojonych biernością społeczeństwa wobec okupanta – który prowadził politykę kija, ale i marchewki – i pragnących wykazać wolę walki Czechów. ©© (t.s.)



PETR JOKEŠ
„CZESI. PRZEWODNIK
PO HISTORII NARODU
I PAŃSTWA”

AVALON

Sekrety sztuki

Dzieła sztuki, zabytki mają swoje tajemnice. Czy order Cyncynata wystawiony na aukcji w 2013 r. w Ameryce rzeczywiście należał do Tadeusza Kościuszki? Czy naprawdę znajdował się jako wotum w unickiej cerkiewce, po czym w połowie XIX w. tajemniczo zniknął? „Chopin u Radziwiłła w 1829 roku” – to znany obraz Henryka Siemiradzkiego. Czy Siemiradzki upamiętnił rzeczywiste wydarzenie, czy obraz był dziełem jego fantazji? Autor pisze też o losach masek pośmiertnych,

m.in. Chopina i marszałka Józefa Piłsudskiego, oraz dlaczego wykonane zostały dwie maski pianisty i czym się różniły. ©© (t.s.)



WOJCIECH PRZYSZYBYSZEWSKI
„ŚLEDZTWA KOLEKCJONERA”

POLONIKA



ZDZISŁAW GAJDA
„HISTORIA MEDYCYN
DLA KAŻDEGO”
FRONDA

NADCIŚNIENIE W TEHERANIE

To pełna anegdota i dygresji opowieść o dziejach medycyny od starożytności do dziś, którą napisał profesor UJ. Zwraca on uwagę na pomijane, a mające doniosłe znaczenie fakty. Oto w Teheranie spotkali się w 1943 r. Roosevelt, Churchill i Stalin, którzy dzieliли świat, jaki miał się wyłonić po drugiej wojnie. Wszyscy mieli nadciśnienie, które zakłóca jasność umysłu. Dla nas dobrze się nie skończyło... ©© (m.r.)



JAROSŁAW WOJTCZAK
„40 NAJSŁYNIEJSZYCH
BITEW Z INDIANAMI
NA ZACHODZIE”
NAPOLÉON V

AMERYKANIE KONTRA INDIANIE

Autor przedstawia dzieje bitew z Indianami w XIX w., od bitwy z Arikarami nad Missouri w 1823 r. przez wspaniałe zwycięstwo Indian nad Little Bighorn do bitwy, a raczej masakry Indian nad Wounded Knee w 1890 r. Opis bitew składa się na dramatyczną historię podboju ziem zamieszkałych przez rdzennych mieszkańców Ameryki, których ostatecznie osadzono w rezerwach. ©© (t.s.)



„PRZERWANE BIOGRAFIE.
RELACJE DEPORTOWANYCH
W GŁĘB SOWIEC
1940-1941”
(WYBÓR EWA
KOŁODZIEJSKA-FUENTES)
OŚRODEK KARTA

TAJGA POCHŁANIA NADZIEJĘ

Mięła – jak zwykle niepostrzeżenie – kolejna rocznica rozpoczęcia wielkich deportacji w Głęb Związku Sowieckiego. Ich ofiarą w latach 1940-1941 padło kilkaset tysięcy Polaków. O naszych skrzywdzonych rodakach pamięta Ośrodek Karta, który wydał tom relacji wywiezionych na Syberię i do Kazachstanu. „Tyle miałem planów, tyle nadziei... Ta tajga je pochłonie” – mówił jeden z deportowanych. Wstrząsająca książka. ©© (p.z.)



Jeńców uciekających tunelem Harry upamiętnia ten szlak przez las FOT. WIKIPEDIA

Sagan-Befehl

Nazwa Sagan-Befehl („rozkaz żagański”) oznacza hitlerowską zbrodnię wojenną, która rzeczywiście wstrząsnęła opinią Zachodu. Oto nocą z 24 na 25 marca 1944 r. ze Stalagu Luft III pod Żaganiem uciekło ponad 100-metrowym, wykopanym potajemnie tunelem 76 trzymanych tu w niewoli lotników RAF różnych narodowości. Tylko trzem ucieczka się powiodła – dwóm Norwegom i Holendrowi, a 73 – z których większość stanowili Brytyjczycy – ujęto. Rozwścieczony Hitler kazał wszystkich zastrzelić, ale po interwencji Göringa, obawiającego się o los ujętych przez Brytyjczyków lotników Luftwaffe, zamordowano 50. W tym wszystkich sześciu Polaków.

Żagań – dziś na naszym Dolnym Śląsku – wtedy leżał w głębi Niemiec. Pokonanie setek kilometrów stanowiło nie

lada wyzwanie dla jeńców przebranych w szycie po kryjomu ubrania, z podrabianymi dokumentami i z wątpliwymi kontaktami na terenie III Rzeszy. Schody do podziemnego wejścia i wyjścia z desek sprzętów obozowych, kanały wentylacyjne, do których posłużyły puszki po mleku skondensowanym z paczek, mapy najbliższych okolic i dalszych tras ucieczek włożone między rewersy i awersy kart do gry – wszystko to budzić może niekłamany podziw. Wielką w tym zasługa 31-letniego porucznika nawigatora z 301. Dywizjonu Bombowego Włodzimierza Kolanowskiego (w słynnym filmie „Wielka ucieczka” grał go – jako Króla Tunelu – Charles Bronson).



MAREK ŁUSZCZYNA
„NOCNI MYŚLIWI”
SPOŁECZNY INSTYTUT
WYDAWNICZY ZNAK

Splot nieszczęśliwych okoliczności spowodował jednak przerwanie ucieczki przez strażników i zaalarmowanie okolicy. Toteż karni mieszkańcy, a zwłaszcza chłopcy z Hitlerjugend zatrzymywali podejrzanych i przekazywali policji. Uciekinierów chroniły konwencje międzynarodowe, toteż byli spokojni o swe życie. Ale niewielu trafiło w ręce wojskowej żandarmerii czy wywiadu, większość – do gestapo i SS. Oprawcy – zgodnie z Sagan-Befehl – mordowali ich na poboczach dróg i skrajach lasów pod pozorem ucieczki strzałami z pistoletów i broni maszynowej. Na szczęście Brytyjczycy nie darowali i po wojnie wymierzali zbrodniarzom sprawiedliwą karę.

Autor starał się drobiazgowo przedstawić przebieg wydarzeń, ze szczególnym uwzględnieniem losu Polaków. Poza Kolanowskim był to por. Stanisław Król – pilot myśliwca Supermarine Spitfire zestrzelonego w lipcu 1941 r. Pozostali byli oficerami – pilotami i nawigatorami z dywizjonów bombowych 301, 304 i 305, którzy dostali się do niewoli między latem 1941 a 1942 r.

Znajdujemy tu Jerzego Mondscheina, Kazimierza Pawluka, Pawła Tobolskiego oraz najstarszego z nich, Antoniego Kiewnarskiego – urodzonego w Moskwie w 1898 r.

©©

Maciej Rosalak

Tragiczna śmierć Sprawiedliwego

Wtrakcie drugiej wojny światowej na terenie Węgier schronienie znalazły tysiące Polaków. Zostali tam przyjęci z otwartymi ramionami. Chociaż Polska i Węgry znalazły się po przeciwnej stronie barykady, to tradycyjna przyjaźń polsko-węgierska okazała się silniejsza.

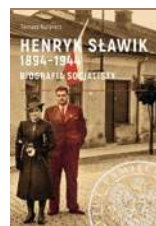
Pieczę nad polską społecznością sprawował m.in. Komitet Obywatelski ds. Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech. Na jego czele stał Henryk Sławik. Bohater znakomicie napisanej książki Tomasza Kurpiera. Sławik udzielał pomocy nie tylko Polakom, lecz także Żydom. Wielu z nich ocalało przed zagładą.

Niestety nie był w stanie uratować samego siebie. Gdy w 1944 r. Węgry próbowały zmienić stronę, Hitler wydał rozkaz okupacji swojego dotychczasowego sojusznika. Nagle sytuacja polskich uchodźców – do tej pory cieszących się parasolem ochronnym regenta Horthy'ego – stała się tragiczna. Henryk Sławik został aresztowany przez gestapo.

Latem 1944 r. został wywieziony do obozu Mauthausen-Gusen. Tam Niemcy powiesili go 23 sierpnia o godz. 16. Egzekucję wykonano na „rozkaz Reichsführera-SS”. Za pomoc okazaną bliźnim Sławik zapłacił najwyższą cenę.

Dzisiaj Henryk Sławik uznawany jest za bohatera trzech narodów – węgierskiego, żydowskiego i polskiego. Postaci tej nadal nie poświęca się jednak tyle uwagi, na ile zasługuje. Miejmy nadzieję, że książka Tomasza Kurpiera zmieni ten stan rzeczy. ©©

Piotr Zychowicz



TOMASZ KURPIERZ
„HENRYK SŁAWIK 1894-1944.
BIOGRAFIA SOCJALISTY”

IPN

Smutny kres „Fakira”

Ukazała się właśnie trzecia i ostatnia część biografii Sergiusza Kościakowskiego „Fakira” pt. „Śmierć i zagłada na Wileńszczyźnie” autorstwa prof. Tomasza Balbusa. Zawiera ona opis ostatnich miesięcy życia głównego bohatera książki oraz walk toczonych na Wileńszczyźnie przez oddziały AK w początkowym okresie bolszewickiej okupacji. Po tym, jak udało mu się uniknąć aresztowania przez sowieckie organa bezpieczeństwa, „Fakir” rozpoczął działalność w strukturach antysowieckiego podziemia zbrojnego.

Początkowo we wrześniu 1944 r. trafił do grupy dowodzonej przez por. Mariana Plucińskiego „Mściśława” i przebywał w niej, dowodząc jednym z plutonów aż do listopada 1944 r., a więc do momentu odwołania „Mściśława” z funkcji komendanta. 7 grudnia 1944 r. KO AK Wilno mianowała „Fakira” dowódcą oddziału nr 4, którego zadaniem była ochrona ludności przed terrorem okupantów. Poza grupą „Fakira” powołano do życia trzy inne podobne terenowe oddziały Samoobrony Ziemi Wileńskiej – por. Witolda Turonka „Tura”, por. Władysława Kitowskiego „Groma” i sierż. Jana Lisowskiego „Korsarza”.

Po otrzymaniu nominacji Kościakowski energicznie przystąpił do organizowania oddziału. Niestety spośród napływających ochotników tylko niewielka część posiadała doświadczenie partyzanckie. Dlatego „Fakir” rozpoczął intensywne szkolenie nowo przybyłych wolontariuszy. Zastępcą „Fakira” został jego dawny kolega z wileńskiej Egzekutywy Jarosław Skrodzki „Zeks”. Akcji przeciw bolszewikom prowadzono niewiele i były to głównie pojedyncze likwidacje agentów lub przedstawicieli sowieckiego aparatu okupacyjnego. Pomiędzy grudniem 1944 a lutym 1945 r. liczebność oddziału wynosiła 60–70 partyzantów. Służyli w nim głównie Polacy oraz czterech obcokrajowców: Niemiec, Gruzin, Rosjanin i Białorusin.

29 stycznia 1945 r. do fakirowców dołączył 10-osobowy oddział kawa-

leryjski kpr. Włodzimierza Mikucia „Wisia”, byłego partyzanta 1. Brygady AK „Juranda”. 4 lutego 1945 r., podczas stacjonowania w Raubiszkach, grupę „Fakira” zaatakowała ośmioosobowa drużyna lejtanta Jurjewa z 1. Batalionu 25. Pułku 4. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD. NKWD-ziści wjechali do wsi na trzech furmankach. Zaskoczenie było całkowite i obopólne, po czym obie strony przystąpiły do walki. Intensywna wymiana ognia odbywała się na bardzo krótkim dystansie.

Jednym z pierwszych poległych był pchor. „Zeks”. Sam „Fakir”, znalazłszy się w wirze walki, prowadził ją w sposób nie do końca rozważny, strzelając do wroga w pozycji stojącej. W efekcie

został postrzelony w rękę. Po opatrzeniu rany kontynuował walkę, ale wkrótce otrzymał dwa kolejne postrzały, tym razem w płuca. Po zranieniu dowódcy oddział wycofał się z Raubiszek.

W starciu poległo sześciu partyzantów. Po stronie Sowietów było czterech zabitych i dwóch rannych, w tym lejtant Jurjew, który następnego dnia zmarł. Również „Fakir”, którego zabrano z pola walki, nie przeżył ewakuacji do Kiemeleszek (oprócz „Fakira” zmarł wyniku odniesionych ran jeszcze jeden partyzant). Pochowano go ostatecznie na cmentarzu Na Rossie. Bez wątpienia słabe wyszkolenie partyzantów miało wpływ na wynik starcia i wysokość poniesionych strat, pomimo faktu posiadania przewagi liczebnej.

Oddział po „Fakirze” przejął Mikuć – późniejszy działacz PPR, funkcjonariusz ORMO i tajny współpracownik UB. 28 lutego 1945 r. w Ławżach dał się on zaskoczyć specjalnemu oddziałowi NKGB udającemu własowców. „Wisia” upojonego alkoholem i kilku innych partyzantów enklagebiści ujęli po przyjęciu, na które zaproszono Polaków. Pozostałych partyzantów w liczbie 50 oraz 25 mieszkańców zabito lub zamordowano podczas ataku rzekomych własowców na wieś Ławże. W ten sposób dokonała się ostateczna zagłada oddziału „Fakira”. ©©

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

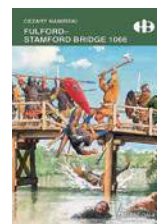
Stamford 1066

Jesień 1066 r. kojarzy się przede wszystkim ze zwycięstwem Wilhelma Zdobywcy nad królem angielskim Haroldem Godwinsonem pod Hastings 14 października i zajęciem całej Anglii przez Normanów. Jednak trzy tygodnie wcześniej tenże Harold zadał klęskę innym najeźdźcom – norweskim wikingom z Haraldem Srogim na czele – którzy wylądowali niedaleko Yorku w północno-wschodniej Anglii. Około 10 tys. ich wojowników rozbiło 20 września pod Fulford słabsze siły tamtejszych earłów (możnowładców) wiodących fyrd (pospolite ruszenie), ale już 25 września Harold z kilkunastoma tysiącami zbrojnych przebył 300 km i zaskoczył Norwegów pod pobliskim Stamford Bridge.

Anglosasi rozbili oddziały wroga na zachodnim brzegu rzeki Derwent, ale do jego głównych sił na wschodnim brzegu wiodł most. A tu potężny wiking kładł trupem Anglika za Anglikiem, aż ktoś z łodzi przebił go włócznią od dołu. Na wschodnim brzegu wojownicy Harolda tak długo i bezskutecznie starali się przełamać wrogą „ścianę tarcz”, aż wikingowie uznali to za oznakę słabości i sami ruszyli do ataku... niszcząc swój szyk. Wkrótce Anglosasi zaczęli zwyciężać. Harald Srogi sam zabijał wrogów i „ani hełm, ani zbroja nie mogły wytrzymać jego uderzeń”. Ale król Norwegii zginął ugodzony strzałą w gardło, a jego armia poszła w rozsypek.

Fascynująca jest opowieść o tej zapomnianej bitwie i o wcześniejszych wyprawach wikingów na Wyspy Brytyjskie. ©©

Maciej Rosalak



CEZARY NAMIRSKI
„FULFORD-STAMFORD
BRIDGE”

BELLONA WW



Interwencja wojsk
Układu Warszawskiego
w Czechosłowacji

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Wspomnienia / pułkownika Pawła Szuszczyńskiego

LWP idzie do boju



Piotr Zychowicz

/ Komedia pomyłek. Tak w skrócie można nazwać drogę bojową polskiego oficera biorącego udział w inwazji na Czechosłowację w 1968 r.

Wszystko zaczęło się 20 sierpnia 1968 r. Jednostka ppor. Pawła Szuszczyńskiego znajdowała się w obozie polowym w Sudetach, w pobliżu granicy z Czechosłowacją. Panowała monotonia.

Część żołnierzy się opalała, inni słuchali „wykładów politycznych”.

Nagle rozległy się krzyki:

– Alarm! Alarm bojowy! Wszyscy do wozów!

Żołnierze chwycili broń i rzucili się w stronę samochodów. Sformowano kolumnę, która ruszyła na południe. Kompania inżynierjno-drogowa, w której służył Szuszczyński, została podporządkowana dowódcy 25. Pułku Zmechanizowanego. Wkrótce pojazdy przejechały obok czechosłowackiego słupa granicznego i rozbitego w drzazgi szlabanu.

Od pierwszego dnia interwencji udział był trapiący usterkami pojazdów. Wsiadały hamulce, wyczerpywały się akumulatory, dochodziło do awarii silnika. W efekcie ciężarówka typu KrAZ, którą jechał ppor. Szuszczyński, rozpoczynała „wojnę”, ciągnąc za sobą

na lince inny pojazd. Swoje przeżycia oficer opisał w wydanych właśnie wspomnieniach „Przepraszam Czechów i Słowaków”:

Kolejna mijana wioska wyglądała podobnie do poprzedniej. Typowy „socjalistyczny” charakter. Szarość, równość, radiofonizacja, jeden sklep i rzucająca się w oczy bieda. Samotny mężczyzna stojący na środku wioski trzymał w ręku jakieś kartki, które usiłował wręczyć przejeżdżającym kierowcom. Poleciłem Sawce zatrzymać się i, nie schodząc ze stopni kraza, wziąłem od Czecha kartkę. Zapisana łamaną polszczyzną zawierała protest przeciwko wkroczeniu obcych wojsk do jego kraju.

Samochód Szuszczyńskiego daleko jednak nie ujechał. Kawałek za wioską młody oficer został zatrzymany i steroryzowany pistoletem przez majora LWP! Grożąc, że wpakuje mu kulę w łeb, major kazał mu wziąć na hol popsuty transporter opancerzony. Był to pojazd typu BTR

z trzema długimi antenami na dachu – wóz dowodzenia dowódcy pułku.

Ciągnąc ten złom, Szuszczyński wjechał do Opawy. W mieście wkraczające oddziały powitane zostały przez opustoszałe ulice i napisy: „Polacy zdrajcy”, „Faszyści”, „Warszawa 400 km”. Czesi w jasny sposób dawali wyraz swoim uczuciom. Polaków niosących „bratnią, socjalistyczną pomoc” uważali za najeźdźców, okupantów i ługusów Sowietów.

Nagle błysnęło i trzasnęło. Szuszczyński zobaczył za swoim samochodem snop iskier. Co się stało? Czyżby polska kolumna została zaatakowana? Skądże! Geniusze z wozu dowodzenia zapomnieli położyć anteny, które zahaczyły o znajdujące się pod napięciem druty tramwajowe. Załoga transportera wyskakiwała teraz w panice na zewnątrz, a ze środka btr wydobywały się kłęby dymu. Smród stopionych kabli nie pozostawiał wątpliwości – spaliły się radia.

Kolejnym miastem, przez które przeciągał oddział LWP, był Ołomuniec. Znowu to samo. Wrogie napisy i wrogie spojrzenia ludności. Co ciekawe, w mieście znajdowała się jednostka armii czechosłowackiej. Żołnierze LWP nie byli pewni, czego się spodziewać. Czy dojdzie do bitwy? Ku swojemu zdumieniu i zażenowaniu wkrótce przekonali się, że Czesi – używając młodzieżowego języka – po prostu ich „olali”.

Za ogrodzeniem jednostki – wspomina Szuszczyński – kilkunastu żołnierzy w sportowych strojach spokojnie rozgrywało mecz siatkówki. Kompletnie nie interesowali się tym, że obok dzieje się coś, co powinno wzbudzić ich niepokój. Przecież obce wojsko porusza się ulicami ich miasta! Żaden z żołnierzy nawet na chwilę nie oderwał oczu od piłki. Na ogrodzeniu koszar zawieszono były transparenty z napisami: „Nie potrzebujemy waszej pomocy!”, „Wróćcie do Moskwy!”, „Wróćcie do Warszawy!”, „Samy sobie budujecie socjalizm!”.

Najpoważniejszą „bitwą”, jaką w trakcie „wojny w Czechosłowacji” stoczył młody oficer, była bitwa z... „rozwścieczoną babą”. A było to tak. Kraz w Ołomuńcu nie wyrobił się na zakręcie i wyrzucił transportem opancerzonym (którego cały czas ciągnął na linie) w róg kamienicy. Pech chciał, że było to kino. Grupa wściekłych, z powodu przerwanej seansu, czeskich kinomanów wybiegła na zewnątrz niczym... „rój os”.

Oddajmy głos Pawłowi Szuszczyńskiemu, który w taki sposób opisał bitwę:

Tłum otoczył samochód. Posypały się kamienie. Przed pojazdem, nie wiadomo skąd, pojawiła się kilkudziesięcioletnia otyła i agresywna kobieta. Oparła swoje tłuste ręce o zderzak krosa i próbowała go pchać. Jej poczynaniom towarzyszył aplauz zebrałego tłumu. Spojrzałem na Sawkę. Strach w jego oczach mówił sam za siebie. Na stopnie samochodu wskoczyło kilku młodych chłopaków. Jakaś ręka chwyciła mnie za rękaw munduru. Szarpnąłem, uwalniając się z uchwytu.

Spoglądając w kierunku Sawki, błyskawicznie wyjąłem pistolet. Sawka, widząc to, puścił kierownicę i chwycił za karabin.

– Sawka, naprzód! – ryknąłem z całej siły.

– Naprzód! Po babie!

Widząc jego niezdeterminowanie, skierowałem łufę w jego kierunku. – Naprzód! – krzyknąłem raz jeszcze.

Sawka zareagował.

Baba uznała, że nie chce zostać przejechana przez ciężarówkę, dała za wygraną i zeszła z drogi. Żołnierze LWP ruszyli do przodu i wyszli cało z opresji. Jak jednak pisze autor wspomnień – gdy musieli po raz kolejny przejechać przez Ołomuniec, ogarniała ich „groza”.

Oddział Szuszczyńskiego w swoim triumfalnym pochodzie przez Czechosłowację zdobył łupy wojenne. Ponieważ akumulatory w ciężarówkach były stare i cały czas wysiadały, dziarscy polscy wojacy ukradli nowe akumulatory ze stojących przy drodze czeskich kombajnów. Przy okazji zawięli również porządną, skórzany pas napędzający. Był to wielki triumf, bo pasy, w które były wyposażone wojska zmechanizowane LWP, były parciane i cały czas się rwały.

Wspomnienia „Przepraszam Czechów i Słowaków” zostały napisane w sposób lekki, z dużym poczuciem humoru. Według autora niektóre wydarzenia podczas interwencji przypominały bardziej przygody „Dobrego wojaka Szwejka” niż poważną wojnę. Ciekawe są również obserwacje polsko-czeskich różnic kulturowych. Na przykład ta, że strojem narodowym czeskich kobiet były dresy.

We wspomnieniach Pawła Szuszczyńskiego nie zabrakło jednak również scen dramatycznych:

Zupełnym zaskoczeniem było pojawienie się nagle młodej dziewczyny, która, idąc od czoła

kolumny, podchodziła do kolejnych samochodów, częstując żołnierzy papierosami – wspominał. „Ale numer! – pomyślałem. – Wśród Czechów są również tacy, którzy cieszą się z naszej militarnej pomocy”.

Dziewczyna podbiegła do kabiny stojącego przed nami samochodu i, stojąc na palcach, wyciągnęła rękę w kierunku siedzącego w kabinie żołnierza. W tym momencie, nie wiadomo skąd, na chodniku pojawił się dojrzały mężczyzna. W ułamku sekundy znalazł się z tyłu przy dziewczynie i otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Czeszka krzyknęła i upadła na kolana. Paczka papierosów wypadła jej z ręki i rozsypała się w powietrzu.

Nieprzyjemną przygodę przeżył również sam Szuszczyński. Już po zakończeniu interwencji, gdy jego jednostka sprawowała funkcje okupacyjne, jego ciężarówkę na jednej z dróg wyprzedzała czeska ciężarówka wojskowa. Czeski kierowca z impetem uderzył w bok ciężarówkę LWP – niewiele zabrakło, a pojazd runąłby w przepaść.

Wspomnienia Pawła Szuszczyńskiego – który obecnie jest pułkownikiem w stanie spoczynku – czyta się świetnie. Jest to kapitalna relacja świadka wydarzeń. Na szacunek zasługuje postawa oficera. Pisze on, że bardzo żałuje udziału w interwencji. W 1968 r., jako zindoktrynowany młody człowiek, uważał, że atak na Czechosłowację jest słuszny. Po latach zrozumiał jednak, że był to niedopuszczalny akt agresji. Swoją książkę nazywa „rachunkiem sumienia”.

Odpowiedzialność za tamto niegodziwe uczestnictwo w okupacji Czechosłowacji obciąża moje sumienie – pisze Szuszczyński. – Nie było mi łatwo rozmawiać o tym zdarzeniu, nosiłem bowiem i nadal noszę znamię najeźdźcy, okupanta. Próby szukania usprawiedliwienia były bezskuteczne. Często dochodziła do mojej świadomości myśl, że moje oddanie tamtej sprawie było głupie i ślepe.

Zresztą tytuł mówi wszystko – „Przepraszam Czechów i Słowaków”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PAWEŁ SZUSZCZYŃSKI
„PRZEPRASZAM CZECHÓW I SŁOWAKÓW
(65 DNI OPERACJI »DUNA«)»

IPN



**Rafał A.
Ziembkiewicz**

/ Felieton

Podział ponad podziałami

W styczniu minęło 20 lat istnienia Platformy Obywatelskiej, w maju tyle samo stuknie Prawu i Sprawiedliwości. Zdążyło dorosnąć pokolenie, które praktycznie nie zna już innej polityki niż ta oparta na wzajemnej wrogości tych dwóch partii czy wręcz dzisiaj – politycznych plemion. I ciężko mu uwierzyć, że u zarania PO i PiS postrzegano jako partie bratnie.

Platforma zmieniała się przez te lata bar dziej. Pierwotnie miała w ogóle nie być partią, ale „ruchem obywatelskim” – stąd nazwa, która od dawna już nie ma żadnego sensu. Co więcej, właśnie walkę z partiami, z „partio-kracją”, głosiła jako swój główny cel – miała ją prowadzić, wprowadzając większością ordynację wyborczą i zasadę powszechnego rozstrzygnięcia spornych spraw w obywatelskim referendum. Jako „ruch” obiecywała też, że nie aparat partyjny, ale sami obywa-

tele będą w swej „platformie” decydować o wszystkim – podobnie jak w partiach amerykańskich, decydując w każdym okręgu o kandydatach na listy wyborcze w drodze prawyborów i w taki sam sposób wskazując przywódców. Miało zresztą nie być w niej żadnego prezesa czy wodza, na początku liderów ugrupowania było trzech. Dopiero potem Donald Tusk jednego po drugim powykańczał konkurentów, tak jak początkujący Stalin (zresztą jego metodą, niszcząc najpierw jednego rękami drugiego, potem drugiego rękami trzeciego, a samemu odstawiając zniesmaczone wewnątrzpartyjnymi sporami niewiniątko). Wszystko zmieniło się do tego stopnia, że kiedy 15 lat później pojawił się Paweł Kukiz i zapowiedział dokładnie to samo, co zapowiadała PO, mało kto nawet zauważył podobieństwo.

Prawo i Sprawiedliwość miało od razu jednego, jasno wskazanego wodza i założy-

ciela – był nim... A nie, nie, wcale nie Jarosław Kaczyński, tylko jego brat, który zdobył sobie wtedy wielką popularność jako minister spraw wewnętrznych w rządzie Jerzego Buzka, bo naród zobaczył w nim twardego, zdecydowanego szeryfa, który przestanie się cackać z bandytami, tylko się ostro zabierze do ich karania. Także w przypadku tej partii nazwa sprzed 20 lat jest dziś reliktem, bo kwestie rozliczania, oczyszczania i uzdrawiania życia publicznego dawno zeszły na daleki plan.

Nikt już dziś nie pamięta, że do swych pierwszych wyborów samorządowych w roku 2002 PO i PiS wystąpiły wspólnie, w koalicji. Niewiele więcej – że po wyborach parlamentarnych 2005 r. spodziewano się powszechnie, że stworzą koalicję rządową. To się wydawało optymalnym rozwiązaniem: dwie partie postsolidarnościowe, zrywające z Okrągłym Stołem i obiecujące lustrację oraz dekomunizację (tak, PO wczesnego Tuska, zanim podjął on

**/ Nikt już dziś nie
pamięta, że do swych
pierwszych wyborów
samorządowych
w 2002 r. PO i PiS
wystąpiły w koalicji...**

decyzję ubiegania się o funkcję w UE, taka właśnie była!) wydawały się reprezentować dwa nurty tego wielkiego ruchu polskiego odrodzenia. Jedna bardziej modernizacyjna, liberalna, szukająca wzorców nowoczesności na Zachodzie, druga oddana naszej patriotycznej tradycji, konserwatywna, po piłsudczykowski socjalistyczna, „propaństwowa”. To miało sens.

Jednak, oczywiście, z punktu widzenia liderów więcej sensu miało postawić na podział – podział, którego nie wymyślili, rodem z PRL, zaborów, a w istocie jeszcze czasów stanisławowskich. Dlatego stonowiący samograj i pozwalający, za cenę poszczucia Polaków na siebie i porzucenia pierwotnych, solidarnościowych ideałów, praktycznie opanować całą scenę polityczną na długie lata.

Ciekawa historia. Godna książki, której na razie nikt nie napisał. @@

/ Felieton



Piotr Semka

Zmiany, zmiany, zmiany...

W Stanach Zjednoczonych każdy nowy prezydent po objęciu urzędu wprowadza zmiany w wystroju Gabinetu Ovalnego. „Oval Office” to serce Białego Domu. Miejsce najważniejszych spotkań, ale i swoista witryna wizji historii USA głowy państwa. Jak na tym tle wygląda nowy wystrój zarządzany przez Joe Bidena?

Pojawiły się nowe popiersia – ukłon w stronę społeczności czarnych, Latynosów, Indian i Amerykanów o korzeniach azjatyckich. Pierwsza rzeźba przedstawia Rosę Parks (1913–2005), działaczkę na rzecz równouprawnienia rasowego. To właśnie ona 1 grudnia 1955 r. wsiadła do autobusu komunikacji miejskiej w mieście Montgomery w Alabamie. Zgodnie z przepisami segregacji rasowej określona liczba rzędów siedzeń z przodu autobusu zarezerwowana była dla białych pasażerów. Czarnoskórzy mogli siadać tylko na miejscach w tyle wozu. Niepisana zasada było to, że w razie zajęcia przez białych pasażerów wszystkich „białych” miejsc Murzyni ustępowali miejsca kolejnym białym osobom. Ponieważ tak właśnie zdarzyło się tamtego dnia, kierowca kazał Rosie Parks i trzem innym Murzynom ustąpić miejsca białym. Wszyscy oprócz Rosy posłuchali. Aresztowanie aktywistki wywołało fale protestów, ponad roczny bojkot miejskich autobusów przez kolorowych, rozpatrzenie sporu przez Sąd Najwyższy i wreszcie werdykt z 1956 r. uznający segregację rasową za niekonstytucyjną.

Na stoliczkach obok prezydenckiego biurka Bidena ustawiono biust Lincolna, a nad nim impresjonistyczny obraz „Aleja w deszczu” Childe Hassama z 1917 r. Za czasów Trumpa wisiał tu portret Lincolna, za to na dole ustawiono rzeźbę głowy brytyjskiego premiera Winstona Churchilla. Był to prezent od premiera Tony’ego Blaira dla prezydenta George’a Busha juniora. Bush umieścił rzeźbę na lewo od swego biurka. Potem Barack Obama

/ Rzeźbę Churchilla umieścił w Gabinetcie Ovalnym prezydent Bush, Obama ją usunął, a Trump kazał rzeźbę ustawić na nowo. Teraz Biden znów Churchilla usunął. Rozdrażniło to prasę w Londynie...

po objęciu władzy kazał głowę Churchilla usunąć z gabinetu. Gdy zastąpił go Donald Trump, kazał rzeźbę ustawić na nowo. Teraz Joe Biden znów Churchilla usunął.

Spotkało się to z rozdrażnionymi reakcjami prasy w Londynie, ale oficjalnie rząd Borisa Johnsona pytany o tę sprawę dyplomatycznie ogłosił, że każdy prezydent USA ma prawo urządzać swój gabinet tak, jak uważa za stosowne.

Po prawej od biurka Biden nakazał powiesić portret Benjaminą Franklina

pędzla Josepha Duplessisa. Tyle że za Trumpa wisiał tu portret prezydenta Andrew Jacksona. Czym on naraził się Bidenowi? Według lewicy Jackson prowadził politykę twardej ręki wobec Indian i akceptował niewolnictwo.

Pod rzeźbą Franklina – głowa Indianina z plemienia Apaczów Chiricahua autorstwa Allana Housera, która była własnością Daniela Inouye’a, pierwszego senatora USA o japońskich korzeniach. Za Trumpa stała w tym miejsca rzeźba kowboja dłuta Frederica Remingtona – piewcy legendy Dzikiego Zachodu. Za Bidena kowboja zesłano na półkę regału z książkami.

Nowy element wystroju Gabinetu Ovalnego Bidena ustawiono za plecami fotela prezydenta. Jest to popiersie Césara Chaveza, lidera związku latynoskich pracowników rolnych (1927–1993).

Amerykańskie media zauważyły też nowy układ portretów nad kominkiem. Za Trumpa nad paleniskiem wisiał spory portret Waszyngtona i po bokach wizerunki Thomasa Jeffersona i Alexandra Hamiltona – adiutanta Waszyngtona.

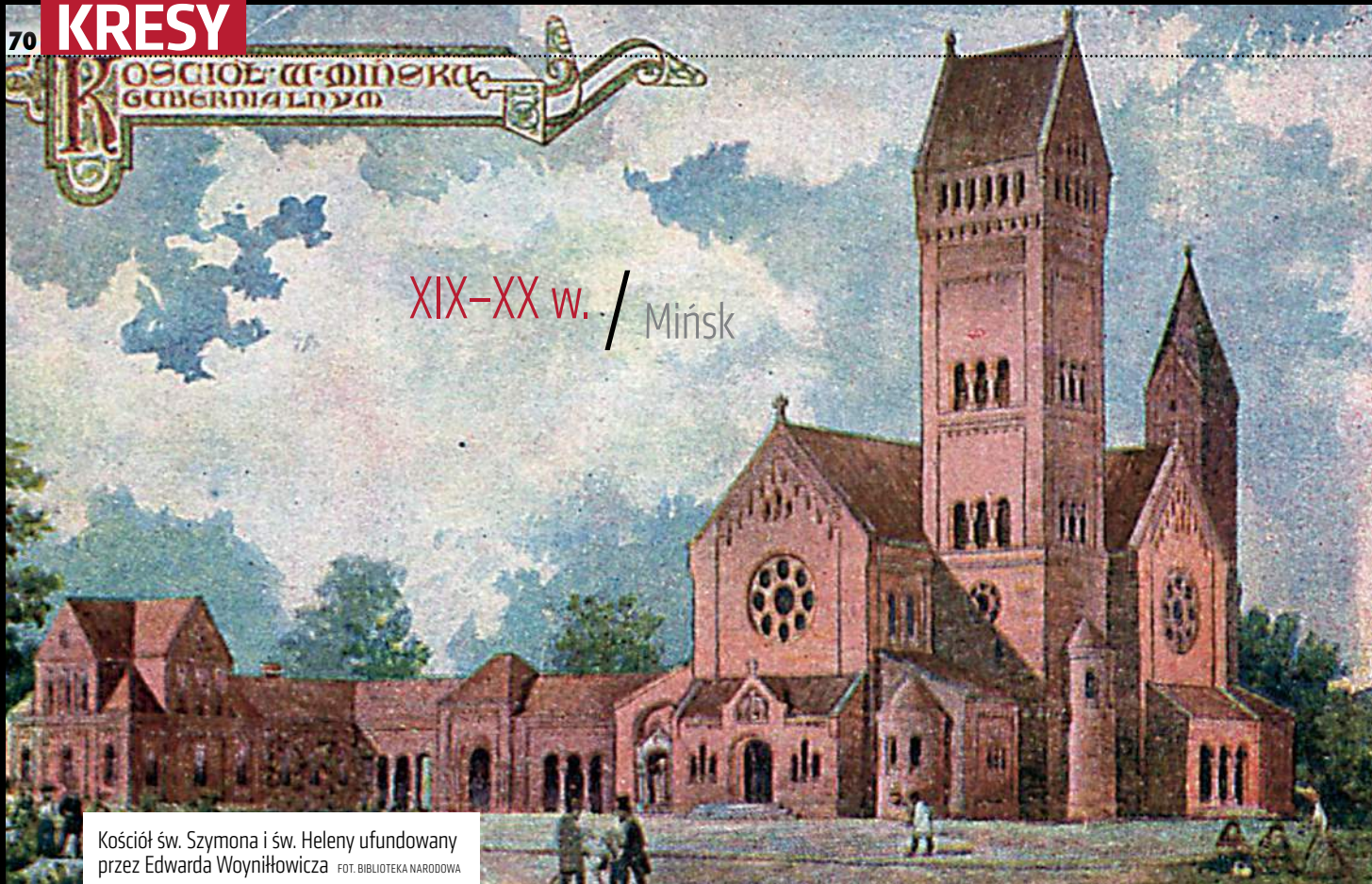
Teraz portretów jest pięć. W centrum wisi Franklin D. Roosevelt. Dodano też portrety Waszyngtona i Lincolna. Pod portretami, za lampami po lewej popiersie Martina Luthera Kinga, po prawej Robert F. Kennedy.

Wszystkie te rozszady drobniawo opisały największe amerykańskie dzienniki. Dlaczego? Ponieważ Amerykanów interesuje, jak każda zmiana odzwierciedla wrażliwość historyczną poszczególnych prezydentów, ale i to, co jest stałe.

I nikt nie uważa, że jest to mało ważne. ©©



XIX–XX w. / Mińsk



Kościół św. Szymona i św. Heleny ufundowany przez Edwarda Woyniłłowicza FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Polacy w mieście nad Świsłoczą



Tomasz Stańczyk

/ Sto lat temu w Rydze Polska wyrzekła się Mińska, choć były szanse, by miasto znalazło się w granicach II Rzeczypospolitej

Dawna stolica województwa przedrozbiorowej Rzeczypospolitej była za czasów rosyjskich miastem gubernialnym, o wielonarodowym charakterze. Dominowała ludność żydowska (nieco ponad 50 proc. mieszkańców), Rosjanie stanowili jedną trzecią mieszkańców, Polacy – 15–20 proc. Wielokulturowego obrazu miasta dopełniali Białorusini i półtoratysięczna społeczność tatarska.

Wybitnie zasłużył się dla rozwoju miasta Karol Hutten-Czapski – jego prezydent w latach 1890–1901. Mińsk zawdzięczał temu rzutkiemu prezydentowi tramwaje konne, elektrownię, centralę telefoniczną, rozbudowę wodociągów,

dokończenie budowy teatru miejskiego, rzeźnię, szpital położniczy, schronisko dla bezdomnych i kuchnie dla bezrobotnych. Czapski założył Towarzystwo Miłośników Sportu, Towarzystwo Ochrony Kobiet Miasta Mińskiego oraz Mińskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Rolniczych. W 1901 r. Czapski zrezygnował z urzędu ze względu na stan zdrowia i kilka lat później zmarł.

Lata pierwszej wojny

W związku z formowaniem się I Korpusu Polskiego na ziemiach białoru-

skich powstało Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Dowborczykami opiekowało się Koło Polek im. ks. Józefa Poniatowskiego, które zaopatrywało ich we wszystko, co było potrzebne, a czego im brakowało – samych rękawiczek dostarczono 2187 par. Panie zapewniały też żołnierzom książki, po część z nich pojechały do rozgrabionego dworu. Miejsce władze bolszewickie paliły nimi w piecach.

Po rozpoczęciu w styczniu 1918 r. prób rozbrajania oddziałów I Korpusu przez wojsko bolszewickie powstało Pogotowie Wojenne Kobiet. Panie zajmowały się pomocą dla żołnierzy z rozproszonych przez bolszewików oddziałów, zaopatrywały ich w dokumenty, ukrywały oficerów, których z zajądłością ścigano. Opieką nad uwięzionymi przez bolszewików zajmowały się mińskie skautki pod wodzą Stanisławy Kuszelewskiej.

Na wieść o bolszewickim przewrocie w Piotrogrodzie i obaleniu rządu tymczasowego mińska Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich ogłosiła, że przejmuje władzę w mieście. Na początku grudnia 1918 r. doszło do incydentu z udziałem bolszewików i dowborczyków. Bolszewicka komisja w asyście żołnierzy wtargnęła do polskiej mleczarni Ignatycze w celu rekwizycji żywności. Zawiadomiony o tym gen. Dowbor-Muśnicki wysłał szwadron ułanów, by zapobiegł konfiskacie. Komisję wyrzuciono z lokalu, a żołnierzy rozbrojono. Gdy ułani wracali, na ulicy Zacharzewskiej, niedaleko zaułku, w którym znajdowała się siedziba bolszewickich władz, padły strzały, przypadkowymi ofiarami stali się dwaj żołnierze rosyjscy. Bolszewicy oskarżyli ułanów o ich śmierć, nie kryli wrogości wobec dowborczyków, rozlewały się okrzyki: „Śmierć polskim panom, śmierć białogwardzistom!”. Incydent w Ignatyczach skończył się na żądanie Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich usunięciem oddziału ułanów z Mińska, który odtąd zaczął stacjonować w Dukorze.

Z rąk do rąk

Polscy konspiratorzy ze Związku Broni zmobilizowali ok. 350 słabo wyposażonych w broń ludzi. Kierownictwo akcji oswobodzenia miasta, rozpoczętej 19 lutego 1918 r., objął sztabkapitan

Ignacy Matuszewski, żołnierz I Korpusu. Włączyli się w nią także harcerze. Bolszewicy żołnierze nie wykazywali chęci walki, bez przeszkód opanowano duży skład broni.

Na dworcu kolejowym znajdowały się jednak tysiące żołnierzy. Postanowiono fortem pozbyć się tłumów koczujących na stacji. Znalazły się niemieckie mundury i czapki, w które przebrało się kilku uczestników wyprawy na dworzec. Porucznik Mosiewicz nałożył na głowę pikielhaubę. Zajechano na dworzec 20 lutego rano, a tam Mosiewicz surowym tonem oświadczył, że w ciągu



Karol Hutten-Czapski,
prezydent Mińska FOT. WIKIMEDIA

trzech godzin wojsko bolszewickie musi opuścić Mińsk, gdyż w przeciwnym razie stacja kolejowa zostanie ostrzelana przez niemiecką artylerię. Mosiewicz zażądał też, by eszelon pozostał na stacji. „Ależ ekselencjo, jak będziemy podróżować bez pociągu?” – zapytał komisarz. „To dla mnie obojętne. Mogą łobuzy iść pieszo” – odpowiedział rzekomy niemiecki oficer (M. Wańkowicz, „Strzępy epopei. Szpital w Cichinicach”).

Następnego dnia do Mińska wkroczyli Niemcy i przejęli rządy w mieście. W listopadzie 1918 r. do miasta dotarła radosna wieść z Warszawy, że Józef Piłsudski objął władzę, a Niemcy są rozbrajani. W Mińsku jednak Polacy chcieli, by żołnierze niemieccy jak najdłużej stacjonowali w mieście, bo tuż za progiem znajdowała się Armia Czerwona. Zaczęto tworzyć

mińską samoobronę. Liczyła ok. tysiąc ludzi, byłych żołnierzy I Korpusu Polskiego i rodaków z armii rosyjskiej. Nie była w stanie przeciwstawić się nadciągającym oddziałom Armii Czerwonej. Zapadła więc decyzja o wyjściu członków samoobrony z miasta; dołączyli oni następnie do Dywizji Litewsko-Białoruskiej.

Po ewakuacji wojsk niemieckich do Mińska wkroczyła 10 grudnia 1918 r. Armia Czerwona. Bolszewicy zaczęli wprowadzać swoje porządki, także obyczajowe, w szkołach.

Polski nauczyciel, opiekun internatu, wspominał: „Przysłano siedmiu komisarzy i jedną Żydówkę, która dziewczynki kazała umieścić w sypialniach z chłopcami, bo proletariat nie uznaje różnicy płci. Przysłano szumowiny uliczne, które nam ogołociły ściany z obrazów i krzyża” (Z.J. Winnicki, „W Mińsku Litewskim, mieście dawnej Rzeczypospolitej”).

Biskup Zygmunt Łoziński protestował przeciw usuwaniu religii ze szkół i wzywał rodziców, by wsparli protest. Jawnie występował przeciwko „bolszewickim świętokradztwom”, dawał temu wyraz w kazaniach, a niedzielne msze kończył, intonując „Boże, coś Polskę”. Aresztowano niemal wszystkich księży. Biskup Łoziński chciał zostać z wiernymi, jednak przekonano go, by się ukrył.

Gdy w lipcu 1919 r. wojsko polskie zbliżało się do Mińska, dokonywano egzekucji Polaków.

W jednej z nich zginął Wincenty Orzeszko, kuzyn Elizy Orzeszkowej – rozstrzelano go wraz z 24 innymi Polakami w Łoszycy pod Mińskiem.

Mińsk został wyzwolony 8 sierpnia 1919 r., dwa dni przed zapowiedzianymi przez bolszewików aresztowaniami polskiej elity miasta. Ulga i entuzjazm Polaków były ogromne. Po zakończeniu defilady starsza pani, której mąż był na „bolszewickiej czarnej liście”, podeszła do gen. Stanisława Szeptyckiego i pocałowała go z wdzięczności w rękę. Generał po chwili konsternacji odwzajemnił się kobiecie takim samym pocałunkiem (S. Rostworowski, „Listy z wojny polsko-bolszewickiej”, Warszawa 1995).

19 września 1919 r. do oswobodzonego od bolszewików Mińska przybył Józef Piłsudski. Pierwsze kroki skierował do katedry, na nabożeństwo dziękczynne. „Wielu zbierało grudki ziemi, po której stąpał honorowy gość” – zapamiętał świadek wizyty Naczelnika Państwa. ■

Минск, Захарьевская ул.



Zacharzewska, główna ulica
Mińska, i pałac Czapskich na
pierwszym planie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Sacharjevskastr.

Podczas wizyty Naczelnika Państwa w Mińsku Aleksander Pruszyński, prezes Narodowego Komitetu Białoruskiego, zwrócił się do niego z prośbą o wyzwolenie reszty ziem białoruskich. Piłsudski, odpowiadając mu w tym samym języku, w jakim mówił Pruszyński, czyli po białorusku, obiecał Białorusinom autonomię i swobodę rozwoju kultury narodowej. „Wydałem ogłoszenie – mówił w Mińsku Piłsudski – że ziemi tej nic gwałtem narzucone nie będzie, że ziemia ta sama rozstrzygnie, jak żyć ma i jakim prawem się rządzić”.

W lipcu 1920 r., przed nadejściem Armii Czerwonej, wielu Polaków uciekło z Mińska.

Biskup Łoziński odmówił wyjazdu, choć go na to namawiano, a wręcz błagano na klęczkach, ofiarowano miejsce w samochodzie. Postanowił jednak pozostać z wiernymi.

„Przy odejściu ostatniego pociągu własnoręcznie pomagał tłoczącej się publiczności, pocieszając ich razem nadzieją, że kiedyś na tym samym miejscu witać ich będzie, a gdy pociąg ruszył, zaintonował »Boże, coś Polskę«” (W. Czechtott, „Diecezja mińska i jej pasterz biskup Zygmunt Łoziński”).

Decyzja Grabskiego

Podczas rokowań w Rydze w sprawie zawarcia pokoju negocjatorzy polscy byli podzieleni co do tego, czy żądać od

bolszewickiej Rosji Mińska i Mińszczyzny. Opowiadało się za tym tylko dwóch z nich: Leon Wasilewski, faktyczny przedstawiciel Józefa Piłsudskiego, oraz prof. Witold Kamieniecki.

Zdecydowanie przeciwny był Stanisław Grabski. Twierdził, że prawosławna ludność ziem białoruskich czuje się bliższa Rosji, białej czy czerwonej, niż Polsce, więc losy federacji z Białorusią byłyby niepewne. Uznał, że bardziej katolicką część ziem białoruskich należy wcielić do Polski, a tę bardziej prawosławną zostawić Rosji. Obawiał się, że wraz z postępem oświaty zaczęta narastać narodowe dążenia Białorusinów. Zgodnie z endeckimi koncepcjami Grabski uważał, że Polska nie może żądać zbyt daleko wysuniętej na wschód granicy, gdyż nie będzie w stanie ani zasymilować Białorusinów i Ukraińców, ani zapanować nad ich dążeniami narodowymi.

„Gdy argumenty te przedstawiłem Barlickiemu i Kiernikowi – wspominał Grabski – uznali oni również, że wbrew wszelkim względom uczuciowym trzeba zrezygnować z włączenia ziemi mińskiej do Polski. I tak też zdecydowała większość naszej delegacji” (S. Grabski, „Pamiętniki”).

Niektórzy uczestnicy rozmów w Rydze uważali, że był to błąd, gdyby bowiem naciśnięto na bolszewicką delegację, Moskwa zgodziłaby się na pozostawienie Mińska po stronie polskiej. Nie podjęto takiej próby, a Grabski do swojego zdania przekonał większość członków delegacji. Aleksandr Ładoś, uczestnik rozmów ryskich, uważał, że

„włączenie do Polski Mińska wydawało się rzeczą zupełnie przeprowadzalną i decyzja zależała wyłącznie od woli delegacji polskiej, bo Sowiety pod naciśnięciem działań wojennych były gotowe na wszelkie ustępstwa”.

Kuropaty – białoruski Katyń

Na grzebieniu ktoś wydrapał wstrząsające słowa: „Ciężkie minuty więzienia. Mińsk 25.04.1940. Myśl o was doprowadza mnie do rozpacz. 26 IV. Rozpłakałem się. Ciężki dzień” (J. Goerlik, „Kuropaty. Polski ślad”). Grzebień, a także medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej znaleziono podczas prac ekshumacyjnych prowadzonych na przełomie lat 80. i 90. minionego wieku w leśnym uroczysku Kuropaty na skraju Mińska. W latach 1937–1940 było to miejsce rozstrzeliwań Białorusinów i Polaków z mińskiego więzienia. Nie jest znana liczba ofiar stalinowskiego terroru na Białorusi w tamtych latach. Według białoruskich władz było to 7–30 tys. osób, historycy mówią nawet o 250 tys. Teren Kuropat nie został dotychczas metodycznie przebadany, nie jest więc możliwe ustalenie choćby przybliżonej liczby rozstrzelanych.

W Kuropatach zabijano m.in. ofiary operacji polskiej NKWD (1937–1938), rzekomych polskich szpiegów, członków nieistniejących w rzeczywistości organizacji powstańczych, w tym Polskiej Organizacji Wojskowej. Dla NKWD Polak był synonimem szpiega i kontrrewolucjonisty.

Na Białorusi z „paragrafu polskiego” aresztowano 9 tys. Polaków i 10 tys. Białorusinów, większość z nich rozstrzelano, resztę wysłano do łagrów.

Operacja polska zakończyła się w 1938 r. Dwa lata później Kuropaty stały się miejscem egzekucji przynajmniej części Polaków z północno-wschodnich terenów Rzeczypospolitej zaanektowanych przez Związek Sowiecki. Były to ofiary decyzji sowieckiego Biura Politycznego z 5 marca 1940 r., na mocy której rozstrzelano także polskich oficerów. Ławrientij Beria pisał o więzionych byłych pracownikach policji polskiej, wywiadu, członkach „nacjonalistycznych, kontrrewolucyjnych partii”, organizacji powstańczych: „Wszyscy są

zatwardziałyimi wrogami władzy sowieckiej, pełnymi nienawiści do ustroju sowieckiego”.

Do Mińska, a stamtąd na rozstrzelanie do Kuropat, i do innych miejsc przewieziono Polaków więzionych m.in. w Lidzie, Grodnie, Baranowiczach, Białymstoku. Część z nich była członkami konspiracyjnych antysowieckich organizacji.

Białoruska lista katyńska to 3870 polskich obywateli. Ich nazwiska pozostają nieznane, gdyż listy tej – w przeciwieństwie do listy ukraińskiej – jak dotąd nie udało się odnaleźć ani w archiwach rosyjskich, ani w białoruskich.

Do dziś Kuropaty, miejsce białoruskiej i polskiej martyrologii, nie zostały godnie upamiętnione. Krzyże postawione z inicjatywy społecznej były usuwane. Władze białoruskie nigdy jednoznacznie nie potępiły zbrodni stalinowskich. Kuropaty stały się natomiast miejscem ważnym i otoczonym pamięcią przez białoruską opozycję.

Marsz śmierci

Do dwóch mińskich więzień przywzono aresztowanych polskich konspiratorów. Za kratami zmarł płk Jerzy Dąmbrowski, słynny zagończyk, dowódca antysowieckich oddziałów partyzanckich w 1919 r. i 20 lat później. Grażyna Lipińska, która znalazła się w więzieniu za udział w obronie Grodna przed Armią Czerwoną we wrześniu 1939 r. i pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej, wspominała: „Na śledztwie wrywano mu paznokcie, połamano ręce, odbito nerki, zgnieciono klatkę piersiową. Przez kilka tygodni pułkownik Dąmbrowski konał w szpitalu więziennym” (G. Lipińska, „Jeśli zapomnę o nich...”).

W nocy z 22 na 23 czerwca 1941 r., zaraz po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, zaczęło się rozstrzeliwanie więźniów skazanych za „działalność kontrrewolucyjną” i sabotaż. Niektórych uśmiercano, każąc im jeść zatrutą żywność.

24 czerwca 1941 r. rozpoczął się marsz śmierci pozostałych więźniów. Na trakcie mohylewskim konwojenci NKWD strzelali do słabnących. „Kto zostawał, ginął od kuli. Cały czas w tyle kolumny rozlegały się strzały. Zabici leżeli również na drodze, którą przechodziliśmy” – wspominał jeden ze świadków (J. Stankiewicz-



Józef Piłsudski w Mińsku, wrzesień 1919 r. FOT. WIKIPEDIA



Kuropaty, miejsce masowych egzekucji dokonywanych przez NKWD FOT. WIKIPEDIA

-Januszczak, „Marsz śmierci. Ewakuacja więźniów z Mińska do Czerwieni 24–27 lipca 1941 r.”, Warszawa 1999).

Enkawudzista „ulitował się” nad 70-letnią panią Borkowską z Lidy, która upadła, nie mając siły iść dalej. Kopnął ją i powiedział, że szkoda dla niej kuli, bo i tak zdechnie.

W kolumnie więźniów był Janusz Prawdzic-Szlaski, komendant Okręgu II ZWZ. Miał wyrok śmierci i szczęście, że nie padł ofiarą mordów w więzieniu. Obok niego szła 12-letnia dziewczyna. Zapytał ją, za co została skazana. „Z wielką powagą i zdziwieniem odpowiedziała, że za kontrrewolucję i sabotaż” (J. Prawdzic-Szlaski, „Nowogródzczyzna w walce 1940–1945”, Londyn 1976).

Grupę więźniów zamordowano w uroczysku Cegielnia, kilka kilometrów przed Czerwieniem (Ihumeniem), strzałami z broni maszynowej, a ciała obrzucono granatami i rozjechano samochodami. W samym zaś Czerwieniu, jak wynika z dokumentów NKWD, „ubyło według pierwszej kategorii” 500 więźniów „kontrrewolucjonistów”. Oznaczało to, że zostali rozstrzelani.

„Zawiadamiam wszystkie matki Polki, Litwinki i Białorusinki – pisała Grażyna Lipińska, uczestniczka makabrycznego marszu – że w owe dni 24, 25, 26 czerwca 1941 roku na trakcie mohylewskim padło z rąk Moskwy tysiące bezbronnych ich synów i córek”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

25 lutego 1831 r. / Największa bitwa powstania listopadowego

Dzień krwi i chwały



Maciej Rosalak

/ 190 lat temu pod Olszynką Grochowską Polacy i Rosjanie „o dwadzieścia kroków od siebie strzelali i żaden jeszcze ustąpić nie chciał; bito się bagnetami i kolbami...”

Stawką tej bitwy było: albo Rosjanie już po pierwszej batalii zajmą Warszawę i zduszą polskie powstanie, albo odeprzemy wroga spod stolicy i odzyskanie niepodległości stanie się możliwe do osiągnięcia.

W tym boju armia Królestwa Polskiego – choć mniej liczna od wroga i wspierana ogniem niemal dwukrotnie mniejszej liczby dział – udowodniła swoją wyższość nad wojskiem rosyjskim.

Przypomnijmy, że bitwę stoczono w skomplikowanej sytuacji wewnętrznej. Podchorążowie wznieśli powstanie bez planu przejęcia władzy i bez porozumienia z generalicją oraz politycznymi elitami Królestwa Polskiego. Spotkali się z ich niechęcią oraz niewiarą w powodzenie. Rząd tymczasowy został powołany po kilkudniowych wahaniach Rady Administracyjnej, a owiany legendą napoleońską gen. Józef Chłopicki został powstańczym dyktatorem. Główny cel swojej misji upatrywał jednak w zawarciu porozumienia z carem, a nie w przygotowaniu do zbrojnej z nim rozprawy.

Misja pojednawcza wysłana do cara spotkała się z jego zdecydowaną odmową. Mikołaj I odrzekł: „Nadszedł czas użycia

siły przeciwko nieznającym skruchy buntownikom i My [...] rozkazaliśmy wiernym wojskom naszym iść na buntowników”. Chłopicki podał się do dymisji, a na jego miejsce powołano nieudolnego księcia Michała Radziwiłła. 25 stycznia 1831 r. Sejm i Senat zdeponowały Mikołaja jako króla Polski. Moskwa nie zwlekała. Na czele wojsk zgromadzonych nad granicą z Kongresówką car postawił świeżo owianego sławą zwycięzcy w wojnie z Turkami gen. Iwana Dybicza (wyszkolony w Prusach oficer Hans Karl von Diebitsch) i nocą z 5 na 6 lutego 1831 r. oddziały rosyjskie wkroczyły w granice Królestwa, drogą siedlecką ruszając na Warszawę.

Sytuacja międzynarodowa wydawała się sprzyjać polskim marzeniom. Wybuch powstania ocalił rewolucyjne przemiany we Francji i w utworzonej właśnie Belgii, a Polakom sprzyjał też upadek prorosyjskiego rządu ks. Wellingtona w Anglii. Dobrą prasę sprawa polska miała też



Bój czwartaków o Olszynkę Grochowską
na obrazie Wojciecha Kossaka.
U góry: gen. Józef Chłopicki FOT. WIKIPEDIA

konieczność obrony innych strategicznie ważnych rejonów i ogromne terytorium z trudnymi do pokonania problemami logistycznymi udaremniały użycie tych wszystkich sił w jednym miejscu i czasie. Dybicz ruszył na Warszawę, prowadząc 115 tys. żołnierzy i 336 dział.

W Królestwie mieszkało 12-krotnie mniej ludzi; nieco ponad 4 mln. Jego wojsko – zorganizowane w dwie dywizje piechoty (każda po sześć dwubatalionowych pułków) oraz dwie dywizje jazdy (każda po cztery czteroszwadronowe pułki) Korpus Królestwa Polskiego liczył niepełna 30 tys. bagnietów i szabel. Artyleria dysponowała 106 działami.

Wprawdzie gen. Chłopicki z niechęcią zgodził się na mobilizację, ale presja społeczeństwa wystarczyła, aby już od 4 grudnia 1830 r. (pięć dni po rebelii podchorążych) z byłych żołnierzy tworzone w pułkach trzecie i czwarte bataliony piechoty oraz piąte i szóste szwadrony jazdy. Do Straży Bezpieczeństwa powołano mężczyzn zdolnych do noszenia broni od lat 18 do 45. Wybrano z niej kadrę Gwardii Ruchomej, która posłużyła do utworzenia w styczniu 1831 r. (w przededniu ogłoszenia detronizacji cara jako króla) Wojsko Polskie liczące 70 tys. żołnierzy. W niespełna dwa miesiące podwojono więc liczbę wojska, co pozwoliło na utworzenie kolejnych związków operacyjnych (dywizji).

Do pierwszych starć ze zbliżającymi się ku stolicy Rosjanami doszło już 7 lutego, gdy nasi ułani rozpedzili zwiadowcze pododdziały wroga w Siedlcach i Węgrowie. Pełnym zwycięstwem zakończyła się 14 lutego regularna bitwa pod Stoczkiem, gdzie idący na Wołyń korpus gen. Józefa Dwernickiego rozbił dwa pułki z kawaleryjskiej dywizji gen. Fiodora Geismara. W liście do Dybicza Mikołaj I napisał: „Stoczek jest bardzo zaszczytny dla młodego wojska Dwernickiego, tym haniebniejszy dla naszych strzelców konnych”.

Większą potyczkę stoczyła na przedpolach Warszawy 17 lutego 3. Dywizja Piechoty gen. Jana Skrzynieckiego i część 2. Dywizji Piechoty gen. Franciszka Żymirskiego z korpusem gen. Grigorija Rosena pod Dobrem. Dwa dni później 2. DP i 4. Dywizja Piechoty gen. Piotra

Szembeka walczyły z I Korpusem armii gen. Dybicza pod Wawrem. W obu przypadkach nasi dowódcy odnieśli początkowo sukcesy, zadali nieprzyjacielowi znacznie większe straty od poniesionych, ale cofnęli się. Już te pierwsze konfrontacje z wrogiem udowodniły lepsze wyszkolenie i większy zapał do walki naszych żołnierzy od wrogów. Podniosło to stan ducha armii i społeczeństwa przed zbliżającą się bitwą o stolicę w rejonie Grochowa.

20 lutego rosyjski głównodowodzący próbował wstępnym bojem zdobyć tu kluczową pozycję na drodze do Warszawy – Olszynkę Grochowską, wioskę i lasek leżące wśród udaremniających dalszy marsz mokradel. Kiedy omal sam nie dostał się jednak do niewoli, postanowił poczekać na zbliżający się po przekroczeniu Narwi pod Zegrzem korpus gen. Iwana Szachowskiego. Jego 11 tys. ludzi i 56 dział miało obejść od północy i uderzyć na główne zgrupowanie polskie.

23 lutego pod Nieporętem Szachowski natknął się na osłonowe zgrupowanie polskie: 2,7 tys. jazdy i 1,2 tys. piechoty płk. Antoniego Jankowskiego. Musiał on cofnąć się spod Nieporętu, ale w sukurs przybyła 24 lutego do pobliskiej wsi Białoleki jedna z brygad (4,2 tys. bagnietów) 1. Dywizji Piechoty, dowodzona przez gen. Kazimierza Małachowskiego. Gdy – mimo bohaterskiej obrony wioski – Rosjanie znów byli górą, na pomoc przybyła kolejna polska brygada, a dowództwo nad całością objął gen. Jan Krukowiecki. Wieczorem walki zamarły, a na polu walk zostało 650 trupów rosyjskich i 450 polskich.

Rankiem 25 lutego Szachowski otrzymał od Dybicza rozkaz wyruszenia w kierunku sił głównych. Podobne zadanie otrzymali Polacy, ale gdy zagrały nasze działa, pułki stojące w pierwszej linii uderzyły na stojących jeszcze w Białolece Rosjan. Część z nich uszła niemal w popłochu, ale dwa pułki zasilone jeszcze jednym batalionem „ze wsi wyparować się nie dały”. I dalej świetny strateg gen. Ignacy Prądzyński pisał: „Walczone tu po domach, podwórzach, zabudowaniach, rowach; każdy krok był uporczywie broniony, częstokroć bojownicy o dwadzieścia kroków od siebie strzelali i żaden jeszcze ustąpić nie chciał; bito się bagnietami i kolbami”. W końcu nieprzyjaciel z Białoleki ustąpił. Huk armat docierał

w innych krajach zachodnioeuropejskich. Wydaje się, że gdybyśmy w 1831 r. odnieśli istotny sukces militarny – zwłaszcza w postaci pokonania i wyparcia z obszaru Królestwa całej armii moskiewskiej – moglibyśmy liczyć na międzynarodowe uznanie niepodległości. Czy było to możliwe? Było...

Prolog pod Białoleką

Pierwszym znaczącym krokiem musiało się stać odparcie Rosjan spod Warszawy. Ogólnie biorąc, porównanie potencjału Rosji i Królestwa przypominało walkę Goliata z Dawidem. Bezkresne obszary państwa carów zasiedlało wtedy 53 mln ludzi, a jego armia liczyła ponad pół miliona żołnierzy, z artylerią przekraczającą tysiąc luf. Jednak



Działo polowe z okresu powstania listopadowego

FOT. ARCHIWUM

■ jeszcze spod Białoleki na Grochów, gdy i tu rozpoczynał się śmiertelny bój...

Czwartacy i raketnicy

Zanim jeszcze szeregi polskie zasilili oddziały spod Białoleki, nasze wojska liczyły tu ok. 32 tys., w tym 9,5 tys. jazdy. Dybicz miał zaś 60 tys.; prawie dwukrotnie więcej. Przewaga w artylerii była równie druzgocąca – 120 do 228 dział. Po nadejściu wojska pod komendą Krukowski polska armia wzrosła o ok. 10 tys. i proporcje nieco się zmieniły na naszą korzyść.

Dobrze, że 60-letni wtedy Chłopicki zgodził się objąć stanowisko „głównodowodzącego wojskami pierwszej linii”. Doświadczenie i autorytet czyniły zeń wyróżniającego się wśród całej generalicji dowódcę, ale dziwaczny status (wodzem naczelnym pozostał Radziwiłł) oraz poważna kontuzja w przełomowym momencie bitwy omal nie doprowadziły do sromotnej klęski. Na razie dowodził znakomicie, ciesząc się pełnym zaufaniem żołnierzy.

W Olszynie, czyli w centrum całego ugrupowania, ustawił on dwa pułki z dywizji gen. Żymirskiego: 2. Pułk Strzelców i 7. Pułk Piechoty z tyralierami – czyli doborowymi strzelcami – wysuniętymi na skraj lasu. Kolejne linie centrum stanowiły pozostałe pułki 2. DP oraz 3. DP gen. Skrzyneckiego. 4. DP gen. Szembeka tworzyła prawe skrzydło, a 1. DP Krukowski po powrocie z Białoleki zajęła lewe. Dwa korpusy kawalerii – 2. Korpus Jazdy gen. Tomasza Łubieńskiego i 1. Korpus Jazdy gen. Jana Nepomucena Umińskiego – stanowiły odwód i osłonę tyłów.

Trzy kwadransy trwała kanonada rosyjskiej artylerii, nim ok. godz. 10 dziesięć batalionów rosyjskich ruszyło na Olszynkę. Kiedy zostały odparte, wspomogło ich sześć batalionów jęgrów. Z takim samym, czyli żadnym, skutkiem, ale Dybicz uzyskał lepsze rozeznanie sił Żymirskiego i Skrzyneckiego. Gdy 18 batalionów (prawie 12 tys. bagnetów) natarło na dywizję Żymirskiego (nieco ponad 8 tys.), zmuszony został do odwrotu. Generał Chłopicki długo czekał. Jak wspominał świadek, „spokojny, przytomny, dawał rozkazy pewne, dobitne bez wahania się, bez radzenia kogokolwiek... wzbudzał zaufanie i męstwo”.

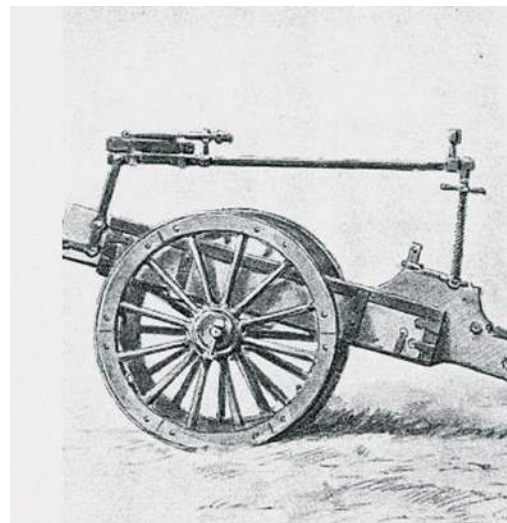
Po godz. 12, kiedy wróg był blisko oskrzydlenia Polaków, nadal nie tracąc spokoju, z cygarem w ustach sam „wódz pierwszej linii” na czele dziewięciu batalionów prowadzi kontratak na Olszynkę, skąd strzela już z karabinów i armat 27 rosyjskich batalionów. Widząc sylwetkę słynnego napoleończyka, ubranego w szary, dziurawiony kulami surdut, niezwracającego nawet uwagi na ucieczkę pod nim konia, żołnierze z okrzykiem: „Niech żyje Chłopicki! Niech żyje dyktator wódz!” walczą w uniesieniu. Trzykrotnie wypierają Rosjan z Olszyny i trzykrotnie ulegają liczebnej przewadze, choć „bagnet, pałasz, kolba, a nawet pięść jest w użyciu”. Generał Żymirski przypłacił to jednak śmiertelną raną. Czwarte przeciwuderzenie, wsparte 1,5-tysięczną pomocą z dywizji Skrzyneckiego, kończy się sukcesem.

Walecznością w zwycięskim kontrataku odznaczył się 4. Pułk Piechoty liniowej – słynne „dzieci Warszawy” płk. Ludwika Bogusławskiego. Czwartacy zastąpili tego dnia, nie ustępując ani kroku przed opromienioną zwycięstwami „starą gwardią” grenadierów carskich. Wy-

trzymali też nasilony ogień karabinów i dział całego centrum rosyjskiego oraz wściekłe natarcie tysięcy wrogów z samym gen. Dybiczem na czele. Ich właśnie walkę uwiecznił Wojciech Kossak w słynnej scenie obrony Olszyny Grochowskiej. Przyznać trzeba, że nie tylko wielką odwagą, lecz także przytomnością umysłu wykazał się wtedy Skrzynecki.

Walka Dawida z Goliatem nie mogła jednak trwać w nieskończoność. Chłopicki wysłał do gen. Łubieńskiego rozkaz ataku całą jego kawalerią. A ten... odmawia wykonania rozkazu, twierdząc, że słucha tylko dyktatora Radziwiłła. Podobnie czyni Krukowski. Nie przypadkiem ci dwaj zawiedli – jeszcze nieraz okazała postawę zakrawającą na zdradę. A wódz z prawdziwego zdarzenia – czyli gen. Józef Chłopicki – ok. godz. 15 pada ciężko ranny wybuchem granatu. Aby dobić Polaków, Dybicz nakazuje uderzyć rosyjskiej jeździe, którą poprowadził znakomity fachowiec gen. Karl Toll. Wkrótce czwartacy walczą z szarżą formacji ułanów wroga, a żołnierze 8. Pułku Piechoty z kirasjerami. Tak jak na ćwiczeniach, dopuszczają jeźdźców na najbliższą odległość i dopiero wtedy, za to skutecznie, strzelają.

Żołnierz polski zdał egzamin celująco. W przeciwieństwie do najwyższych rangą polskich generałów, z których niemal żaden nie stanął wtedy na wysokości zadania. Poza Skrzyneckim na poziomie okazał się natomiast główny kwatermistrz gen. Ignacy Prądzyński. To on w krytycznym momencie wpadł na pomysł zbombardowania rosyjskiej jazdy nieznanymi wrogowi raketami kongrewskimi. Udoskonalił



je i wprowadził do naszego wojska dwudziestokilkuletni kpt. Józef Bem w 1822 r. (do powstania listopadowego przystąpił po przyjeździe ze Lwowa w marcu 1831 r. i miał wielkie zasługi jako dowódca baterii lekkokonnej).

Uczestnik bitwy Henryk Janko wspominał odpalane przez Kompanię Rakietników Piesznych z 10 wyrzutni po cztery pociski naraz: „Tu widziałem po raz pierwszy użycie rac kongrewskich; ten ryk przy wylocie z koziołka, szelest głośny i dym gęsty w całym dalszym ich locie może trwożyć i łamać konnicę przeciwnika. Wystąpiła też bateria rakietnicza z dobrym skutkiem pod koniec bitwy grochowskiej”. Istotnie, przerażone konie zrzucały jeźdźców, galopowały w różnych kierunkach, tratowały ludzi i tak skończyła się wielka szarża jazdy nieprzyjaciół, a wkrótce cała bitwa.

Polacy wycofali się nieniekajeni przez gen. Dybiczę, na którym wielkie wrażenie wywarły straty własne (9,4 tys. ludzi; Polacy – 6,8 tys.), a zwłaszcza doskonałe wykształcenie i twardy opór polskich żołnierzy. Rosjanie także odeszli, przyznając się niejako do taktycznej przegranej. Francuski poeta Casimir Delavigne napisał: „Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był...”. Po raz pierwszy tę „Warszawiankę” odśpiewano z muzyką Karola Kurpińskiego do słów polskiego przekładu w Teatrze Narodowym na początku kwietnia 1831 r. Od końca owego roku publicznie nie śpiewano jej aż do następnego wieku. O tym, jak zmarnowaliśmy szansę wywalczoną pod Olszynką – w następnym numerze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Raca kongrewska pomysłu Józefa Bema umieszczona na dwukołowym koźle FOT. PHW.ORG.PL

Trzeci Rzym



Maciej Rosalak

Dwugłowego orła Paleologów przyjął jako godło swego państwa Iwan III Srogi w 1472 r., gdy brał za żonę bizantyjską księżniczkę Zofię. Był on złoty (na czarnego zamienił go Piotr I). I tak od schyłku XV w. moskiewscy władcy uważali się za dziedziców cesarzy wschodniorzymskich, a Moskwę – za Trzeci Rzym. Tradycję tę widać wyraźnie w filmie opozycjonisty Nawalnego o nadczarnomorskiej siedzibie Putina za 1,2 mld dol. Widok tysięcy metrów kwadratowych pomieszczeń, przypominających rozmachem i luksusem Pałac Zimowy, miał zapewne wywołać u Rosjan złe skojarzenia. Zwłaszcza że wiodła doń brama jakby przeniesiona z Sankt Petersburga, a podobieństwo podkreślał dwugłowy orzeł u jej szczytu. Od razu wiadomo, kto mieszka wewnątrz. Prawdziwy car-batiuszka, jak w mordę dał. Czy ten kadr filmowy wywoła spodziewany przez Nawalnego efekt? Wątpię. Niby dlaczego nowy krwiopicja ma się Rosjanom nie podobać, skoro władzę dzierży mocno w rękę, a Rosja pozostaje atomowym imperium, którego boją się wszyscy naokoło? Fakt, że zabrał klepiącym biedę rodakom miliardy rubli, aby żyć jak car, większości z nich nie oburza. A niech korzysta sokołik nasz kochany...

Sytuacja przypomina nieco Rzym sprzed lat 2065, choć jeśli Putin przypomina Cezara, to tylko z postępującej łysiny. Po zwycięstwie nad Pompeuszem i ostatecznym ugruntowaniu swej supremacji nad imperium Cezar szykował wielką wyprawę na Wschód. Chciał dorównać Aleksandrowi Wielkiemu, czym wzbudził uzasadnione obawy współobywateli rzymskich, że zechce sięgnąć po jedynowładztwo. Swetoniusz („Żywoty cesarów”) pisze, jak to 26 stycznia 44 r. p.n.e. podczas jego przejazdu przez miasto padły okrzyki witające go jako króla. Aby wybrnąć z niezręcznej sytuacji, oświadczył wtedy: „Jestem Cezarem, nie królem”. Dotknął go fakt, że tłum okrzyku nie podjął. Urzędników, którzy aresztowali prowodyrę zamieszania, wyrzucił z senatu i urzędów, a prowodyrę uwolnił. Jeszcze 15 lutego odsunął diadem królewski, który konsul Antoniusz publicznie chciał mu włożyć na głowę. Lucjusz Kotta już jednak nie zdążył postawić w senacie wniosku o nadanie Cezarowi tytułu króla. 15 marca 44 r. p.n.e. Cezar został zaszytyłowany. Kilka dni przed śmiercią powiedział: „Nie mnie, ale właśnie Rzeczypospolitej winno zależeć na moim życiu. Ja dość już mam potęgę i sławy. Natomiast Rzeczypospolita, jeśli mnie coś spotka, nie zazna już pokoju i wstrząsną nią znacznie sroższe wojny domowe”. I rzeczywiście. Wojny cezarianów Antoniusza i Oktawiana z zabójcami Cezara, a potem między nimi samymi trwały kilkanaście lat, a zakończyła je klęska i śmierć Antoniusza.

Rzymian obruszył zamiysł sięgnięcia po insygnia królewskie i nie posłuchali profetycznej zapowiedzi Cezara. Kiedy jednak z wojen domowych zrodziło się silne cesarstwo, które trwało pół tysiąclecia, nikt jego zasad już nie podważał. Z kolei Rosjanie mają zbyt głęboko wpojone doświadczenia najazdów tatarskich, wielkiej smuty i nieudolnych rządów demokratycznych w 1917 r., by obalać władzę najgorszych nawet tyranów (Mikołaj II okazał się za słaby na cara). Rosjanom – jak przed wiekami Rzymianom – władcy muszą zapewniać tylko jedno: moc własnego imperium.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Karabiny wz. 1808 i 1826



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ W 1831 r. armie polska i rosyjska ruszały do boju uzbrojone w zasadzie identycznie. Broń pochodziła z fabryk rosyjskich

Najważniejszą formacją była piechota uzbrojona w karabiny skałkowe. W armii Królestwa Polskiego używano dwóch wzorów – 1808 i 1826.

Rosyjski karabin wz. 1808 konstrukcyjnie oparty był na francuskiej słynnej francuskiej „trzysiódmce”, czyli karabinie wz. 1777 AN IX. Posiadał zamek skałkowy bateryjny ze

bieniu łoża i przytrzymywany mosiężnymi tulejami i przednim bączkiem. Tulejowy bagnet do karabinu wzór 1808 miał długość 525 mm (trójgranna głownia 445 mm), ważył 0,28 kg i blokowano go na karabinie za pomocą ruchomego pierścienia. Drewniane osady rosyjskich karabinów wykonywano najczęściej z brzozy karelskiej lub syberyjskiej. Kolba posiadała wyżłobienie na policzek, pozwalające się

z 1808 r. mieściła się bez wątpienia w dobrym europejskim standardzie. Karabin wz. 1808 był bronią udaną, jednak według wojskowych decydentów nieco przyciężką i niewygodną w użyciu dla młodych, nieostrzelanych rekrutów. Dlatego w połowie lat 20. zdecydowano się opracować dla piechoty liniowej nieco lżejszą wersję, testowaną w tulskich zakładach.

Nowy karabin miał lufę krótszą o 90 mm aniżeli we wzorze 1808. Co prawda był lżejszy od poprzednika tylko o kilka gramów, ale posiadał znacznie wygodniej wyprofilowaną kolbę (tzn. o większym kącie nachylenia), dzięki czemu skutki odrzutu były mniej odczuwalne. Wgłębienie policzkowe zastąpione zostało przykładem, czyli baką, zastosowano wklęsłą, wygodniejszą stopkę kolby oraz lepiej profilowany, zaokrąglony język spustowy. Ponadto muszkę zaczęto osadzać bezpośrednio na lufie, a nie na przednim bączku, dodano także szczerbinę. Co prawda testy dowiodły, że osiągi balistyczne nowego karabinu są gorsze aniżeli w „długiej” 1808, jednak celność indywidualnego ognia w pułkach liniowych nie miała dużego znaczenia.



wzmocnionym kurkiem, mocowanie lufy z łożem za pomocą bączków, a nie sztyftów i przetyczek oraz zmniejszony kaliber – siedem linii, czyli 17,78 mm (w poprzednim rosyjskim modelu wynosił 7,5 linii, czyli ok. 19 mm); ołowiana kula o masie niespełna 24 g miała średnicę o blisko 2 mm mniejszą od średnicy przewodu lufy. Muszkę osadzono na przednim bączku, broń nie miała szczerbinki. Długość całkowita wynosiła 153 cm, a masa 4,36 kg (wartości podane na podstawie egzemplarza zachowanego w zbiorach MWP).

Karabin wyposażony był w stalowy stempel przenoszony pod lufą w wyżło-

biepnie złożyć do strzału, a stopka kolby była prosta, a nie wklęsła. Chociaż oba karabiny, tzn. rosyjski i francuski, były w zasadzie identyczne, to różniły się bączkami: we wz. 1808 były one mosiężne, a w AN IX stalowe (mosiężne zachowano w modelach gwardyjskich).

Ocenia się, że broń z carskich manufaktur ustępowała zachodnioeuropejskiej. Cechowały ją: gorsza jakość części, w tym lufy, nadmierny luz pomiędzy kulą a ściankami lufy (w broni francuskiej jedynie milimetr) i generalnie niższy poziom kontroli podczas samego procesu produkcji. Niemniej Rosjanie wybrali właściwy wzorzec, a broń

Jak strzelano? Oto fragment polskiego regulaminu: „[...] skoro u piechoty nieprzyjacielskiej, można rozpoznać twarz, kołnierze i galony na mundurach [odległość 300–400 kroków, czyli około 215–290 m], wtedy należy do niego rozpocząć ogień karabinowy, celując w głowę, aby trafić w piersi. W miarę przybliżania się nieprzyjaciela, potrzeba niżej celować tak, aby gdy już widzieć można oczy [70–100 kroków, czyli około 50–72 m], w ten czas mierzyć w pód człowieka, do nóg zaś niżej kolan, nigdy celować nienależny, gdyż w ten czas wystrzały padną na ziemię, nie dosięgnąwszy nieprzyjaciela...”. ©

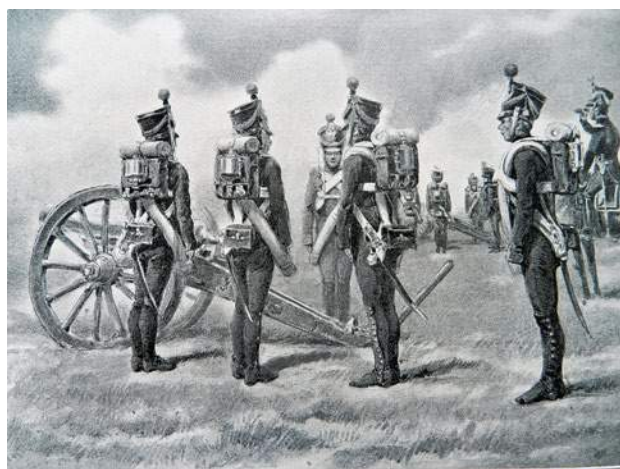
Działa i jednorogi

Na uzbrojeniu naszego wojska był rosyjski sprzęt zmodernizowany w 1805 r. (tzw. system Arakczajewa) według najlepszych wzorców europejskich. W chwili rozpoczęcia wojny dywizje piechoty Królestwa posiadały po brygadzie artylerii. Brygada taka składała się z baterii pozycyjnej liczącej sześć armat 12-funtowych (kula o wadze 4,91 kg, kalibru ok. 114 mm) i sześć jednorogów (rodzaj haubicoarmaty) 20-funtowych

jednorogami 10-funtowymi (4,09 kg, 106 mm). Natomiast każda z dwóch dywizji jazdy miała po baterii lekkiej artylerii konnej, w której skład wchodziły sześć armat 6-funtowych i cztery 10-funtowe jednorogi. Ponadto bateria pozycyjna artylerii konnej wchodziła w skład gwardii (osiem 20-funtowych jednorogów).

Łącznie armia polska dysponowała na początku 1831 r. niespełną setką armat polowych (72 działa w piechocie i 24 w kawalerii).

Dośkonali oficerowie i podoficerowie kształceni w Szkole Aplikacyjnej, Zimowej Szkole Artylerii i Szkole Bombardierów uczynili naszą artylerię orężem perfekcyjnym i niezwykle efektywnym. W walkach z Rosjanami odznaczała się znakomitą manewrowością (vide szarża Bema pod Ostrołęką), celnością oddawania strzałów, doskonałym wyborem stanowisk ogniowych i umiejętnym określaniem odległości dzielącej pozycje własne od nieprzyjacielskich. ©©



(8,91 kg, 134 mm) oraz dwóch baterii artylerii lekkiej, każda z sześcioma armatami 6-funtowymi (waga kuli 2,46 kg, kaliber 92 mm), i sześcioma

Kosy 1831

Po wybuchu powstania listopadowego broni zgromadzonej w arsenałach po prostu nie wystarczało, i licznie używano choćby myśliwskich strzelb i nieregulaminowych szabel. Wielką wagę przywiązywano do gromadzenia nieprzyjacielskiego oręża; w piśmie sztabu głównego do gen. bryg. Tomasza Łubieńskiego po bitwie grochowskiej czytamy: „J.O. Książę Wódz Naczelny zlecił mi honor wezwać JW. Generała, abyś wojsku pod Jego dowództwem będącemu, ogłosić kazał, iż każdy żołnierz za karabin wzięty na nieprzyjaciela, choćby nawet i ze

złamanym łożem, odbierze zł. 7, za każdy karabin jazdy zł. 4...”. Najprostszym konstrukcyjnie orężem, łatwym do wyprodukowania i seryjnego wywarzania, była broń drzewcowa. Piechotę uzbrajano w kosy, jazdę – w lance. Pułkownik Karol Różycki dowodzący Jazdą Wołyńską pisał: „Niewiele palnej broni i pałaszów uzbrajało nas, ale uzbrajały nas lance, ta odwieczna broń polska, której każda inna ustąpić musi”. Według rozporządzenia Rządu Tymczasowego Królestwa Polskiego dotyczącego tworzenia nowych formacji jazdy uzbrojenie nowych żołnierzy „ma się składać z pałasza, z piki żelaznej z półtora-

Bagnet na broń!

W 1827 r. ukazał się drukiem regulamin dotyczący walki na bagnety – „Nauka podająca sposoby bicia się na bagnety” – zawierający drobiazgowo instrukcje i tablice poglądowe. Uczono w nim walki zarówno indywidualnej, jak i w zwartym szyku kompanijnym, przeciwko piechocie i jeździe, w ataku i obronie. Żmudne szkolenie, do którego wielką wagę przywiązywał Konstanty, przyniosło efekty i w wojnie przeciwko Rosjanom nasi żołnierze zdecydowanie nad nimi górowali.

Starcie pod Białoleką gen. Ignacy Prądzyński opisywał: „Trzy bataliony 6-go pułku piechoty rozbiły i wyrzuciły ze wsi całe dwa pułki morskie i ledwo nowym 7-u batalionom nieprzyjacielskim... ze wsi wyparować się dały [...]. Walczono tu po domach, podwórzach, zabudowaniach, rowach; każdy krok był uporczywie broniony, częstokroć bojownicy o dwadzieścia kroków od siebie strzelali i żaden jeszcze ustąpić nie chciał; bito się bagnetami i kolbami”.

Pamiętką po tych walkach są dwa rosyjskie bagnety do skałkowego karabinu wz. 1808, odnalezione pod Wiązowną i przechowywane w zbiorach MWP (na zdjęciu jeden z nich). ©©



łokciowym [865 mm] prętami i przykutej do drzewca 5 łokci [2 m 875 mm] długości mającego, z kulka lub krzyżem na półtoręj ćwierci [215 mm] od ostrza odległymi i ile możliwości, z pary pistoletów”. ©©



Tymoteusz Pawłowski

/ Czy medycynie można zaufać? Historia pełna jest zarówno jej sukcesów, jak i porażek. Czy postępowanie zgodnie ze wskazówkami lekarzy naprawdę gwarantuje bezpieczeństwo i zdrowe życie?

Historycy, choć są ludźmi ponadprzeciętnie inteligentnymi i elokwentnymi, podczas spotkań towarzyskich niechętnie zdradzają swoje wykształcenie.

Niemal każdy ich rozmówca – szczególnie w Polsce – uważa się bowiem za specjalistę od przeszłości i w bardzo zdecydowany sposób wyraża swoje opinie o losach świata i Rzeczypospolitej. Trudno mu wyjaśnić, że kilka lat studiów historycznych daje nie tyle większą znajomość faktów, ile umiejętność ich analizy i zupełnie odmienne postrzeganie przemian.

Podobnie jest z medycyną. „Najwięcej jest lekarzów na świecie, ot jeśli nie wierzycie wasz mość, pokażę ich stu w Krakowie, w przeciągu trzech dni”. Taka – według Józefa Ignacego Kraśzewskiego – była opinia królewskiego błazna Stańczyka, którą w prosty sposób udowodnił, skarżąc się przechodniom na ból zębów: niemal każdy zaproponował mu kurację.

Podobieństw między historią a medycyną jest więcej. Żadna z tych nauk nie jest nauką ścisłą. Nie da się – jak w fizyce czy chemii – stworzyć wzoru, a następnie w laboratorium zweryfikować, czy praktyka zgadza się z teorią. Zarówno historia, jak i medycyna są naukami empirycznymi, opierającymi się na doświadczeniu oraz metodzie prób i błędów. I historycy, i medycy osiągają dobre rezultaty, ale nigdy nie mają 100 proc. skuteczności. Nie wiadomo, czyje błędy są groźniejsze: diagnoza źle postawiona przez lekarza może doprowadzić do śmierci człowieka.



XVIII–XX w. / Teoria i praktyka lekarska

Historia szczepionki

Błędna diagnoza postawiona przez historię może doprowadzić do śmierci setek milionów ludzi. Dobrym przykładem jest Karol Marks.

Błędy w sztuce

Medycyna skokowo zwiększyła swoją skuteczność w XIX w. Dopiero wówczas pojawiły się skuteczne środki przeciwbó-

lowe, pozwalające na uśpienie pacjenta i przeprowadzanie operacji. Dopiero wówczas lekarze przekonali się, czym jest aseptyka. Wiedeński lekarz Ignaz Semmelweis w 1848 r. nakazał w swoim szpitalu, aby lekarze myli ręce przed przyjmowaniem porodów. Personel szpitala uznał jednak, że nakaz mycia rąk jest pogwałceniem ich wolności do życia w brudzie, i doprowadził do zwolnienia Semmelweisa. Sam był zresztą sobie



Edward Jenner szczepi przeciwko ospie, obok szczepionka przeciw COVID. FOT. WIKIMEDIA



niektóre spostrzeżenia, takie jak to, że dłuższy palec serdeczny niż wskazujący wskazuje na wysoki poziom testosteronu w rozwoju płodowym, a więc wiąże się z wyższą skłonnością do agresji.

Lombroso nie był jedyny. Warto zwrócić uwagę, że teoria ewolucji jest tylko teorią. W przyszłości może zostać odrzucona niczym kryminalistyczne badania Lombroso albo potwierdzona i zaakceptowana, tak jak higieniczne zalecenia Semmelsego. W rzeczywistości żywoty teorii ewolucji – bo było ich i jest wiele – bywają skomplikowane. Teoria ewolucji Jeana-Baptiste'a Lamarcka, której podstawą było twierdzenie, że narządy używane rozwijają się, a nieużywane zanikają, została odrzucona przez

środowisko naukowe i zapomniana. Lepsiej pamiętana teoria ewolucji Charlesa Darwina i Alberta Wallace'a również nie wytrzymała próby czasu – wyrok na nią wydały badania genetyczne.

Medycyna popełniała błędy również w XX w. Najstraszniejszy chyba z nich związany jest z talidomidem, środkiem usypiającym, który w latach 50. polecany był przede wszystkim kobietom w ciąży. W 1960 r. okazało się jednak, że talidomid przyjmowany podczas pierwszych dwóch miesięcy ciąży powoduje uszkodzenia płodu. 15 tys. kobiet w ciąży padło jego ofiarami: urodziło się 12 tys. dzieci, z których tylko 8 tys. przeżyło pierwszy rok. Te, które ocalały, zostały oszpecone.

Medyczne sukcesy

Jest jednak dziedzina, w której medycyna odnosi ogromne sukcesy. Sukcesy zadziwiające, jeśli weźmie się pod uwagę, że ich początki opierały się niemal wyłącznie na intuicji, ryzykownym przenoszeniu podobieństw ze zwierząt na ludzi i nieetycznych doświadczeniach.

Przez stulecia największym zagrożeniem dla ludzkości były epidemie czarnej

ospy co kilkanaście-kilkadziesiąt lat dziesiątkujące całe państwa. W 1796 r. do angielskiego dr. Edwarda Jennera przyszła dojarka zakażona „krowianką”, czyli krowim odpowiednikiem ospy. Doktor Jenner, tak jak wielu mu współczesnych, podejrzewał, że ludzie pracujący z krowami są mniej podatni na zarażenie ospą, a jeśli już zachorują, to mają duże szanse przeżyć. Postanowił więc wszczepić zarazki pobrane od dojarki zdrowej osobie. Obiecał rodzinie ośmioletniego Jamesa Phippsa, że jeśli zgodzą się na eksperyment, to on przeznaczy swój spałek na dożywotnie opłacanie czynszu za prowadzone przez niego i jego przyszłą rodzinę gospodarstwo.

Chłopiec łagodnie przechorował ospę krowią, a później dr Jenner zaraził go ospą prawdziwą. Chłopiec nie zachorował, bo uodporniła go szczepionka z „krowianki”. Wyniki badań zostały błyskawicznie opublikowane i natychmiast stały się sensacją na skalę światową. Niebawem szczepienia stały się obowiązkowe dla wszystkich uczniów i czarna ospa powoli przestawała być zagrożeniem.

Szczepionka na czarną ospę uratowała setki milionów istnień ludzkich, ale zasada jej działania przez długi czas pozostawała nieznana. Dopiero pod koniec XIX w. Louis Pasteur i jego następcy w odkrywaniu tajemnic mikrobiologii dokładnie zbadali zarazki i zbliżyli się do odpowiedzi na pytanie o sposób działania szczepień. Niestety wielu ludzi widziało w szczepionkach magię i zwalczało szczepienia. Niektórzy uważali, że czarna magia zawarta w szczepionkach jest niezgodna z naukami wyznawanej religii. Inni – chociażby Albert Wallace, współtwórca teorii ewolucji – sądzili, że czarna magia zawarta w szczepionkach jest niezgodna z zasadami nauki. Jeszcze inni byli zdania, że obowiązkowe szczepienia są atakiem na wolność obywatelską.

Szczepienia są najważniejszym sukcesem medycyny i najprawdopodobniej najbardziej doniosłym wynalazkiem w dziejach ludzkości. Bardzo łatwo jest wytykać błędy i pomyłki medycyny, można też prowadzić długie spory o ich wagę i znaczenie. Jeśli jednak w historii medycyny widać jakąkolwiek prawdziwość, to jest nią ta, że szczepienia zawsze miały wrogów, ale – co stało się jasne z perspektywy i wraz z rozwojem nauki – wrogowie szczepień nigdy nie mieli racji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W NOCY Z 13 NA 14 LUTEGO 1831 ROKU ŻOŁNIERZE GENERAŁA JÓZEFA DWERNICKIEGO POJMALI ROSYJSKI PATROL, DZIĘKI CZEMU ZDOBYTO INFORMACJE NA TEMAT SIŁ PRZECIWNIKA, DOWODZONYCH PRZEZ GENERAŁA FIODORA GEISMARA. NIESTETY DOWÓDCA PATROLU ZDOŁAŁ ZBIEC I UPREDZIŁ O ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ POLSKICH ODDZIAŁACH.

DOSKONALE!
ROZGNIOTĘ TE
NIEWYSZKOLONĄ
POLSKĄ ZBIERANINĘ
JAK PCHŁĘ. PRZYGO-
TOWAĆ SIĘ DO
WYMARSZU!



GEISMAR BĘDĄC PEWNYM ZWYCIĘSTWA, PODZIELIŁ SWĘ SIŁY, CHCĄC ZAATAKOWAĆ Z DWÓCH KIERUNKÓW. ODDZIAŁAMI IDĄCYMI OD STRONY SEROCZYNA (LICZĄCYMI OKOŁO 950 ŻOŁNIERZY I CZTERY DZIAŁA) DOWODZIŁ GENERAL PASZKOWICZ. RESZTĘ WOJSK GEISMAR POPROWADZIŁ OSOBIŚCIE, IDĄC OD STRONY TORZYSK. TYMCZASEM DWERNICKI ROZSTAWIŁ SWĘ SIŁY NA PÓŁNOC OD MIASTA STOCZEK. CENTRUM STANOWIŁA ARTYLERIA I PIECHOTA, A NA SKRZYDŁACH ZNAJDOWAŁA SIĘ JAZDA. GDY POZĄTEK KOLUMNY PASZKOWICZA WYSZŁĘ Z LASU NA OTWARTĄ PRZESTRZEŃ, ROZPOCZĄŁ OSTRZĄŁ ARTYLERYJSKI POLSKICH POZYCJI.

TO WYMUSIŁO SZYBKĄ REAKCJĘ DWERNICKIEGO, KTÓRY ZDAWAŁ SOBIE DOSKONALE SPRAWĘ Z PRZEWAGI OGNI PRZECIWNIKA.



UCIEKAJĄCY W PANICE ROSJANIE RUSZYLI W STRONĘ RZĘKI ŚWIDER I NA ZAMARZNIĘTY STAW, LECZ POD ICH CIĘŻAREM ŁÓD ZACZĄŁ SIĘ ZARYWAĆ.



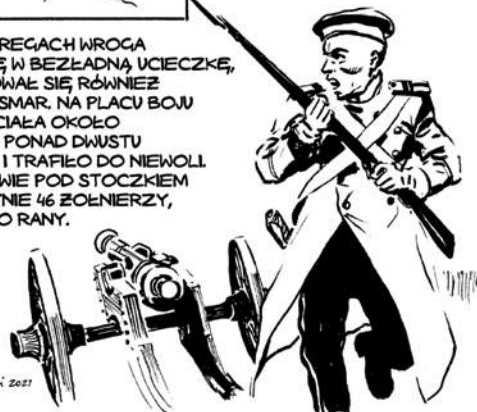
RESZTĘ SWYCH WOJSK DWERNICKI SKIEROWAŁ W STRONĘ KOLUMNY PROWADZONEJ PRZEZ GEISMARA. CHCIAŁ ZAATAKOWAĆ JEDNOCZEŚNIE ROSJAN OD FRONTU, JAK I SKRZYDŁA, WIĘC ABY TO OSIĄGNĄĆ DWERNICKI OSOBIŚCIE WŁĄCZYŁ SIĘ DO WALKI, PROWADZĄC ODWODY ZŁOŻONE Z KRAKUSÓW.

NAPRZÓD!
DO ATAKU!

PANIKA W SZEREGACH WROGA ZAMIEŃIŁA SIĘ W BEZŁADNĄ UCIECZKĘ, KTÓRĄ SALWOWAŁ SIĘ RÓWNIEŻ GENERAL GEISMAR. NA PLACU BOJU POZOSTAŁY CIAŁA OKOŁO 400 ROSJAN, A PONAD DWUSTU PODDAŁO SIĘ I TRAFIŁO DO NIEWOLI. POLACY W BITWIE POD STOCZKIEM STRACILI JEDYŃNIE 46 ŻOŁNIERZY, A 60 ODNIOŚŁO RANY.



Wyrzykowski i Jasiński 2011





Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Ubeckie „Trusty”

Bisko 20 lat temu na łamach „Karty” Jan Nowak-Jeziorański w kilku zdaniach trafnie opisał mechanizm dwóch wielkich prowokacji MBP – operacji o kryptonimach Cezary i Ośrodek: „Przez dwa lata odbiorcą dość znacznych funduszy z kasy CIA, sprzętu radiowego, szyfrów, depesz, raportów i instrukcji był kontrwywiad bezpieczeństwa. Amerykanie zaś byli karmieni reportażami i ocenami fabrykowanymi przez przeciwnika. W grudniu 1952 r. komuniści postanowili zakończyć tę zabawę publiczną kompromitacją CIA i emigracji. Dwaj agenci polskiego kontrwywiadu występujący w roli przywódców WiN-u zgłosili się »dobrowolnie« do władz, wydając siebie, swoich podkomendnych, zasoby pieniężne, tajemnice organizacyjne i podając wszystko do publicznej wiadomości. Była to słynna »afera Bergu«”.

Te kilka zdań oddaje cały sens komunistycznych prowokacji, których matką i matrycą była sowiecka operacja „Trust” zbudowana na fikcji konspiracji monarchistycznej w Rosji sowieckiej, która dzięki wsparciu Zachodu (w tym Polski) miała wkrótce obalić rządy bolszewików. Fałszywi uciekinierzy, oferenci, kurierzy opisujący rozmiary białego spisku przeciwko czerwonemu Leninowi... Przerzut agentów GPU na Zachód, rozmowy z sztabach armii zachodnich, kontrolowane przez Łubiankę werbunki, pomoc finansowa, wymiana dokumentów i instrukcji, fałszywi przywódcy i autentyczni antykomuniści w pełni kontrolowani przez agentów Moskwy... Kiedy Sowieci zakończyli „Trust” w 1927 r., wywiady państw zachodnich, w tym Rzeczypo-

spolitej, przypominały zgłiszczka. I co najgorsze – zgłiszczka te wciąż pracowały na rzecz przyszłej klęski, gdyż skutki operacji „Trust” nie zostały w należyty sposób rozpoznane i przepracowane.

Wszystkie te scenariusze powtórzono w Polsce stalinowskiej! Wielkie operacje komunistycznej bezpieki wymierzone w podziemie krajowe i emigrację polityczną były kopią „Trustu”. Operacje „Cezary” (przeciwko Zrzeszeniu „WiN”) i „Ośrodek” (agendy wywiadowcze Rady Politycznej) powtarzały niemal wszystkie scenariusze „Trustu” i czyniły z konspiracji krajowej i emigracji fikcję finansowaną przez Amerykanów i Brytyjczyków, ale kontrolowaną przez bezpiekę. Na rozkaz Moskwy obie te konspiracje runęły niczym domek z kart po tym, jak komuniści ogłosili publicznie zakończenie swoich działań, ujawniając amerykańsko-brytyjskie gry z polskim podziemiem, instrukcje wywiadowcze, system szkolenia kurierów i skalę pomocy dla konspiracji w kraju.

Za tym wszystkim stały tysiące ludzkich tragedii, złamanych charakterów, dziesiątki werbunków agenturalnych, setki śledztw, odpryskowych procesów i... śmierci. „Do 2 I 1953 r. aresztowano

114 osób, z tego przekazano do śledztwa 75 osób, zwerbowano i zwolniono 28 osób, przesłuchano i zwolniono 11 osób” – czytamy w jednym z raportów dotyczących operacji „Cezary”. W operacji „Ośrodek” skala była znacznie poważniejsza, bo tylko w 1952 r. aresztowano 224 osoby w kraju...

Podobnie było z prowokacją o kryptonimie C-1, prowadzoną w latach 1950–1954 wspólnie przez MBP i sowieckie MGB przeciwko Ukraińcom. Identycznie jak w przypadku operacji „Cezary” i „Ośrodek” komunistyczne służby stworzyły w Polsce fikcyjną antykomunistyczną organizację ukraińską łączącą ją przez fałszywych bądź kontrolowanych kurierów z banderowską frakcją Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów na Zachodzie (wspieraną przez służby specjalne Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych). Na czele tej prowokacji stanął agent MBP o ps. Bogusław, czyli Leon Łapiński o pseudonimie konspiracyjnym Zenon.

Raz w życiu rozmawiałem z płk. Aleksandrem Makowskim – legendarnym w środowisku komunistycznego wywiadu oficerem Wydziału XI Departamentu I MSW. Jedno zdanie utkwiło mi w pamięci z tego spotkania pewnie na zawsze. Rozpytując Makowskiego o operacje skierowane przeciwko Solidarności i Biuru Brukselskiemu NSZZ „Solidarność”, usłyszałem: „Nasz szef gen. Władysław Pożoga powtarzał nam zawsze, że modelem, który mamy powielać, są dawne operacje »Cezary« i »Ośrodek«, zmierzające do uczynienia z podziemia w kraju i jego zaplecza na Zachodzie fikcji przez nas kontrolowanej”. No właśnie... @@

/ **Wielkie operacje komunistycznej bezpieki wymierzone w podziemie krajowe i emigrację polityczną były kopią „Trustu”**



PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

